

Jadwiga Skirmunttówna

Pani na Hruszowej

Dwadzieścia pięć lat wspomnień o Marii Rodziewiczównie

Wydawnictwo MG

## Rozdział I

Przeżyłam z nią, pod jej dachem, 25 ostatnich lat jej życia i na wezwanie wielu osób chciałabym je opowiedzieć bardzo prosto, jak proste i jasne było to nasze życie pod kochanym hruszowskim dachem. Przy tym streszczę to, co wiem o przodkach jej i o życiu Marii Rodziewiczówny, poprzedzającym te ostatnie 25 lat, bo czasy jej dzieciństwa i młodości zrobiły ją taką, jaką pozostała do końca, wy-tworzyły ten piękny typ kobiety kresowej, która poza wybitnym talentem autorskim umiała pełnić wysoko pojęte obowiązki obywatelki kraju i właścicielki rozległego majątku, którego była prawdziwą matką i panią.

O przodkach Marii Rodziewiczówny i ich zjawieniu się w Pińszczyźnie takie szczegóły opowiedziały przechowane w Hruszowej dokumenty:

Ród Czertwanów Rodziewiczów, początku XV wieku sięgający, w Oszmiańskim był osiadły i ledwo roku 1613 do dalekiej Pińszczyzny się przesiedlił. A jako że dziad pradziada Rodziewiczówny, Seweryn, przybyły do Pińszczyzny, nie chciał być jako intruz w kole szlacheckim powitany, przywiózł z sobą polecenia przez brać Oszmiańską do braci pisane, pieczęciami herbowymi i podpisami nie lada dyg-nitarzy i karmazynów stwierdzone i poręczające, że „familia, krwi szlacheckiej, panów Rodziewiczów, za pierwszych Królów Ichmościów Panów naszych, za których pospolite ruszenia bywały, zawsze pod chorągwią Chorążego Oszmiańskiego, przy nas szlachcie ze swej majętności, jako prawi szlachci-ce, według zwykłej powinności konno, zbrojno stając, powinności swej dosyć czynili, w rejestrach hetmańskich snadnie o tem pewne świadectwo się znajdzie” – że: „bez żadnej nagany, praw i wolności zażywający, sprawy, do sądów tak ziemskich, jak i grodzkich należących, odprawowali”.

Dokument ten liczni współobywatele podpisami stwierdzili. Osiadł tedy w 1613 Seweryn Rodziewicz w Pińszczyźnie, urząd podstolego piastując, a prawnuk jego, Teodor, sędzia ziemski piński, wielce cenny z roku 1824 testament pozostawił. Testament ten kluczem jest do zrozumienia tradycji i ducha takiej rodziny „kwi szlacheckiej”, jaką była rodzina Rodziewiczów. Teodor dwa razy „dozgonną” przyjaźń ślubował i z jednej, i z drugiej żony miał synów, których stracił. Każde słowo jego testamentu tętni wiarą i głęboką miłością bliźniego. „Że Pan Bóg miłe potomstwo moje przeniósł do wieczności, cieszę się z bliskich i dalszych krewnych moich, którym życząc błogosławieństwa Bożego, ten najdroższy upominek zostawuję, jak Mojżesz umierając swemu ludowi przepowiedział: Póki Boga i pobożność w sercu mieć będziecie, póty w Jego opiece zostawać będziecie”.

Znacznym swym majątkiem na rzecz brata swego, Antoniego Rodziewicza, chorążego kobryńskiego, rozporządził, czyniąc go uniwersalnym spadkobiercą i spadek licznymi legatami obciążył. Za dusze rodziców odprawić polecił 500 Mszy Św., uczynił zapisy „klasztorom, kościołom, cerkwiom unickim, szpitalom, sługom i poddanym”. Bez „okazałości żadnej” pochować siebie kazał, „a że Pan Bóg w najodleglejszym miejscu modlitwy i ofiary za dusze przyjmie i że zgromadzenie licznego duchowieństwa zwłokę w ratunku duszy, utrudzenie duchowieństwu i domownikom zmarłego przyczynię, rychlej rozesłać rozporządzam, aby nabożeństwa po kościołach odprawione były”.

Po śmierci stryja odziedziczył pan chorąży kobryński rodzinny majątek Sęczyce, a posiadał poza nim Hruszowę, Moroczną, Kozlakowicze i Poluszyn. Hruszowa kupiona od Suworowa, odwieczną posiadała tradycję: należała ona w XV wieku do kniaziów kobryńskich, a ostatnia księżna kobryńska wniosła ją w dom Paców; następnie wcielona została do królewskich dóbr stołowych, które po rozbiorze kraju przypadły Suworowowi. Na szczęście

Polacy mogli je wykupić. Pan chorąży Rodziewicz po objęciu spadku po stryju wystawił w Hruszowej obszerny dom i na tablicy wmurowanej w ścianę wyryć kazał: „Boże błogosław mieszkańcom”. „Ten dom zbudowany przez Antoniego i Eleonorę z Giełgudów Rodziewiczów w roku jubileuszowym 1825”. Chorążowstwo czworo mieli dzieci: Teodora bezdzietnego, Maryannę hr. Krasicką, Annę Czarnecką i Henryka, ojca Marii, żonatego z Amelią Kurzeniecką, córką Józefa chorążego-pińskiego i Emilii Ordzianki. Teodor po rodzicach odziedziczył Hruszową i Poluszyn, a państwo Henrykowstwo przenieśli się w strony wołkowyskie i osiedli w majątku Pieniuha. Bóg dał im troje dzieci, a dla poratowania zdrowia byliby wyjechali za granicę na początku burzy powstańczej 63-64 r., gdyby nie oczekiwanie przez panią Amelię przyjścia na świat czwartego dziecka; urodziny córki Marii<sup>1</sup> były przyczyną pozostania ich w kraju, w którym się tragiczne rozgrywały wypadki. Pan Henryk nie brał udziału w powstaniu, był mu nawet przeciwny, ale obowiązki spadające nań jako na Polaka spełniać umiał i spełnił, zdając sobie jednak dokładnie sprawę, czym to grozi.

I tak Rząd Narodowy przysłał raz do Pieniuhy transport broni do tymczasowego przechowania. Rodzice Rodziewiczówy przynosili w nocy osobiście broń tę do lamusa: „Czy wiesz – spytał pan Henryk – dokąd idziemy?”. „Tak – brzmiała odpowiedź – do lamusa”. „Nie, prosto na Sybir”.

I poszli na Sybir. Ojciec wędrował piechotą, nawet w tych strasznych chwilach zachowując żartobliwość, matce, jako wielką łaskę, pozwolono jechać własnym kosztem pocztowy-mi końmi i 10 dni po urodzeniu dziecka zabrano ją z domu.

Osieroconą córeczkę nieoceniona piastunka, dawna, tak zwana panna wyprawna p. Rodziewiczowej, Sadowska, odwiozła do dziadków Kurzenieckich w majątku Zamosze, a potem pełna poświęcenia powędrowała za wygnańcami na Sybir, gdzie pozostała do końca ich wygnania. Mała Marysia do śmierci dziadków była pod ich opieką, a ostatnie lata przed powrotem rodziców spędziła w Korzeniowie u ciotki, p. Karoliny marszałkowej Skirmunttowej, którą poza pokrewieństwem łączyła z rodzicami serdeczna przyjaźń.

Z opowiadań Rodziewiczówny o pobycie jej rodziców w Kurhanie na Syberii wiem, że po pierwszych ciężkich bardzo czasach zorganizowali sobie życie nie najgorzej. Ojciec zarabiał handlem (z opowiadań rodziców powstała *Anima Vilis*<sup>2</sup>); matka na szczęście miała do pomocy zającą Sadowską. W czasie ich pobytu na Syberii zmarła w kraju podrastająca już druga córka Gabryela i oboje, szczególnie pani Rodziewiczowa, odczuli to boleśnie. Czytała mi Rodziewi-czówna listy matki pisane w tych czasach, listy, pomimo jej wielkiego męstwa, pisane bólem serdecznym i łzami. Dla uniknięcia ostrzejszej uwagi cenzury pisała je nie w swoim imieniu, ale jakby od Sadowskiej – tak że mając na myśli siebie, pisała: „moja pani”. Biła z tych listów, prócz żalu za zmarłą, ogromna tęsknota za krajem, za swoim gniazdem; pisała, że „moja pani”, siedząc wieczorami przy kominie, robotę opuszcza na kolana i zapatrzona w ogień duszą przenosi się do kraju i tak ogromnie cierpi i tęskni. Nieraz z Rodziewiczówną porównywałyśmy śliczny portret jej matki, wiszący w hruszowskim salonie, młodej mężatki pełnej po-gody i wdzięku z fotografią jej robioną po powrocie z wygnania w 1873 r. Twarz była o 30 lat starsza, a wyraz oczu świadczył, że widziały one niemało bólu i ludzkiej męki i że wiele łez wylały.

Po ośmiu latach na skutek amnestii wygnańcy wrócili do kraju, do Warszawy, gdzie nakazano im osiąść i matka przyjechała zaraz do Korzeniowa zabrać ośmioletnią Mary-się, która mi opowiadała, że pomimo radości odnalezienia dziecka od razu pierwszego dnia pani Amelia dała jej w skórę za jakieś nieposłuszeństwo! Wróciły już razem do Warszawy, gdzie rodzice zamieszkali byli na Starym Mieście, na Wąskim Dunaju, oboje chorzy i w wielkiej biedzie.

Opowiadała mi często Rodziewiczówna, że raz zajechała przed ten ubogi domek kareta o pięknych, siwych koniach i starszy pan wszedł po tych stromych schodach aż na ich pięterko,

przedstawił im się jako ich krewny Ksawery Pusłowski i zaproponował im mieszkanie w jego domu na Nowym Świecie, a ojcu zarząd domem. Było to dla nich zbawienie; mieli odtąd porządne mieszkanie, pensję rządcy, matka chodziła do fabryki papierosów i też trochę zarabiała, jednym słowem mogli już żyć, choć zawsze bardzo skromnie. Mała Marysia chodziła na pensję, dokąd co dzień po nią przychodziła służąca i szły razem do taniej restauracji po obiad, zabierany do domu. Było jednak w tym czasie tak jeszcze ubogo, że na cztery osoby brało się jeden o czterech potrawach obiad – i historia tego jednego na cztery osoby obiadu opowiedziana w *Byli i będą*<sup>3</sup>, to prawdziwy szczegół z ich ówczesnego życia. Pokazywała mi Rodziewiczówna zachowane z tej epoki rachunki, będące najwyższym wyrazem oszczędności, w których od czasu do czasu pojawiała się wzmianka: „Za jabłka dla Marysi 15 kopiejek”.

Ale pomoc Ksawerego Pusłowskiego wybawiała ich z największej biedy i nie zapomniwała o tym ani Rodziewiczówna, ani jej rodzice, którzy jej zawsze polecali pamięć o tym fakcie i skorzystanie z każdej sposobności wywdzięczenia się rodzi-nie Pusłowskich.

I tak płynęło życie w tęsknocie za ziemią i rodzinnym gniazdem – majątki ojca Pieniuha i Kozlakowicze położone w powiecie wołkowyskim zostały po powstaniu skonfiskowane – aż raz, kiedy siedzieli we troje wieczorem przy stole, przyniesiono depeszę, którą pan Henryk po przeczytaniu bez słowa podsunął żonie. Była to wiadomość o śmierci brata Teodora Rodziewicza, do którego należała Hruszowa w kobryńskim powiecie, a dla biednych rozbitków tułaczy powrót do rodzinnego domu, do ziemi. Zakaz nieopuszczania Warszawy został tymczasem zniesiony, mogli więc wracać jak wędrownie ptaki do gniazda.

Dla dziecka, rozkochanego już wtedy w przyrodzie, którą znać i kochać uczył ją mieszkający w ogrodach Frascati w Warszawie profesor Waga, było to szczęście niezmierne; zaczęło się hulanie po hruszowskim ogrodzie, wyszukiwanie gniazd, obcowanie z końmi, bydłem, psami, życie z naturą, która zawsze tak wielką w jej życiu grała rolę. Matka znajdowała ją nieraz zaszytą w największym gąszczu w ogrodzie. „Co ty tu robisz?” – pytała zdziwiona, a dziecko odpowiadało: „Rozmawiam z duchami”; ale Rodziewiczówna opowiadająca mi to wiele lat potem nie umiała już bliżej określić, co to były za duchy.

Rodzice jej byli małżeństwem niesłuchanie kochającym się, zżytym, zgodnym, choć o bardzo różnych charakterach. Matka miała w sobie pewną surowość, dużo powagi, trochę typ pani Taidy z *Kądzieni*. Ile razy wchodziła do pokoju, dorosłe już dzieci wstawały. Miała dużo życiowej mądrości i serca. Nie tłumiała bujnej i oryginalnej natury córki, tylko starała się ten żywy umysł i gorący zapał do życia mądrze i umiejętnie skierować. A córka miała dla niej zaufanie bez granic i ogromne przywiązanie; opowiadała mi, że po śmierci matki tęskniła tak bardzo, że przez długie miesiące zalewała się łzami, aż jej się matka przyśniła ze skargą, że łyzy te są dla niej na tamtym świecie ciężarem. I to jej powoli przywróciło spokój.

Ojciec, pan Henryk, miał charakter niesłuchanie miły i łatwy, pełen humoru, żartobliwy, biorący wszystko z dobrej strony; wielki przyjaciel przyrody, był przemiłym towarzyszem i największą radością małej Marysi było towarzyszenie mu na częste polowania. Mawiał w takich razach do żony: „Wyżlicia nie chce wynosić kaczek z wody, daj mi małą do pomocy”. I „mała” pełna radości jechała wózkami z ojcem na te myśliwskie wyprawy do lasu i pomagała. Zachowała z tego towarzyszenia ojcu niezatarte wspomnienia i rosnący z biegiem lat kult dla przyrody. Tylko polować i zabijać nie nauczyła się nigdy.

Opowiadając mi o rodzicach, cytowała czterowersz Goethego:

*Vom Vater hab ich die Statur*

*Des Lebens ernstes Fühlen,*

*Vom Mütterlein die Frohnatur*

*Und Lust zum fabulieren.*<sup>4</sup>

Dodała tylko, że w jej wypadku trzeba by zmienić porządek wiersza, bo ona powagę myśli wzięła po matce, a:

*Vom Väterlein die Frohnatur  
Und Lust zum fabulieren.*<sup>5</sup>

Rodziewiczówna miała od młodości swój osobisty sposób ubierania się, prosty i poważny; nie uznawała dla siebie mody, nosiła zawsze ten sam rodzaj ubrania: prostą, średnio długą spódnicę, żakiet, koszulę z kołnierzykiem wykładanym i długim krawatem. Nie rozumiała, jak kobiety mogą się obchodzić bez kieszeni. Miała więc ją zawsze i w spódnicy, i w żakiecie – i naturalnie, nie uznawała wszelkiego rodzaju torebek, chyba jedną dużą na sprawunki. W lecie, w upały, nosiła granatowy, płócienny, domowej roboty żakiecik, tak zwany kitelek – i taką ją widzę chodzącą po hruszowskim ogrodzie. Włosy, od młodości, miała z pozwoleniem matki krótko obcięte – i do końca „czuprynka” jej była bujna i gęsta – tylko z wiekiem zbielała.

Poznałam ją, kiedy miałam lat osiem, a ona dziewiętnaś-cie. Ojciec nasz zabrał mnie z siostrą na wycieczkę rzemien-nym dyszlem do różnych krewnych i znajomych i między innymi zajechaliśmy do Hruszowej. Została mi w pamięci poważna postać jej matki, hruszowski salon z oknami peł-nymi kwitnących prymul i ona jako dziewiętnastoletnia dziewczyna, pełna życia i wesołości, bawiąca nas, dzieci, opowiadaniem różnych figlów, płatanych w klasztorze SS. Niepokalanek w Jazłowcu, gdzie niedawno kończyła naukę. Przez następne lata mam w pamięci pustkę i dopiero jako dorastająca dziewczyna zaczęłam ją spotykać u wspól-nych krewnych: ciotki mojej Karoliny Skirmunttowej w Krzeniowie i u stryjecznej siostry, Konstancji Skirmunttówny w Pińsku, w tak zwanym Murze.

W ciągu tych ostatnich lat Rodziewiczówna dała się już poznać jako bardzo zdolna autorka, a pierwszy jej utwór Jazon Bobrowski<sup>6</sup> został przyjęty przez Marię Konopnicką i wydrukowany w wydawanym przez nią piśmie. Potem ukazał się *Straszny dziadunio*<sup>7</sup>, a potem otrzymała nagrodę konkursową „Kuriera Warszawskiego” za *Dewajtisa*<sup>8</sup> i od tej chwili zdobyła sobie miejsce najpoczytniejszej w Polsce autorki. Opowiadała mi, że gdy otrzymała zawiadomienie „Kuriera Warszawskiego” o przyznaniu jej pierwszej nagrody, pojechała do Warszawy i zjawiła się w redakcji „Kuriera” nieznana tam osobiście nikomu, z wielką nie-śmiałością usiadła i przez dosyć długi czas nikt na nią nie zwracał uwagi. Nareszcie któryś z pracujących tam sekretarzy redakcji zapytał ją obojętnie, czego sobie życzy i kiedy mu powiedziała, że jest Marią Rodziewiczówną i przyszła w sprawie nagrody za *Dewajtisa*, sekretarz się porwał i wpadł do biura redaktora, który zaraz przyszedł i najuprzejmiej ją do swego gabinetu zaprosił. Nagrodę 500 rubli, co było na owe czasy pokaźną sumą, zaraz jej wy-płacono, prosząc o nadsyłanie do redakcji „Kuriera” wszel-kich nowych utworów – i tak się zawiązał z „Kurierem” najzyczliwszy stosunek, który przetrwał przez długie lata.

Rodziewiczówna miała lat osiemnaście, kiedy umarł jej ojciec, zostawiając rozporządzenie, żeby matka i troje rodzeń-stwa otrzymali równe działy z tym, że przyszły właściciel Hruszowej miał spłacić rodzinę, licząc każdą część po 25 000 rubli. W owym czasie osiemnastoletnia Maria marzyła o wy-jeździe za granicę dla studiów, ale po raz pierwszy zawołała na nią ukochana ziemia, a szalę przeważyły słowa matki: „Kto weźmie Hruszowę, z tym ja do końca zostanę”.

Siostra, znacznie od niej starsza, Celina Młodzianowska, miała już swoją dzierżawę na Wołyniu, brat Henryk nie miał zamiłowania do pracy na ziemi ani chęci poświęcenia jej życia. Dla matki Rodziewiczówna miała ogromne przywiązanie, kult prawdziwy, powiedziała więc od razu, że Hruszowę ona weźmie; i tak zostały we dwie w starym hruszowskim dworze, złączone

miłością ziemi, ojczyzny i wielkim wzajemnym przywiązaniem.

Dla młodziutkiej właścicielki Hruszowej zaczęła się od tej chwili usilna i wyteżona praca nad utrzymaniem ziemi, co przy spłacie rodzeństwa łatwe nie było, a z tym musiała łączyć pracę autorską i patriotyczno-społeczną, do której bardzo wczesnie wciągnęła ją Konopnicka.

Były to czasy wielkiego ucisku, kiedy słowo polskie podlegało zakazom, konfiskacie, a Kresy nasze o to polskie słowo wołały i młodziutka dziewczyna stała się jednym z ogniw łączących różne zorganizowane punkty do-stawy książek zza kordonu i przesyłki te osobiście dostarczała na miejsca przeznaczenia, mając na ten rodzaj pracy pełną zgodę matki. Opowiadała mi, że przy zdawaniu i odbiorze książek obowiązywał pewien tajny klucz; każde słowo pytania i odpowiedzi musiało się zaczynać od po-rządkowej następnej litery alfabetu i cytowała mi takie powitanie:

„A bo co?”. „Drohojewskiej Ewy futro gotowe”.

Raz, mając do dostarczenia większy transport książek do Wilna, na prośbę matki wzięła z sobą zaufanego Poleszuka i dużą część drogi przebyła piechotą, nocując po wsiach i zaściankach Wileńszczyzny.

Brała też gorliwy udział w tajnym szkolnictwie, zabierając głos na naradach, pomagając finansowo, dokładając wszelkich starań, żeby okoliczne zaścianki szlachty zagrodowej miały książki i nauczycielki, które do tej ideowej pracy przygotowywała w Kobryniu tak zwana szwalnia p. Żabińskiej, zbudowana ze składek miejscowego ziemiaństwa.

Kiedyśmy się zaczęły spotykać, przyglądałam się jej z ciekawością, ale była to tylko jeszcze zwykła, banalna znajomość; dopiero we wrześniu 1905 r. brat mój starszy przyszedł do mnie z wiadomością, że Rodziewiczówna urządza u siebie zebranie, mające na celu wciągnięcie nas, kobiet, do szerszej pracy społecznej: „Może by to ciebie interesowało tam pojechać?”.

„Naturalnie, że tak”, odpowiedziałam.

Napisałam więc zaraz do Rodziewiczówny, pytając, czy mogę przyjechać. I otrzymałam odpowiedź serdecznie zapraszającą. List mój był z czarną obwódką, bo to był rok śmierci naszej matki i Rodziewiczówna, zwróciwszy na to uwagę, zawsze mi potem mówiła, że to nasza matka mnie do niej skierowała, i że przyjaźń nasza pod Jej się zaczęła opieką. Na owo zebranie w Hruszowej zjechałyśmy się bardzo licznie; Rodziewiczówna przemówiła do nas bardzo gorąco, zachęcając do zjednoczenia odosobnionych dotychczas naszych prób i dobrych chęci, i skutkiem tego zebrania po-wstało później, na wzór Stowarzyszenia Ziemianek w Królestwie, tajne u nas naturalnie Stowarzyszenie kobiece „Unia”. Zjeżdżałyśmy się co miesiąc w innym dworze, poznałyśmy się z sobą i zbliżyły, a Rodziewiczówna pracująca już wtedy zimą w Warszawie, w Stowarzyszeniu Ziemianek, była łącznikiem między tym naszym skromnym kółkiem kobryńskim a warszawską centralą. Wtedy widywałam się z nią już często i prawie zawsze wracając z nią z naszych zebrań, zajeżdżałam do Hruszowej na noc i następny dzień często tam spędzałam, oceniając coraz bardziej żywy umysł i gorącą duszę jej właścicielki.

W tych właśnie czasach odbyłyśmy razem wyjątkowo miłą wycieczkę do głębokiej Pińszczyzny, na życzenie gorące-go przyjaciela Polesia, malarza Józefa Chełmońskiego<sup>9</sup>, który wtedy przez szereg lat na kilka letnich tygodni przyjeżdżał do naszego Mołodowa. Pojechaliśmy we czworo: on z córką, Rodziewiczówna i ja. Do Pińska dostaliśmy się normalnie koleją, a potem statkiem, chłopskim wózkiem, łodzią rybacką, a koń z wózkiem przy naszej łodzi płynął, znowu wózkiem, i wreszcie łodzią dojechaliśmy wieczorem pod sam prawie ganek skromnego dworku krewnych Rodziewiczów-ny, Nielubowiczów, zwanego Weszna. Właściciele przygotowali byli wszystko na nasze przyjęcie, zostawili potrzebne zapasy, kucharza, a sami, po powitaniu nas, odjechali do sąsiedniego majątku, w którym stale mieszkali.

Weszna było to śliczne miejsce, pełne prawdziwie poleskiego uroku; rzeka podchodziła

pod sam dom prawie, dom z wielką werandą, z której wieczorami słuchaliśmy odgłosów wabiącego się dzikiego ptactwa, koncertów żabich, a z nad-chodzącą nocą głębokiej poleskiej ciszy. Chełmoński był zachwycony i w pysznym humorze. Tegoż wieczora umówiliś-my na cały następny dzień Poleszuka z łodzią i po wczesnym śniadaniu, po doskonale przespanej nocy, ruszyliśmy w pole-ski świat, zabierając z sobą prowizję na cały dzień. Poleszuk woził nas dniami całymi po tej sieci wodnej, zwanej Za-rzeczem: z szerokiego łóżyska rzeki skręcało się raptem w wąski kanał, potem w jeszcze węższy wodny tunel wijący się pod sklepieniem gęstej zieleni i znowu wpadało się do łóżyska rzeki. Kiedyśmy trafiali na szczególnie ładne miejsce, Chełmoński kazał stawać i robił szkice, które później użyt-kował w licznych swych poleskich obrazach; o południu ugotowaliśmy gdzieś na brzegu wody na herbatę, śpiewaliśmy chórem i przez cały dzień pieściliśmy oczy pięknem swoistej przyrody. Wieczorem wróciliśmy do naszego dworku na kolację z doskonałej świeżutkiej ryby i nazajutrz znowu ruszyliśmy w świat, tą samą rybacką łodzią!

Cieszyliśmy się tymi dniami, spędzonymi tak poza świa-tem, jak dzieci. Chełmoński głęboko odczuwał urok Polesia, kochał przy tym prostotę i te dni spędzone w Wesznie, ukrytej w oczeretach<sup>10</sup> i gęstwinie, jak gniazdo ptasie, z dala od wszelkich wymagań i utrudnień światowych, były dla niego prawdziwym wytchnieniem i wypoczynkiem. W twór-czości jego Polesie miało wybitne miejsce i jeden z bardzo pięknych obrazów *Głos z Litwy*, przedstawiający pastusz-ka grającego jesienny hejnał na poleskiej surmie, powstał na Polesiu, w naszym Mołodowie.

Niestety trzeba było nam wracać; zegnaliśmy z żalem śliczną Wesznę, która w czasie wojny 1914 r. została doszczę-tnie spalona – i rozjechaliśmy się wszyscy czworo, dążąc każdy do swojego domu.

W tych mniej więcej czasach, słysząc o szkołkach tajnych, które dzięki staraniom Rodziewiczówny i kobryńskiego ziemiaństwa powstawały coraz liczniej po katolickich zaściankach kobryńskiego powiatu, zapragnęłam też szkołkę taką i w Mołodowie urządzić, bo dotąd uczyłam dzieci sama, a dzieci tych przybywało. Dostałam dobrego nauczyciela, który jednocześnie pełnił jakąś funkcję gospodarską, Rodzie-wiczówna przysłała mi potrzebne książki i wzory robót, szkołka ruszyła i pomimo trudności przetrwała do wojny, przez wojnę i doczekała czasów, kiedy już otwarcie mogła się stać prawdziwą polską szkołą.

W czynnym domowym życiu nie było dla mnie większej przyjemności, jak móc się wyrwać na odpoczynek na kilka dni do Hruszowej; latem jeździłyśmy często jednokonnym wózkiem do lasu, zimą siadywałyśmy przy kominie, w towa-rzystwie nieodstępnych jamników; Rodziewiczówna czytała mi często powstające w tym czasie utwory i tematu do rozmów nie brakowało nam nigdy.

Przyglądałam się wtedy jej domowemu życiu, stosunkom ze wsią, które były wtedy bardzo bliskie; znała wszystkich, każdą rodzinę ze wszystkimi jej członkami; młodzi chłopcy przychodzili wieczorami i mając ogólnie wielkie zdolności do majsterkowania, próbowali różnych wyrobów z drzewa, do czego Hruszowska Pani dawała im wzory, a przedmioty przez nich zrobione sprzedawała później w Warszawie, na ich rachunek. Raz na tydzień przyjeżdżał z Antopola doktor, badał chorych, którzy się na ten dzień schodzili, a Rodziewi-czówna osobiście przy nim robiła opatrunki, a potem przepi-sane lekarstwa. Nieraz też byłam obecna zebraniom kobiet wiejskich, które przychodziły na tak zwane poprady<sup>11</sup>. Przychodziły z prząsanicami i przedły len w jadalnym pokoju, śpiewając poleskie pieśni albo swobodnie z panią rozmawiając. Było to życie patriarchalne, w całym tego słowa znaczeniu. A w kraju naszym, po latach wielkiego ucisku przyszły pewne zmiany na lepsze i ludzie zaczęli swobo-dniej oddychać. Tę epokę rozpoczął reskrypt cesarski o wprowadzeniu tolerancji religijnej<sup>12</sup>, dzięki któremu wie-lu

tak zwanych opornych wróciło do Kościoła katolickiego. W naszych stronach takimi byli mieszkańcy wsi Łahiszyn, w powiecie pińskim. Zapisani swojego czasu gwałtem na prawosławie, nigdy tego nie uznali, i nie będąc bez zarzutu pod wielu innymi względami, w sprawie wiary pozostali niezłomni.

A nie było to łatwe. Udzielanie Sakramentów „łahiszyńcowi” było zbrodnią, która groziła księżom więzieniem i zesłaniem. Nie wszyscy księża byli duchowo na tej wy-sokości, a łahiszyńcy chrzcili sami swoje dzieci, których metryki podpisywano później nazwiskiem zmarłych księży, na śluby przedzierali się gdzieś do Królestwa albo trafiali do księży bohaterów – i do końca pozostali prawdziwymi wyznawcami.

W 1906 r. po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat po-zwolono biskupowi wileńskiemu na objazd diecezji; bis-kupem naszym był wtedy biskup Ropp<sup>13</sup>, i ta wizytacja jego stała się wspaniałą uroczystością i manifestacją gorącej wiary i wierności zachowanej pomimo wszystko w naszym bied-nym, tak zwanym zabranym kraju.

Spotykały biskupa wszędzie konne banderie<sup>14</sup>, witały tłumy, i tłumy stawały do Bierzmowania. Jechał ku nam przez Kobryń, gdzie między innymi powitaniem witała go na czele gromadki dzieci prawnuczka powstańca 1863 roku, rozstrzelanego w Siedlcach, a wnuczka jednej z najzacniej-szych kobiet, jakie znałam, pani Antoniny Zawadzkiej. Witała go w imieniu „tych, którzy tak długo milczeli”, gorącym wierszem Rodziewiczówny, z którego niestety tylko dwie strofy pozostały mi w pamięci:

*Witamy Ciebie, Pasterzu Nasz  
Bądź sławion usty naszemi!  
Błogosławiony on szczęsny czas,  
Gdyś stanął na naszej ziemi!*

*I powiedz, prosim Pasterzu nasz  
Matce, co z Ostrej łśni Bramy,  
Że żywie służy Jej nasza Straż  
Jej Ryngraf w sercach mamy!*

W Mołodowie, w dużej okrągłej sali, trzysta osób stanęło do Bierzmowania, a gdyśmy rzędami klękali do Komunii Świętej, klęczał obok mnie z jednej strony drżący jak liść, ze wzrusze-nia, najstarszy mołodowski oficjalista, pan Romiszewski, a z dru-giej starzec, szlachcic zagrodowy, z któregoś z zaścianków.

Poprzedniego roku uzyskaliśmy już byli pozwolenie na budowę kaplicy i po nabożeństwie poszliśmy z biskupem pokazać mu wyrastające już z ziemi fundamenta przyszłej naszej ślicznej kaplicy. Bóg miłosierny, że przyszłość zakrył przed oczyma naszymi i żeśmy wtedy nie przeczuwali, że 37 lat później cały Mołodów i Hruszowa legną w gruzach, a Kresy nasze od Macierzy oderwane zostaną...

Rodziewiczówna skorzystała wtedy z obecności biskupa i uzyskała pozwolenie na otworzenie zamkniętej od dawna hruszowskiej kapliczki, w której od tej chwili Msze święte co miesiąc się odprawiały, gromadząc okoliczne ziemiaństwo i zaścianki i zagrzewając dusze.

I tak praca dla Bożej i polskiej sprawy postępowała cicho, ale wytrwale, a w nas serca rosły i nadzieja, że idziemy ku innej, jaśniejszej przyszłości.

Stosunki moje z Rodziewiczówną stawały się coraz bliższe – odwiedzała nas też często w Mołodowie, przywoząc nieraz wartościowe książki, któreśmy wieczorami wspólnie z nią głośno czytali, i utarło się, że wielkie święta, szczególnie święta Bożego Narodzenia, spędzała zawsze u nas i przy naszym kochanym, wigilijnym stole, dzieliła się z nami tradycyjnym



opłatkiem, wnosząc do naszego grona swoją wesołość, życiowy optymizm i ciepło gorącego serca i duszy.

Na początku 1911 roku pojechałam była z ojcem do Brindisi<sup>15</sup> w południowych Włoszech, gdzieśmy posiadali odziedziczoną po stryju winnicę, którą ojciec chciał sprzedać, a właśnie zdarzał się kupiec. Formalności zatrzymały nas tam parę tygodni, w ciężkich warunkach, bośmy trafili na wyjątkowo ciężką zimę, która w nieogrzewanym hotelu bardzo się nam dała we znaki. Ojciec zaczął niedomagać, ja dygotałam z chłodu, i ile tylko mogłam, siedziałam przy kominku, w którym paliło się trochę korzeni i szyszek.

I tam przy tym kominku pisząc raz do Rodziewiczówny, rzuciłam jej myśl, która stała się dla nas źródłem wielu radości, a później stworzyła jedną z najmiłszych i najbardziej kochanych jej powieści: *Lato leśnych ludzi*<sup>16</sup>. Zaproponowałam jej, żeby ona gdzieś, w hruszowskim lesie postawiła chatę, gdzie byśmy mogły jeździć, przesiadywać po trochę i żyć leśnym życiem. Myśl została przyjęta entuzjastycznie i od-wrotną pocztą otrzymałam zapewnienie, że z wiosną chatka stanie, a ja ze ślicznego mołodowskiego dworu będę do niej przyjeżdżać, trochę jak Maria Antonina do Petit Trianon!<sup>17</sup> Ucieszyłam się, że mój pomysł tak dobrze został przyjęty, i odtąd często w listach była o nim mowa.

Po paru tygodniach sprzedaż winnicy stała się faktem dokonany; wracaliśmy na Rzym, gdzie znalazłam moją siostrę, z którą czas jakiś w kochanym Rzymie spędziłam, później w Mentonie<sup>18</sup> spotykałyśmy się z Rodziewiczówną, która parę miesięcy zimowych na południu spędzała. O projekcie leśnej chaty mówiliśmy już wtedy jak o fakcie postanowionym i który lada chwila stanie się rzeczywistością.

Siostra moja została jeszcze z ojcem w Mentonie, a my wracałyśmy razem do kraju, spędziłyśmy kilka dni w ślicznej Lucernie<sup>19</sup>, i w pierwszej połowie marca stanęłyśmy na Polesiu. W pierwszych dniach kwietnia otrzymałam wezwanie przyjazdu do Hruszowej, dla obejrzenia razem miejsca wybranego na budowę chatki – i został mi na zawsze w pamięci obraz słonecznego dnia jedenastego kwietnia, i nas dwie jadące jednokonnym wózkiem – cieszące się jak dzieci! Na małej polance, otoczonej brzoza, które już się pokrywały zieloną mgłą młodych liści, miejsce przyszłej chaty było już wymierzone i wyłożone kawałkami cegieł – na polance miał stanąć krzyż z Męką Pańską – wszystko było już obmyślane, ale tylko w projekcie.

„Obiecałam cieśli – mówiła mi Rodziewiczówna – że ponad umówioną cenę dostanie 25 rs, jeżeli nam chatę postawi we 2 tygodnie; zobaczysz, że będzie gotowa”.

Umówiliśmy się, że ściśle za dwa tygodnie przyjadę; zawodu nie zrobiłam i znowu jechałyśmy wózkiem naładowanym zapasami i potrzebnym drobnym sprzętem, na objęcie w posiadanie upragnionej chaty. Przywiozłam ze sobą obrazek Matki Boskiej z Jasnej Góry, znaleziony w sprzedanej już willi w Brindisi, gdzie powstał pierwszy projekt leśnej chaty, z wielkim przejęciem powiesiliśmy go na ścianie, oddając mu w opiekę naszą chatę i wzięliśmy się z zapałem do urządzania izby. Główne sprzęty już były ustawione, tapczany do spania, stół i ławki z pięknych jesionowych desek itd., ściany ozdobiłyśmy barwnymi tkaninami i po zjedzeniu z wielkim apetytem sporządzonej na prędce kolacji usiadłyśmy na progu chaty, odpocząć po trudach i cieszyć się całą duszą tym zdobytym, nowym, wyśnionym gniazdem.

Wokoło nas zapadał cichy, wiosenny poleski wieczór; drobna brać ptasia odśpiewała swój wieczorny pacierz, na pobliskich łąkach grała żabia kapela i wabiło się błotne ptactwo, a myśmy siedziały zasłuchane i zapatrzone, jak ten pierwszy wieczór ślicznie opisuje Rodziewiczówna w swoim *Lecie leśnych ludzi*.

I odtąd aż do wojny ta chata stała się częścią naszego życia; ile razy mogłam przyjechać latem do Hruszowej, tośmy mało czasu spędzały w Hruszowej, ale jak najprędzej ruszałyśmy do Czahar<sup>20</sup>, bo takim mianem została nazwana ta leśna siedziba. Poza mną miała Rodziewiczówna

inną jeszcze towarzyszkę tego leśnego życia; była nią młoda dziewczyna od dawna już w Hruszowej przebywająca i prowadząca tam gospodarstwo kobiece, pani Maria Jastrzębska, szlachcianka z okolic Kobrynia, całym sercem Hruszowej oddana, a charakterem i usposobieniem najzupełniej nadająca się do typu czaharskiego życia. Została ona uwieczniona w *Lecie leśnych ludzi* jako „Pantera” i była rzeczywiście przemiłą towarzyszką, pełną fantazji i wesołości.

Zaraz po zamieszkaniu chaty obmyśliłyśmy specjalną pieśń nazwaną „hymnem czaharskim” (słowa Marii Ko-nopnickiej do znanej melodii) i ile razy wjeżdżałyśmy na obszar naszych Czahar, śpiewałyśmy ją chórem, pełne radości i zapału.

Wiedząc, że niektóre drużyny harcerskie śpiewają ten hymn wzięty z *Lata leśnych ludzi*, podaję tu słowa, żeby się przechował taki, jaki był śpiewany wtedy, w chwilach szczęśliwego „leśnego” życia.

*Czas już wstać, czas już iść  
Hetmanko polnych rot!  
Hetmanko polnych rot!  
Oto Ci hełm borowy liść,  
Oto Twój złoty grot.*

*Powiedziesz Ty  
Powiedziesz nas  
Na ten słoneczny szlak  
Gdzie kwitnąć sercom, pieśniom czas  
Gdzie czeka lotu ptak.*

*Powiedziesz Ty  
Powiedziesz świat  
W zwycięski pochód Twój  
Gdzie z prochów świeży wykwita kwiat  
Gdzie stoczysz życia bój!*

Na polance był już krzyż z Bożą Męką, w pobliżu chaty stała stajenka, gdzieśmy naszą kobyłkę, „Łataną skórę” stawiały, zjawiała się potem krowa, jednym słowem, przybywały różne ulepszenia. W wiosennych miesiącach zbierałyśmy różne odmiany jaj ptasich, których się w ten sposób zebrała piękna, bogata kolekcja, zaznajamialiśmy się z różnymi gatunkami naszych ptaków, których wokoło Czahar było mnóstwo, a które obserwowałyśmy przez bardzo dobrą zeissowską<sup>21</sup> lornetkę i doszłyśmy w tym potem do wielkiej wprawy, rozpoznając już bez trudności w koncertach ptasich głosy poszczególnych małych śpiewaków. Rodziewiczówna miała do tego specjalne amatorstwo<sup>22</sup>; studiowała to poważnie, mając już całą kolekcję książek ornitologicznych, a w bliższym sąsiedzie i przyjacielu, panu Zawadzkiemu, doradcę w tych sprawach, amatora i specjalistę. Oswajała się z naszą obecnością w tym zakątku lasu dzika przyroda, dzikie kaczki miały gniazda w pobliżu naszej chaty, a raz znalazłyśmy cieciorę<sup>23</sup> siedzącą na jajach, i tak się z nami oswoiła, że gdyśmy się zbliżały, nie uciekała z gniazda i można ją było bezkarnie po grzbiecie gładzić.

W lecie i w jesieni przychodziło znowu zbieranie grzybów, do któregośmy obie miały wielkie amatorstwo, poznawałyśmy w ten sposób każdy zakątek hruszowskiego lasu, który wyrabany swojego czasu z powodu rodzinnych działów odrastał bujnie i gęsto, strzeżony, ochraniały i bardzo przez właścicielkę kochany.

Raniutko budził nas poranny pacierz ptasi, wieczorami siadywałyśmy długo na progu chaty, zaszuchane w wieczorny koncert i zapadającą po nim nocną ciszę. Do chaty zostały wkrótce dobudowane dwa alkierzyki z poleskimi „podcieniami”, żeby nam w niej było przestronniej – i tak ta kochana chata dawała nam każdego roku wiele pogodnych i szczęśliwych, przeżytych w niej wśród ciszy i piękna poleskiej przyrody, dni i tygodni.

Wspominam to teraz jak sen! Chata stała w lesie zupełnie samotnie, oddalona od najbliższej leśniczówki o parę kilometrów, i nigdy przez te kilka lat nie odczułyśmy ani chwili strachu, nocując tam same, nikt nas nigdy nie napadł, nie nastraszył, nikt zamkniętej na zimowe miesiące chaty nie okradł.

Nie przeszła jeszcze była nad Polesiem klęska dwóch strasznych wojen, niosących z sobą nie tylko zniszczenie materialne, ale obniżenie moralnego poziomu dusz ludzkich i dusz całych narodów!

Po wspomnianym już pobycie w Brindisi ojciec nasz zaczął coraz bardziej zapadać na zdrowiu i latem 1912 roku zdecydowaliśmy wywieźć go na całą zimę na kurację, naprzód do Berna w Szwajcarii, gdzie nam polecano doskonale sanatorium i doktorów, a potem pod wiosnę na południe. Podzieliliśmy między siebie ten czas i każde z nas miało spędzić z ojcem dwa miesiące. Pierwszy miał jechać mój starszy brat, a ja odprowadzałam ich do granicy, chcąc się przekonać, jak ojciec zniesie ten początek podróży. Po pożegnaniu wracałam na Hruszową, a że jesień była piękna, pojechaliśmy na dłuższy trochę pobyt do naszej chaty – ostatni przed nadchodzącą zimą. Cały las się złocił i barwił tonami jesieni, grzybów było moc, cieszyliśmy się tymi dniami leśnego życia, ale był w tej radości i smutek; szła zima, ja na listopad i grudzień miałam jechać do Szwajcarii i zastąpić przy ojcu brata. Umówiliśmy się, że wracając, wstąpię do Warszawy i razem pojedziemy na święta do Mołodowa.

Tak się też stało i w sam dzień Wigilii radośnie przyjechałyśmy razem, i święta Bożego Narodzenia spędziłyśmy razem w Mołodowie. Były to naprawdę ostatnie rodzinne, spokojne mołodowskie święta, bo rok następny przyniósł w życiu naszym wielkie zmiany. W 1913 roku brat nasz, Henryk, miał objąć Mołodów, brat starszy, Konstanty, pracował od 1909 roku w Radzie Państwa w Petersburgu, siostra moja, Marynia, prowadziła w Mołodowie od 1908 roku doskonale idącą szkołę gospodarczą, ja miałam zimy spędzać w Warszawie z ojcem, który coraz bardziej potrzebował opieki; pragnęłam też bardzo mieć swój własny kawałek ziemi. I tak bardzo dotąd zwarte nasze życie rodzinne w innych odtąd miało płynąć warunkach.

W październiku 1913 roku ruszyłam z ojcem do Warszawy. Na stacji Horodce czekała nas Rodziewiczówna, która jeszcze parę tygodni miała spędzić w domu, ale obiecywała, że wkrótce przyjedzie i cieszyłyśmy się obie, że będziemy się ciągle widywać, wspólnie pracować, bardzo blisko siebie mieszkając. Zaraz po jej przyjeździe dostałam zajęcie w Stowarzyszeniu Ziemianek i życie warszawskie ułożyło mi się miło i pogodnie. Ranki spędzałam w sklepie Przemysłu Ludowego Stowarzyszenia Ziemianek, popołudnia i wieczory z ojcem, który z przyjemnością odwiedzał ze mną różnych znajomych, sam miał dużo odwiedzających i dobrze się czuł w nowych warunkach życia. Zaraz po kolacji udawał się na spoczynek, a ja zwykle szłam do Rodziewiczówny, która mieszkała bliźniutko. Tak nam minęła cała zima 1913-14 roku.

W moim życiu ta jeszcze nastąpiła zmiana, że nabyłam wtedy własny kawałek ziemi w powiecie garwolińskim, mały, bardzo miły i ładny folwarczek, zwany „Emerytką”. Kupiła go była dwa lata przed tym Rodziewiczówna, chcąc mieć w Królestwie swoją małą posiadłość, ale wiedząc, że tego pragnę i że mi się ta „Emerytka” bardzo podoba, odstąpiła mi ją z całą gotowością.

Wiosną 1914 r. odwiozłam ojca do Mołodowa z tym zamiarem, że po kilku tygodniach zabiorę go na lato do swojego domku. Ale kochany ojciec nigdy już nie miał mego domku

poznać; zdrowie jego zaczęło się psuć, przyszło cierpienie sercowe, tak że nie miał odwagi wyjeżdżać i ja sama więcej tego roku byłam w Mołodowie niż w „Emerytce”. I byłam właśnie w Mołodowie, kiedy wybuchła wojna 1 sierpnia 1914 r.

## Rozdział II

Po miesiącu, kiedy pierwsze wrażenia minęły, pojechałam do Warszawy, gdzie mnie już u Ziemiarek czekali do roboty; ojciec miał do mnie potem na zimę przyjechać, ale się na to nie zdecydował. W Warszawie czekała już mnie Rodziewi-czówna, a Ziemiarki postanowiły urządzić swój szpital, który też wkrótce został otworzony na ul. Miodowej pod nr 6. Zaczęłam w nim pracować, mając sobie oddany dział ofiar, które płynęły bardzo obficie, bo ofiarna Warszawa w tym wypadku okazała się godna siebie. Potem zostałam tak zwaną starszą siostrą, a Rodziewiczówna była intendentką szpitala. Zaczęły się dla nas czasy usilnej pracy w szpitalu, ja przy rannych i opatrunkach, ona w biurze przy ogólnych szpitalnych sprawach. Kiedy mogłyśmy, wychodziłyśmy ra-zem na miasto załatwić potrzebne sprawunki, a później, pod wiosnę, ciągnęło nas do pobliskiego ogrodu kapucynów popatrzeć na to, co było zawsze naszą ulubioną pracą, pracą przy ziemi; dobrze nam było czuć, jak ta ziemia kochana pachnie – wspominałyśmy, jaki pogwar ptasi musi się już rozlegać w naszych Czaharach! Zachodziłyśmy też często do Katedry i przed cudownym Krucyfiksem lewego ołtarza modliłyśmy się za nadchodzącą Polskę, i polecałyśmy Bożej opiece nasze dalekie rodzinne gniazda – i naszą przyjaźń.

W październiku był pierwszy alarm podejścia wojsk niemieckich pod Warszawę, ale to prędko minęło. Pamiętam, że w tych właśnie dniach wezwano nas telefonicznie o godzinie pierwszej w nocy do szpitala, bo przywieziono dużą partię rannych; i został mi w oczach obraz tej nocy i ciągnących przez miasto na zagrożony bliski front wojsk syberyjskich małych syberyjskich koników i charakterystycznych małych wozów.

Zima przeszła względnie spokojnie, ale z wiosną, wobec stałego cofania się frontu, stawało się prawdopodobne, a później jasne, że wojska rosyjskie wycofają się z naszego kraju. Pomimo niepewności, w jakich warunkach to nastąpi, i pomimo perspektywy, że kraj zaleją inne wrogie armie, myśleliśmy o tym z radością; czuliśmy, że to też minie – a zostanie Polska!

W lecie wobec zbliżania się wojsk niemieckich stanęła przed nami groźba, że przy prawdopodobnym zajęciu Warszawy będziemy odcięte od naszych stron – ja od rodziny, a obie z Rodziewiczówną od naszych domów. Trzeba było wyjeżdżać, póki to jeszcze było możliwe. Naprzód wyjechała Rodziewiczówna, a potem ja, po zdaniu na jedną ze współpracownic moich obowiązków szpitalnych. Zajechałam do Hruszowej uspokoić Rodziewiczównę, że już jestem i odcięta nie będę, i już razem z niepokojem czekałyśmy na wieści z Zachodu, drżąc o losy kochanej Warszawy. I pamiętam, jakie wrażenie zrobiło na nas nagłe ustanie w sierpniu wszelkich wieści z tego serca kraju! Warszawa była zajęta!<sup>24</sup>

W ślad za tym stało się prawdopodobne, że cofanie się wojsk rosyjskich ustanie i nasze Polesie też przez armię niemiecką zajęte zostanie. Ten czas oczekiwania spędzałam między Mołodowem a Hruszową, dokąd któregoś dnia zajechała ochronka z trzydziestoma dziećmi, przysłanymi przez Stowarzyszenie Ziemiarek pod opiekę Rodziewiczówny w przekonaniu, że tam nic im grozić nie będzie.

A tymczasem wojska ustępujące cofały się coraz prędzej i coraz bliższa stawała się groza przesunięcia się całego nowego frontu przez nasz biedny kraj. Ostatnie dni sierpnia były bardzo ciężkie; przez Hruszową przeciągały bandy maruderów wojskowych, gromady chłopstwa cofającego się na żądanie władz, za wojskiem rosyjskim, przeciągały ogromne stada bydła i koni, pędzone na wschód; zaczęło się plądrowanie i rabunki, których pierwszą ofiarą padła ulubiona hruszowska pasieka.

Pamiętam groźny wieczór, kiedy przerażona służba doniosła nam, że oddział dońskich

Kozaków opanował gorzelnię, gdzie pozostały jeszcze znaczne zapasy spirytusu, i są już wszyscy na umór pijani! Na szczęście wyższe wojskowe władze były we wsi i wezwane na ratunek przyszedł do gorzelni, Kozaków zabrały, a spirytus wypuściły do ścieków.

Front stanął nad kanałem horodeckim, kilka kilometrów od Hruszowej – i trzymał się tam przez trzy dni; sztab stał w hruszowskim domu na piętrze i utytułowany szef sztabu (nazwiska nie pamiętam), przychodził do nas paro-krotnie, radząc i nalegając, żebyśmy wyjeżdżały na Wschód, za cofającymi się wojskami, obiecując dać dla wszystkich konie i wozy. Naturalnie, że nie chciałyśmy o tym słyszeć, a Rodziewiczówna powiedziała mu, że jej ojciec i dziad już na Syberii byli, więc ona tym bardziej woli w domu pozostać<sup>25</sup>.

Do Hruszowej zjeżdżali jednocześnie różni znajomi i nieznanymi, gotowi ze strachu przed tą zmianą frontu cofać się na wschód, ale widząc, że zostajemy, i na gorący protest Rodziewiczówny – zostali. Najcięższa była ostatnia doba; zaraz za domem stanęły armaty, żołnierze dobijali się do domu, wołając: „Uchoditje, budiem palit”. Na szczęście domu nie podpalili, ale wieczorem spłonęła hruszowska gorzelnia. Tej nocy nie kładłyśmy się zupełnie; szef sztabu powiedział nam, że o północy opuszczą Hruszowę, i coraz to któraś z nas skradała się na schody, skąd było słycać telefony, żeby się przekonać, czy jeszcze działają? Powoli wszystko ucichło i o północy przekonaliśmy się, że wojsk już nie ma – tylko naokoło w wielu miejscach paliły się groźne łuny. Przesiedziałyśmy tę noc na kanapce przy piecu; nad ranem zaświeciło tak w okna i posłyszałyśmy tak wyraźny trzask pożaru, że myślałyśmy, że się pali hruszowska stodoła; wyszłyśmy do bramy, ale stodoła stała, a paliła się wieś Ostołowicze, odległa o dwa kilometry. Potem o świcie wyszłyśmy znowu na dziedziniec zobaczyć, jak wygląda ten bezpieczny świat? Wszędzie panowała martwa cisza, wieś była pusta, bo cała prawie powędrowała na wschód – na drogach leżały martwe sztuki inwentarza, jakieś porzucone w pośpiechu rzeczy ludzkiego dobytku, i dopiero około siódmej rano ukazał się zza węgła pierwszy niemiecki żołnierz z karabinem w rękę. Zapytał nas, czy wojsk już nie ma, i na nasze zapewnienie, że o północy wszyscy już odeszli, oznajmił, że chciałby się napić kawy; pokazałyśmy mu drogę do kuchni, a po chwili była ich już cała gromadka.

Wśród przebywających u nas czasowo gości był ksiądz, którego Rodziewiczówna poprzedniego jeszcze dnia prosiła o odprawienie Mszy świętej w naszym salonie; wszyscy się też byli spowiadali. Po zainstalowaniu pierwszej partii żołnierzy niemieckich przy kawie w kuchni poszliśmy więc na mszę i w czasie jej trwania otworzyły się drzwi od przedpokoju i wszedł pierwszy niemiecki oficer; przeżegnał się i uklęknął przy drzwiach. Po Mszy świętej przedstawił się nam jako ksiądz katolicki i mówił, jak silne wrażenie zrobił na nim ten pierwszy spotkany nieopuszczony dwór i ta Msza święta odprawiana w takiej chwili, z takim spokojem. Wkrótce potem wjechali konno w bramę oficerowie z generałem na czele; nazwisk nie pamiętam. Zachowali się kulturalnie i generał zaraz powiedział do Rodziewiczówny: „Ma pani szczęście: gdyby wojska rosyjskie nie odeszły były w nocy, dałem był rozkaz bombardowania domu”.

Przez cały ten pierwszy dzień przeciągały różne oddziały wojska, ale pierwsza przykrość spotkała nas wieczorem. Gdyśmy się udały na dobrze zasłużony odpoczynek, przy-szedł ordynans świeżo przybyłego generała zakomunikować nam rozkaz, że mamy opuścić nasz pokój, potrzebny dla generała i jego towarzyszy. Musiałyśmy ustąpić i o to mniejsza, ale nazajutrz raniutko generał wyjechał, a rzeczy nasze zostały zrabowane przez włóczących się wszędzie żołnierzy niemieckich; fama wtedy przecie niosła, że żołnierze niemieccy nie rabują!

Te pierwsze tygodnie nowej okupacji były ciężkie – go-ście nasi odjechali do siebie, a nasz dom był wystawiony na ciągłe inwazje przeciągających oddziałów wojska; wyniosłyśmy się były do dwóch małych pokojków, gdzieśmy zebrały wszystko, co nam po pierwszym rabunku zostało, a mebli w innych pokojach trzeba było nie wiem jak pilnować, żeby nam ich nie

porozciągano i nie wywieziono. Ale byli między tymi przygodnymi mieszkańcami naszego domu ludzie porządni i kulturalni, w całym znaczeniu tego słowa, i wśród nich muszę wymienić generała Mertensa, który wziął ode mnie list do Mołodowa, i przez cały czas pobytu w naszym kraju dla nas i dla mojej rodziny był zawsze prawdziwie życzliwy i przyjazny.

Zaczęłyśmy obie marzyć o dostaniu się do Warszawy, do jakiejś roboty, ale ja przed tym chciałam koniecznie dojechać do rodziny, do Mołodowa, dowiedzieć się, w jakich warunkach oni tę wielką zmianę przeszli i trochę choć z nimi posiedzieć. Po paru tygodniach, kiedyśmy się już z sobą skomunikowały i wiedziałam, że nic się tam złego nie stało, przysłano po mnie konie z Mołodowa pod eskortą żołnierza. Z ciężkim sercem żegnałam się z Rodziewiczówną, bo czasy były męczące, komunikacja trudna i nadzieja odnalezienia się prędkiego tak niepewna. W każdym razie postanowiłyśmy, że obie będziemy dążyć ku Warszawie, żeby się tam zabrać do wspólnej pracy. Podróż do Mołodowa odbyłam pomyślnie, z niezwykle noclegiem w Janowie. Byłam spokojna, że przenocuję na plebanii, tymczasem, kiedyśmy się tam wieczorem dobili, okazało się, że plebania zajęta jest przez wojsko. Poszłam więc do stajni i tam koło mołodowskiego konia, na słomie noc spędziłam.

Nazajutrz koło południa stanęłam w Mołodowie, gdzieś-my się po tych wszystkich przejściach szczególnie radośnie witali. Przeszli oni podobnie ciężkie dni, z tą różnicą, że ostatniego dnia baterie armatnie stały tuż za dworem i pociski przelatywały ponad naszym domem. W chwili, kiedy przyjechałam, dom był w dużej części zajęty przez Niemców, bo to był pas przyfrontowy; front stanął na linii kanału Ogińskiego, odległego od Mołodowa o kilkanaście kilometrów, i trzymał się na tej linii do 1918 roku.

W rozmowach z ojcem przekonałam się, że chciałby bardzo wyjechać ze mną do Warszawy – złożyliśmy więc podanie o przepustki i w połowie listopada ruszyliśmy do Warszawy.

Znalazłam Rodziewiczównę, oczekującą już mnie w Warszawie od paru tygodni, i radość powitania była wielka. Mieszkałyśmy tak samo blisko siebie i znowu zaczęłam spędzać ranki całe u Ziemianek. Niedługo to jednak trwało; parę tygodni po przyjeździe pojechałam dowiedzieć się, co się dzieje z moją „Emerytką”, którą znalazłam zupełnie w porządku, dzięki poczciwej i rozsądnej opiece mojej gos-podyni Rózi, i tydzień później, 8 grudnia 1915 r. położyłam się z uczuciem, że idzie na mnie jakaś ciężka niemoc. Rodziewiczówna zaopiekowała się mną jak siostra; po naradzie z doktorem przewiozła mnie do lecznicy „Omega”, gdzie przeleżałam z bardzo ciężkim tyfusem około trzech miesięcy, gdzie mnie codziennie odwiedzała, pamiętając też i o moim ojcu, który został pod opieką siostrzenicy.

W czasie tych ciężkich miesięcy choroby miałam wielką radość z powodu przyjazdu mojej siostry, którą zawiadomił generał Mertens i która została przy ojcu aż do mego wyzdrowienia, odwiedzając mnie ciągle, z wielką troską o moje życie. Kiedy mi już pozwolono opuścić „Omegę”, Rodziewiczówna z wielkim triumfem zabrała mnie do domu, a ja wyjeżdżałam, zachowując na zawsze wdzięczną pamięć opieki i starań naczelnej tamtejszej pielęgniarki, idealnej pani Jadwigi Wagner.

Jak tylko siły mi wróciły i mogłam się już wziąć do pracy, stanęłam znowu do roboty u Ziemianek, których starania zwróciły się teraz ku dożywianiu licznych głodnych, i miałyśmy punkty, dające barszcz albo bulion i kartofle pieczone.

Rodziewiczówna była od dawna przewodniczącą sekcji ekonomicznej, a teraz w czasie wojny, poza tym swoim działem, popierała gorącym sercem wszystkie szlachetne inicjatywy, zagrzewała do ofiarności, łagodząc jednocześnie swoją dobrocią i humorem starcia zdań i charakterów; zwano ją „Fra Pacifico”<sup>26</sup>.

Aż muszę opowiedzieć charakterystyczny o niej incydent: nadchodziły święta Wielkiej

Nocy i sekcja zajmująca się sprawą potrzeb więźniów zbierała składki na świąteczną dla nich kielbasę; Rodziewiczówna naturalnie podjęła się kwesty w biurze Ziemianek i osobiście ofiary zbierała. I zdarzyło się, że jedna z pań, bardzo zamożna, ale o ciasnym sercu, powiedziała jej: „Niechże im smakuje ta kielbasa, której ja im nie dam”. A na to Rodziewiczówna rozplakała się jak dziecko. Mogę zaręczyć, że ci, których ten widok do głębi poruszył, wynagrodzili jej hojnie tamtą odmowę, ale pamięć-tam, z jakim bólem mówiła mi o tym braku miłosierdzia, ona, która w szeregu ofiarnych była zawsze pierwsza. I muszę jeszcze dodać, że w 1920 r. mąż tej pani został wywieziony przez bolszewików i zmarł z głodu.

Szła wiosną 1916 roku. Rodziewiczówna, która zimą mogła zostawić swoją Hruszową pod opieką wychowanki, wiosną musiała tam wracać dla wiosennych i letnich robót i ogólnych interesów, i tej wiosny trzeba nam się było pożegnać. Zostawałam w Warszawie z ojcem, którego stan wymagał ciągłej lekarskiej opieki i którego to były ostatnie miesiące życia; szły dla mnie bardzo ciężkie czasy. Z tymi, którzy przebywali poza linią Bugu, nie było żadnej komunikacji, nie miałam więc żadnej wieści ani o rodzeństwie w Mołodowie, ani o Rodziewiczównie, a kochany ojciec powoli dogorywał i jedyną moją pociechą było to, że byłam przy nim i mogłam mu służyć. Najbardziej się bałam jakiegoś cofnięcia się frontu, co kilkakrotnie groziło, i zupełnego odcięcia od swoich. W październiku przyjechała moja siostra i na usilne żądanie ojca zabrała go z sobą do Mołodowa. Rozstawaliśmy się z ciężkim sercem, ale z postanowieniem, że będę się starała o pozwolenie przyjazdu do nich na Boże Narodzenie. Tymczasem ósmego listopada przyszła śmierć ojca. Rodziewiczówna była już wtedy w Warszawie, i jaką była dla mnie w tym czasie i ile serca mi okazała, tego chyba mówić nie potrzebuję.

Wojna trwała i coraz więcej było potrzebujących i głodnych. Ziemianki otworzyły tanią kuchnię dla kobiet z inteligencji na ul. Świętokrzyskiej pod nr 13, w którym to domu mieścił się wtedy lokal Stowarzyszenia. Oddano mi zarząd tej kuchni i spędzałam tam całe ranki, gotując z pomocnicą ogromny kocioł zupy i rozdzielając ją potem między liczne nasze klientki, z którymi zawiązał się przyjazny i miły stosunek. Niektóre z nich spotykałam na ulicy parę lat potem i zawsze witały mnie z uśmiechem. Tą kuchnią zajmowałam się w czasie zimowych miesięcy aż do końca wojny.

Tak nam zeszała zima 1916/17 roku. Na wiosnę pojechałyśmy razem do „Emerytki”, ale potem trzeba się było znowu żegnać: Rodziewiczówna jechała do Hruszowej, ja zostawałam w wielkim osamotnieniu, i na wszelkie starania otrzymania pozwolenia na pojechanie do Mołodowa otrzymywałam odpowiedź odmowną.

I tego roku, kiedy jesienią 1917 roku wróciłam do Warszawy zająć się swoją kuchnią, przesłałam wielki niepokój o losy Rodziewiczówny, bo ani ona nie przyjeżdżała, ani wieści żadnej o niej nie było. Dopiero w grudniu, któregoś wieczoru przyszedł do mnie posłaniec od Ziemianek, z wiadomością, że Rodziewiczówna jest. Poszłam zaraz ją witać i radość była wielka. Przebyłyśmy znowu razem ostatnią zimę światowej wojny – i nie czuło się jeszcze, że koniec tych zmagania nadchodzi. Trzymała nas wiara, że idziemy ku zmartwychwstaniu, ale ileż jeszcze przed tym ciężkich chwil nas czekało!

Minęła zima 1917/18 roku i następne lato, które znowu spędziłam samotnie w „Emerytce”; i znowu podałam prośbę o przepustkę do Mołodowa, tęskniąc tak, że zdrowie mi się zaczęło załamywać. Bojąc się nowej odmowy, poszłam do komendanta Warszawy, generała Rinzelbacha, znanego z łagodności, który nam już kilkakrotnie dał dowody swojej dobrej woli w przyjsciu z pomocą. Na moim podaniu dopisał własnoręcznie poparcie mojej prośby i w końcu sierpnia otrzymałam zawiadomienie, że przepustka na mnie czeka. Była to jedna z bardzo dobrych chwil życia! Wyjechałam natychmiast i mogłam spędzić ze swoimi cały miesiąc.

Nie byłam na Polesiu od chwili wyjazdu z ojcem w listopadzie 1915 roku, prawie trzy



lata, i pamiętam, jakie na mnie wrażenie zrobił ten kraj opustoszały, bo cała miejscowa ludność wyszła była na wschód. Wsie stały puste, bez drzwi i okien, a jechało się między polami, na których widać jeszcze było ślady wąskich chłopskich zagonków, porosłych już w zupełności młodniakami brzoź i olch wysokości człowieka. Wieczorem stanęłam na stacji w Janowie, gdzie z radością znalazłam czekającą na mnie siostrę i przyjechawszy do domu, nie mogliśmy się nacieszyć, że miesiąc cały spędzimy razem.

Większa część domu była w dalszym ciągu zajęta przez Niemców, ale coś się u nich psuło i w ciągu tego miesiąca czuliśmy coraz bardziej, że idzie na nich bliska już klęska.

Po paru tygodniach, spędzonych z rodzeństwem, wy-brałam się na trzy dni do Hruszowej. Zawiadomić nie mogłam i przyjechałam na stację, na której nikt na mnie nie czekał. Powędrowałam więc piechotą, ciesząc się, że robię taką niespodziankę! Szosą było bardzo dobrze, ale doszedłszy do długiej hruszowskiej grobli, której nikt w czasie wojny nie reperował, zobaczyłam, że tonie w błocie. Widząc, że w każdym razie nogi zamoczę, postanowiłam zaoszczędzić obuwie, pończochy i trzewiki zdjęłam i ruszyłam boso, śmiejąc się na myśl, w jakim stanie zabłocenia dojdę na miejsce! Doszłam szczęśliwie i weszłam do domu przez nikogo niewidziana; ale w przedpokoju posłyszałam już dobrze znane w jadalni głosy. Wydałam specjalny okrzyk, którym zwoływaliśmy się w Czaharach, i zostałam od razu poznana. Wpadła Rodziewiczówna, radośnie mnie witając, i wszyscy dobrze znani mi domownicy. Radość była ogromna! Jedną smutną nutą w tym powitaniu było puste miejsce pani Jastrzębskiej, kochanej Pantery, zmarłej poprzedniego roku.

Znalazłam w Hruszowej dziekana kobryńskiego, który przyjechał na odpoczynek, i dowiedziałam się, że dzięki inicjatywie i energii Rodziewiczówny dawny kościół horodecki, po 1863 roku zabrany na cerkiew, jest już znowu katolickim kościołem. Porozumiała się była z dziekanem i mając jego aprobatę, nikogo nie pytając, opłaciła niemieckich żołnierzy w Horodcu, żeby nie przeszkadzali i przewieźli przedmioty prawosławnego kultu do innej cerkwi. Popa żadnego nie było, posłała swoje kobiety, żeby kościół wymyły. Dziekan nie odkładając, przyjechał, nabożeństwo odprawił i kościół był nasz! Nagi, ubogi, ale nasz!

W hruszowskim domu funkcjonowała polska szkoła, w jadalnym pokoju, przy tak zwanym roboczym stole wykonywały się różne jesienne roboty; byliśmy obie w doskonałych humorach, czując, że wojna ma się ku końcowi i nadchodzi nowe, inne życie. I te przemiłe trzy dni minęły za prędko – ale miałyśmy się już w następnym miesiącu odnaleźć w Warszawie.

Spędziłam resztę mego wakacyjnego miesiąca w Mołodowie i żegnałam swoich z troską, w jakich warunkach skończy się dla nich wojna cofania się wojsk, jak się zachowa sąsiad ze wschodu.

Po moim powrocie na zimę do Warszawy wypadki zaczęły iść szybkim tempem, klęska wojsk niemieckich na Zachodzie stała się faktem dokonany – i oto przy-szedł listopad 1918 roku – i zawieszenie broni! Kocha-na Warszawa była na wszystko przygotowana. Raptem pewnego dnia od rana padło hasło: rozbrajać Niemców! Kto żył, brał w tym udział, a na rozbrajanych Niemców padł taki strach, że nie próbowali się bronić i mali chło-p--cy dawali im rady.

Przez tych parę dni Warszawa wrzała! Coraz to ktoś wpadał z wieściami: „Polska chorągiew na Zamku! Na poczcie już polski napis. Besselera<sup>27</sup> już nie ma!”. Radość była niesłychana! Później tę radość zaczęły mącić różne zgrzyty, ale na razie listopadowe nasze niebo było jasne i pogodne, Niemców już w Warszawie nie było!

Spadły na nas różne okolicznościowe roboty: w pałacu Staszica powstało kobiece Pogotowie, które obejmowało różne ponemieckie składy, zapasy żywności, organizowało kuchnie dla tworzących się oddziałów naszego wojska itd. Ale Rodziewiczówna została prędko

powołana do innej akcji. Nadszedł był czas walk ukraińskich we Wschodniej Galicji i oblężenie Lwowa – i przyjechało do Warszawy dwóch wojskowych, którzy się zaraz do Rodziewiczówny zgłosili z prośbą i wprost z żądaniem utworzenia Komitetu ratunkowego dla Lwowa, mianując ją komendantką Ziemi Warszawskiej. Chodziło o werbunek mężczyzn i kobiet, wysyłanie ich jak najprędzej do Lwowa – bo tam już się biły dzieci i groza była straszna – o zbieranie dla Lwowa bielizny, odzieży i żywności.

Nasza komendantka przejęła się tym całą duszą i ze zwykłym sobie zapalem w parę dni Komitet zorganizowała. Osoby przez nią wybrane, jako naczelniczki różnych sekcji, zaczęły gromadzić składki pieniężne i odzież, a biuro werbunkowe miałyśmy w osobnym lokalu na Krakowskim Przed-mieściu pod nr 6, i tam obie spędzałyśmy całe ranki. Zapal do obrony Lwowa był niesłychany. Rodziewiczówna w zasadzie przeciwna była służbie wojskowej kobiet, ale znajdowała, że chwila i okoliczności są tak wyjątkowe i Lwów tak błagał o ratunek i wszelką pomoc, że na wyraźne żądanie zgodziła się werbować i ochotniczki – kobiety.

Wymagała od zgłaszających się dowodów na piśmie zgody rodziców, a gdy kandydatek było już dość na zapełnienie wagonu, kiedy już były porządnie wyekwipowane, zamawiałyśmy u św. Krzyża Mszę św. na ich intencję, szłyśmy na nią całym oddziałkiem, a z kościoła wędrowały one na kolej, pod opieką jednej z naszych pań, która im towarzyszyła aż do Lwowa. Wiemy ze sprawozdań, że zachowywały się porządnie i brały dzielnie udział w obronie tego kochanego miasta. Jedna z nich była raz na posterunku, pełniąc straż przy jakimś składzie, kiedy na ten właśnie punkt zaczęły gęsto padać pociski; zaczęto na nią wołać, żeby się skryła, ale ona spokojnie odpowiedziała: „Zapytajcie Komendantki, czy mam prawo posterunek opuścić?”. I zanim przyszła odpowiedź, dzielna dziewczyna już nie żyła.

Ja miałam dział werbunku chłopców i z tymi był prawdziwy kłopot, bo zgłaszały się nieraz prawie dzieci, które zbrakowane<sup>28</sup> i odprawione, wracały po paru dniach, i nieraz trzeba było im ustąpić. Pamiętam, że raz zjawił się chłopak, wyglądający tak bardzo dziecinnie, choć utrzymywał, że ma lat 15, że mu powiedziałam: „Moje dziecko, któż ciebie weźmie?”. A on mi na to z niedzieciną powagą: „Mój brat bije się pod Lwowem, mój ojciec tam zginął, a pani chce, żebym ja siedział w domu!”. I poszedł.

Moich ochotników zarejestrowanych w naszym biurze odprowadzałam do wojskowej Komendy w pałacu Mostowskich i tam zdawałam władzy wojskowej.

Nasz Lwowski Komitet działał przez cały czas obrony Lwowa; wysyłał, prócz oddziałków ochotniczych, odzież i bieliznę, której tyle nam znoszono, że nieraz mogłyśmy pomóc i miejscowym oddziałom tworzącego się wojska, a potem posyłać przy sposobności dla żołnierzy broniących naszego Polesia.

A praca naszej Komendantki zasłużyła na takie uznanie, że władze wojskowe wręczyły jej później odznakę Obrony Lwowa „Orlęta”, ze ślicznym dyplomem:

*Towarzyszowi broni Komendantce Ziemi Warszawskiej, Marii Rodziewiczównie, za dzielność i wierną służbę Ojczyźnie, ku pamiętce przebytych bojów w obronie Lwowa i Kresów Wschodnich, w roku 1918-1919, odznakę honorową „Orlęta” nadaje we Lwowie 19 III 1919 r.*  
*Dowódca Armii „Wschód” Rozwadowski<sup>29</sup>*

Dyplom ten, razem z później otrzymanym dyplomem strzelców im. Romualda Traugutta, na Polesiu, Rodziewiczówna uważała za swoje najdroższe pamiątki i jeżeli czym się szczyliła, to właśnie tymi dowodami jej „wiernej służby Ojczyźnie”.

W styczniu 1919 roku przeżyłyśmy z Rodziewiczówną cudną chwilę przyjazdu Paderewskiego<sup>30</sup>. Była to piękna, zimowa noc, a myśmy razem stały na ganku kościoła Świętego Krzyża, czekając z tłumem całym na ukazanie się tego wielkiego pracownika polskiej Sprawy.

Czekałyśmy długo, bo witały go tak liczne rzesze, że musiał jechać wśród nich powoli – i jechał witany jak ojciec narodu, otoczony mnóstwem palących się pochodni, co wśród tej zimowej, skrzęcej się nocy robiło niesłychane wrażenie.

Pochód przeciągnął mimo nas, tak że widziałyśmy wszystko jak na dłoni, a my stałyśmy zapatrzone i szczęśliwe i wróciłyśmy do domu pełne otuchy i radości.

Ja wtedy przechodziłam czas bardzo ciężki – i doj-mującej troski o losy Mołodowa, i pozostałych w nich siostry i brata.

Na początku 1919 roku, przy wycofywaniu się ostatecz-nym wojsk niemieckich, zaczęła grozić fala ze wschodu, przeciw której nie było nikogo do obrony tego biednego kraju. Brat mój korzystał ze wszystkich okazji, żeby mi listownie przedstawić grozę położenia i prosić o przynaglanie przysłania odsieczy i obrony; grozę rozumiałam dobrze, i robiłam, co mogłam, żeby tę pomoc dla nich przyspieszyć. Byłam w Belwederze u Komendanta Piłsudskiego, u naszych władz, nareszcie poszłam do gen. Iwaszkiewicza<sup>31</sup>, z ostatnim listem brata. Przyjął mnie uprzejmie, ale bardzo poważnie, nie tając grozy położenia wobec nikłych wtedy sił naszych. Czytając list brata, doszedł do następujących słów: „Tysiąc karnych legionistów utrzymałoby w spokoju cały kraj”. Tu zwrócił się do mnie: „Tysiąc karnych legionistów. A skąd ja, proszę pani, ich wezmę?”... Wysłałam z ciężkim sercem, rozumiejąc, że Polska nie ma jeszcze dosyć sił, żeby i Kresy obronić, i że te Kresy raz jeszcze padną ofiarą fali ze Wschodu...

I rzeczywiście, prędko potem, przez ludzi, którym udało się ująć przed tą falą, dowiedziałam się, że nasz Mołodów zajęty, a rodzeństwo moje, które uważało za swój obowiązek „trwać na warcie”, w mocy bolszewików. Potem przyszły jeszcze gorsze wieści, brat został aresztowany i wywieziony do więzienia w Pińsku, siostra z dwoma starszymi krewnymi pozostała w bardzo ciężkich warunkach w Mołodowie. Drżałam o ich życie i starałam się nawiązać stosunki z paru sympatykami bolszewików, byle tym moim biedakom wynaleźć jakiś ratunek.

Zupełnie niespodziewanie w lutym przyjechał mój starszy brat [Konstanty] z Paryża, z głową skaleconą przy zderze-niu pociągów, a przyjechał jako członek Komitetu Narodo-wego w Paryżu, z poleceniami do Naczelnika Państwa<sup>32</sup>.

Kilka dni potem, kiedy po zdaniu moich ochotników wracałam do naszego biura Komitetu Lwowskiego, Rodziewiczówna spotkała mnie z radosnymi słowami: „Wiesz, Henryś przyjechał! Czeką cię w hotelu Europejskim. Był to posłaniec, któremu za tę dobrą nowinę oddałam wszystko, co miałam w kieszeni”.

Nie mogłam wprost uwierzyć – i kiedy zrozumiałam, że to prawda, poleciałam do hotelu i znalazłam brata ocalonego wprost cudem, bo już był skazany na śmierć. Zwolniono go z tym, że go oddadzą w ręce komitetu mołodowskiego, tymczasem życzliwi ludzie przewieźli go mimo Mołodowa, i potem z dworu do dworu jechał furmankami ku Warszawie. Koło Kobrynia spotkał pierwszych naszych ułanów, idących na odsiecz naszym stronom, i od tej chwili bez łez nie mógł mówić! Co to była za radość! Umówiliśmy się, że wieczór spędzimy razem w moim mieszkanku na Świętokrzyskiej; przyszli obaj moi bracia, każdy ocalony ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, nasz kuzyn Roman Skirmuntt, który świeżo wrócił ze Wschodu, i Rodziewiczówna, która z radości Henrysia objęła za szyję i uściśkała jak brata. Przyniosła ze sobą ostatnią ocaloną butelkę sławnej mołodowskiej starki i piliśmy wszyscy na cześć Polski i ku zdrowiu ocalonych. Był to jeden z najradośniejszych wieczorów, jakie pamiętam!

Przy radości odnalezienia braci spokoju mi nie dawała myśl o siostrze pozostałej w Mołodowie; wojska nasze tam poszły, ale nie wiedziałam, w jakich warunkach odbiły Mołodów i co się tam teraz działo? Po paru tygodniach, jak już komunikacja kolejowa była doprowadzona do porządku, a brat starszy do Paryża odjechał, poprosiłam o urlop u naszej

Komendantki i ruszyłam do Mołodowa. I znowu nigdy nie zapomnę odczuty w tej podróży wrażeń! Gdy dojechałam do Brześcia, i w tym mieście, traktowanym od 150 lat jako odwiecznie rosyjskie, ujrzałam naszych żołnierzy, naszą Komendę i nasze flagi, wzruszenie chwyciło mnie za gardło i łzy wzrok mąciły!... Mając warszawską przepustkę tylko do Brześcia, poszłam do generała Mostowskiego prosić o pozwolenie dalszej jazdy. Historia uwięzienia i ocalenia Henrysia była głośna; kiedy się więc przedstawiłam jako jego siostra, generał polecił wydać mi natychmiast przepustkę i przyjaźnie słuchał moich wrażeń pełnych radości, że po raz pierwszy widzę nasze wojsko i nasze władze na kochanym Polesiu. Pierwszym pociągiem ruszyłam dalej, przenocowałam w Janowie i wyjechawszy raniutko najętą furmanką, po paru godzinach byłam w Mołodowie. Witaliśmy się z siostrą z ogromną radością i wzruszeniem, jakbym ją witała od bram tamtego świata, i opowiadaniom nie było końca. Bolszewicy odeszli byli wieczorem, a nazajutrz rano witano pierwszych polskich ułanów! Mołodów stał cały, wszyscy byli żywi i zdrowi, dziękowałam Bogu całym sercem.

Ale położenie bezpieczne jeszcze nie było; front na razie zatrzymał się znowu na linii kanału Ogińskiego, linii bronionej przez niesłychanie szczupłe nasze siły; całe szczęście było w tym, że rozgromieni bolszewicy bali się atakować; przez czas mego pobytu przeszliśmy przez parę bardzo silnych alarmów i wiele jeszcze ofiar padło w obronie tego zakątku kraju, między innymi cały oddziałek dzielnego porucznika Koja.

W Mołodowie stał pluton białych ułanów, z którymi rozmawialiśmy nieraz i którzy często wieczorami przycho-dzili nam śpiewać żołnierskie pieśni; i w dużej mołodowskiej sali posłyszałam po raz pierwszy: *Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani* i *Ułani, ułani, malowane dzieci*. Raz napędziło nas strachu wysadzenie mostu na Jasiołdzie, o dwa kilomet-ry od Mołodowa, bo nasi ułani woleli nie mieć tego połącze-nia z pobliskim rozległym obszarem lasów i woleli się w ten sposób zabezpieczyć od możliwych niespodzianek.

Po paru tygodniach pobytu w Mołodowie doczekałam się powrotu Henrysia, który opuszczał Mołodów jako więzień bolszewicki, a teraz radośnie wracał do swego domu, witany też jak z tamtego świata. Opowiadał nam z wielkim uznaniem o dalszej pracy naszego Komitetu, od którego dostał na polecenie Rodziewiczówny, bez żadnych biurokratycznych trudności, duży zapas bielizny dla naszego wojska na Polesiu.

Ruszyłam z powrotem do Warszawy, żegnając swoich względnie spokojnie, bo wojsk naszych przecie przybywało i zdawało się, że Polesie już bezpieczne i nasze. Nie wiedziałam, że leży jeszcze przed nami pełen tragizmu i chwały rok 1920.

Wracałam na Hruszowę, żeby móc opowiedzieć mojej Komendantce, co się tam dzieje. Fala bolszewicka, która ogarnęła była biedny Mołodów i stała tam przez sześć tygodni, tu dopłynęła tylko pod sam koniec tego okresu i to tylko na kilka godzin. Pewnego wieczoru wpadła banda oberwańców z czerwonymi gwiazdkami, zagarnęła konie, porabowała trochę po domu, zagroziła gospodyni, że ją powieszą, jeżeli nie znajdzie – szczęśliwie na tę chwilę zgubionych – kluczy od obory – i musiała uchodzić w pośpiechu, bo naokoło dworu słychać już było podejrzane gwizdki przednich naszych straży i nad ranem nadchodzący od Kobrynia nasi ułani dognali bolszewików koło Antopola i doszczętnie ten rozdział rozbili. Hruszowa była ocalona.

Wróciłam do pracy w naszym Komitecie, który trwał do czasu zupełnego oswobodzenia bohaterskiego Lwowa, a był to rok naprawdę pełen wzruszeń, bo jeszcze nas czekała radosna Wielkanoc 1919 roku tak ślicznie opisana przez Rodziewiczównę w jej *Florianie z Wielkiej Hluszy*<sup>33</sup> – Wiel-kanoc, w czasie której gorące serce Warszawy witało błękitne pułki wojsk generała Hallera<sup>34</sup>. Były to dni niezapomniane.

Jadąc koleją, spotykało się pociągi całe wiozące błękit-nych chłopców, twarze się rozjaśniały, kiedy na ulicach mijały nas przeciągające błękitne oddziały, a generała Hallera,

spotykanego często, każdy witał promiennym uśmiechem! I zdawało się, że wszystkie trudności zostały usunięte i zwyciężone, i przyszłość nasza zupełnie się wyjaśniła od chwili, gdy do ojczyzny wróciła błękitna Brygada!

## Rozdział III

Lato 1919 roku miałam spędzić w „Emerytce”; w maju, ku mej wielkiej radości, przyjechała moja siostra, i było umówione, że w tym czasie przyjedzie do nas Rodziewiczówna, która po ustąpieniu mi „Emerytki” nabyła na spółkę z dawną przyjaciółką, panią Weychert, malutką posiadłość, Wyraj, koło Falenicy i tam w tej chwili gościła. Na dzień umówiony posłałam konie na stację i obie z siostrą poszłyśmy na spotkanie. Tymczasem konie wróciły bez nikogo, a w przyniesionej gazecie znalazłam z przerażeniem opis napadu na Wyraj i zranienia Rodziewiczówny wystrzałem rewolwerowym. Wakacje mojej siostry zostały w ten smutny sposób przerwane i nazajutrz rano pojechałyśmy obie do Warszawy. Znalazłam Rodziewiczównę gorączkującą i z silnie spuchniętą twarzą; kula przeszła mimo kości policzkowej i wyszła za uchem; kość na szczęście była nienaruszona, ale doktor zażądał przeniesienia chorej do lecznicy, czym się zaraz osobiście zajęłam, i nie odkładając, przewiozłyśmy ją do Omegi, pod opiekę nieocenionej panny Wagnerówny.

Ranę musiano otworzyć pod chloroformem i postanowiłyśmy, że zostanę w lecznicy na noc, żeby nasza chora miała ciągłą nad sobą opiekę. Wieczór minął pogodnie i nie rozbierając się, wyciągnęłam się na kanapce naprzeciw łóżka Rodziewiczówny, która obiecywała spać spokojnie. Raptem koło jedenastej posłyszałam z przerażeniem słowa: „Ze mnie krew się leje”. Zerwałam się i spostrzegłam, że spod opatrunku występuje silnie krew i że poduszka już zakrwawiona. Zawołałam nocną pielęgniarkę, sprowadziłyśmy dyżurnego doktora, i co prędzej przewieźliśmy biedną chorą do sali opatrunkowej.

Było to pęknięcie arterii, którą trzeba było złapać i związać, doktor dyżurny specjalistą nie był, i to wiązanie trwało długo i było bardzo bolesne, aż przyszedł któryś z chirurgów i ciężkiego opatrunku szczęśliwie dokonał. Jeszcze dziś słyszę biedny, umęczony głos: „Dobijcie mnie, ale nie męczcie”. Gdyśmy wróciły do naszego pokoju, bała się już zasnąć, bo ciągle jej się zdawało, że znowu się obudzi w kałuży krwi, i dopiero na moje usilne zaręczenie, że się zupełnie nie położę, tylko będę przy niej siedzieć i czuwać nad jej snem, uspokoiła się powoli i zasnęła, a ja Bogu dziękowałam, że jestem przy niej i że byłam w groźnej chwili krwotoku. Noc przeszła spokojnie, ale widać było, że stan jest ciężki i że łatwo nie minie.

W dzień zastępowała mnie na kilka godzin pani Weychert, żebym mogła się przespać, ale poza tym byłam ciągle przy mojej biednej chorej. Po paru dniach z żalem pożegnałam moją siostrę, która wróciła do Mołodowa, bo mowy nie było, żebym mogła teraz Rodziewiczównę opuścić. I zaczęły się ciężkie tygodnie zmagania się z zakażeniem. Po znacznym już polepszeniu przyszedł antraks<sup>35</sup> na karku, a jak to się zagoiło, bardzo niebezpieczna róża<sup>36</sup> w głowie. Wtedy przyszła naprawdę walka ze śmiercią – i była chwila, kiedy doktorowie zwątpili o jej życiu. Ale widocznie była jeszcze bardzo potrzebna i miała jeszcze do zrobienia dużo dobrego na świecie, bo powoli choroba się przesilała i przyszła radosna rekonwalescencja. Ci, którzy mogli pielęgnować kogoś bardzo drogiego i z nim razem wracali od wrót śmierci do życia, rozumieją, jakieśmy były szczęśliwe! Złożyło się tak, że jej prawie nie odstępowałam, bo pani Weychert była cierpiąca i przychodzić nie mogła. Czasami musiałam pójść załatwić jakieś interesy czy sprawunki i wtedy ktoś z dalszych przyjaciół mnie zastępował, ale wracałam prędko, żeby zobaczyć radosny uśmiech na kochanej twarzy i posłyszeć to serdeczne wyznanie: „Ja tak nie lubię, jak oni Ciebie zastępują”. Gorączka minęła i siadywałyśmy we dwie przy jej stoliku, ciesząc się, gawędząc, robiąc różne piękne projekty na przyszłość. Był to błogosławiony czas! Wszyscy w lecznicy przepadali za nią, była tak cierpliwa i wdzięczna za każdą usługę, a potem tak nieraz wesoła i umiejąca innych zabawić i rozśmieszyć.

Opowiadała mi, jak się odbył ten napad w Wyraju. Była zupełnie sama i w nocy posłyszała stukanie do drzwi; wstała, ale zanim do drzwi doszła, otworzyły się same i ukazało się dwóch ludzi. Zrozumiała, że to napad, i cofnęła się do drugiego wejścia, ale tamtędy też już ktoś wchodził. Zapytali o pieniądze, powiedziała, że ich nie ma, i jeden z bandytów strzelił do niej tak z bliska, że pomyślała: „To jest śmierć”. Na to drugi powiedział: „Po co strzelasz, draniu?”. Widząc, że krew uchodzi, obmyła ranę i wyciągnęła się na łóżku, a oni związali jej z tyłu ręce; zaczęli rabować, co się dało, i potem sobie poszli, a ona po indiańsku rozcięła związanie rąk na ostrzu siekiery i poszła do fornału w stajni, żeby zaraz jechał do Warszawy z zawiadomieniem. Ale dopiero koło jedenastej doczekała się ratunku: przyjechała pani Weychert samochodem Amerykańskiego Czerwonego Krzyża z pielęgniarkami, opa-trzyli ją i zabrali do Warszawy.

Naturalnie cały kraj wiedział już o jej przygodzie<sup>37</sup>. Zewsząd przychodziły słowa sympatii, radości z jej ocalenia, uznania dla jej ducha i pracy. Któregoś dnia, kiedyśmy tak spokojnie we dwie siedziały, ktoś zapukał, i wszedł niespodzianie mój brat Henryk, świeżo przybyły z Polesia. I on się całym sercem ucieszył, widząc, że wszelkie niebezpieczeństwo już minęło, siedział z nami i gawędziliśmy bez końca. Przywiózł z sobą dla Rodziewiczówny adres<sup>38</sup> od admini-stracji i służby młodowskiej, napisany z ich własnej inic-jatywy, wyrażający głęboką radość z jej ocalenia i prawdziwą cześć i uznanie dla jej twórczości i pracy.

Na Polesiu już było bezpieczniej, bolszewicy cofnęli się na wschód, po dworach naszych zaczęła się raz jeszcze praca nad dźwiganiami wojennego zniszczenia, a tym razem i nad budowaniem Polski w naszych stronach, które przestały być „zabranym krajem”, a stały się integralną częścią Polski. Ta myśl dodawała siły i była dźwignią w tych początkowych ciężkich czasach.

W czerwcu Rodziewiczówna mogła już wrócić do swego mieszkania i powrót ten był bardzo radosny – postanowiliśmy razem, że w ciągu lata pojedziemy na Jasną Górę podziękować Matce Boskiej za to ocalenie, a tymczasem czekała nas jazda do Hruszowej i Mołodowa, jak tylko siły na to pozwolą. Odwiedziłam jeszcze „Emerytkę”, skąd zaraz po wypadku Rodziewiczówny wyjechałam była tak niespo-dzianie, i zjawiłam się znowu w Warszawie, żeby jej towarzy-szyć w podróży.

Zdrowie już było wróciło, została tylko jeszcze mała ranka za uchem, odrastały bujnie ogolone w czasie róży włosy, i odrastały, wijąc się w pukle, które ona nazywała „karakułkiem”. Niestety, po pierwszym ostrzyżeniu karakułek nie wrócił. Pojechałyśmy razem do Hruszowej, potem do Mołodowa i wszędzie tak ją radośnie witano. Potem pojechałam do „Emerytki” i umówiliśmy się, że się spotkamy w Warszawie dla wspólnej podróży do Częstochowy. O ile pamiętam, nastąpiło to w sierpniu.

Jechałyśmy z radością, że możemy dotrzymać naszego ślubowania, a jako towarzysza podróży miałyśmy pierwszy egzemplarz właśnie wydanego *Lata leśnych ludzi*. Czytałyśmy razem, z tej samej książki i tak to nam żywo przypominało przedwojenne chwile przeżyte razem w tej kochanej chacie, żeśmy w wielu, wielu miejscach odrywały oczy od książki i ze wzruszeniem spoglądały na siebie: „Pamiętasz...”.

Dojechałyśmy pod wieczór, z przejściem patrząc z okien wagonu na ukazującą się już z daleka jasnogórską wieżę. Tylu pokoleniom i tylu wiekom przyświecała ona tak w blas-kach zachodzącego słońca, tyle błagalnych i dziękczynnych spojrzeń ku niej się wzniosło. Była ona naprawdę sercem i duszą tego kraju, a Jasnogórska Pani była naprawdę Królestwa tego Królową.

Nazajutrz od rana byłyśmy już w kaplicy, poszłyśmy obie do spowiedzi i Komunii Świętej, i tam przed cudownym obrazem, gdzie od wieków miliony dusz ludzkich kornie zanosily prośby i dziękczynienia i myśmy naszą gorącą podziękę dożyły.

Poszłyśmy potem na wały, obeszłyśmy piękne stacje Męki Pańskiej Welońskiego<sup>39</sup>, a po

południu ruszyliśmy z po-wrotem ku Warszawie.

W Hruszowej Rodziewiczówna zaraz po ustąpieniu wojsk bolszewickich zaczęła była pracę nad dźwiganiem wsi, do której po trochu ludność ze Wschodu już wracała; zawiązała miejscowe kółko rolnicze, nazwane „Mozół”, sprowadzała dla nich wagonami żywność, zboże i kartofle, które dzięki swym stosunkom w Stowarzyszeniu Ziemianek dostawała na szczególnie dogodnych i umiarkowanych warunkach; każdy wra-cający szedł do dworu, wiedząc, że znajdzie tam radę i pomoc. Odbywały się zebrania zarządu kółka, którego ona była prezesem, można było mieć nadzieję, że stosunki dworu ze wsią ułożą się po dawnemu pomyślnie, że tworzyć będziemy z czasem zwartą na Kresach Polskę. Że się stało inaczej, złożyło się na to tyle nieszczęśliwych warunków, tyle błędów z góry, i tak obfity, trujący posiew ze Wschodu.

W każdym razie zrozumialiśmy jedno, że życie leśne w kochanej czaharskiej chacie odżyć już nie mogło! Nie było już tego poczucia spokoju i bezpieczeństwa – wojna nauczy-ła wszystkich nieposzanowania ludzkiego życia i własności. Ci, co wracali ze Wschodu i widzieli tam przewrót bolszewi-cki, spokojnym elementem już nie byli; nie, nie można było marzyć o pozostawieniu w lesie ukochanej czaharskiej chaty.

Rodziewiczówna miała w takich razach decyzję prędką; postanowiła, że chatę przewiezie do ogrodu i będzie nam służyła jako miejsce odpoczynku i kochanych, przeżytych wspomnień. Chatę nasi ludzie w mig rozebrali, belki ponumerowali, przewieźli, i w miejscu przez nas wybranym, w hruszowskim ogrodzie, chata stanęła taka, jaką była w lesie, z tym samym wewnętrznym urządzeniem i ozdobami. Obraz Matki Boskiej tak samo wisiał na ścianie, i była dla nas ta kochana chata miejscem odpoczynku po pracy w ogrodzie. Kolekcja jaj w lesie zebrana znalazła w niej dawne miejsce. Rodziewiczówna lubiła tam przesiadywać, obserwować przelatujące beztrosko, śpiewające w ogrodzie ptaki, szukając jej, wiedziałam, że tam ją znajdę; jednym słowem, czaharska chata do końca pozostała dla nas czymś bliskim i drogim.

W jesieni przyjechała do mnie znowu do „Emerytki” moja siostra i tym razem nic już nam nie przeszkodziło; cieszyłam się ogromnie, że ją goszczę w moim małym domku i jej było dobrze. Spędziłyśmy razem parę tygodni, myśląc z ulgą, że już będziemy się teraz widywać częściej i łatwiej, że już nie ma między nami *Etappen*<sup>40</sup> i *Front gebiefu*<sup>41</sup>. Zaczynała mnie korcić rzecz jedna: czułam, że na naszym Polesiu zacznie się teraz wyteżona polska praca, a mnie tam nie ma! „Emerytkę” bardzo lubiłam jako miejsce i jako uczucie zupełnie własnej ziemi, własnego domu, ale za Polesiem tęskniłam bardzo, a do okolic „Emerytki” przyłgnąć nie mogłam – ludzie byli tam inni, było mi między nimi chłodno i obco.

Zaczęła mi świtać myśl, żeby „Emerytkę” sprzedać, wrócić na Polesie, nabyć tam swój kawałek ziemi i stanąć do roboty. Z tą myślą pod koniec października wróciłam do Warszawy.

Zaczęłam o tym mówić z Rodziewiczówną, prosząc, żeby mi sprzedała kawał hruszowskiej ziemi; założymy tam nową, moją osadę, będę bliźutko niej i Mołodowa, i nie będę już samotna jak w „Emerytce”. Z początku się wstrzymywała, bo czasy nie były jeszcze bardzo pewne, ale potem i jej się to uśmiechnęło, że będziemy razem, i w zasadzie sprzedaż biednej „Emerytki” została postanowiona. Rodziewiczówna poddała mi wtedy zaraz myśl, żebym w Warszawie zimą poszła na kurs Czerwonego Krzyża; na Polesiu tak potrzeba pomocy leczniczej i tyle można tym zdziałać. Wrócę na Polesie jako fachowa siostra Czerwonego Krzyża, urządzimy ambulatorium i będę mogła w pełni użytkować swoje amatorstwo i zdolności do leczenia chorych, a zarazem służyć polskiej sprawie. Trafiło mi to do przekonania i zapisałam się na kurs, mający się zacząć po nowym, 1920 roku.

Tymczasem przyjechał Henryś, z zamiarem spędzenia w Warszawie dłuższego trochę czasu, i przyszedł do mnie wieczorem w rozpaczy, że nigdzie w porządniejszych hotelach nie ma miejsca, i że musiał stanąć w okropnym hoteliku na Bielańskiej. Zaproponowałam mu, żeby się



przeniósł do mnie, bo miałam dwa pokoiki; urządziłam mu ten drugi, jak mogłam najlepiej, i tegoż wieczora zainstalował się u mnie z wielką radością.

Szły święta Bożego Narodzenia 1919 roku. Henryś tak się cieszył Warszawą i spokojnym u mnie mieszkaniem, że miał ochotę i święta tu spędzić. Umyśliliśmy, że w takim razie ja na święta pojedę do siostry do Mołodowa, żeby jej samej nie zostawiać. I tak zrobiłam. Wróciłam na Nowy Rok 1920 i zaraz po powrocie zaczęłam uczyć na kurs Czerwonego Krzyża. Całe ranki miałam zajęte praktyką w szpitalu, po południu były godziny wykładowe, wieczory spędzałam w domu, przeglądając notatki z wykładów, których się zbierało coraz więcej. Przychodziła często wtedy Rodziewiczówna, którą moje kursy bardzo interesowały, i robiłyśmy projekty, jak zorganizujemy tę pomoc leczniczą na Polesiu. Jednocześnie starałam się już o sprzedaż biednej „Emerytki” i wkrótce stało się to już faktem dokonanym.

Były to czasy, kiedy wojska nasze posuwały się szybko na wschód i pamiętam, że ogarniał nas niepokój, czy to nie za wiele, czy ta wyprawa kijowska wyjdzie nam na dobre?

Miałam wtedy w szpitalu Czerwonego Krzyża, w którym pracowałam, przygodnego przyjaciela, z którym o tych ważnych sprawach często rozmawiałam; był nim znany literat warszawski, były redaktor biblioteki Warszawskiej, p. Henkiel, człowiek stary, bardzo już schorowany, ale z bardzo jeszcze żywym umysłem i interesujący się wszystkim, co się w kraju działo. Do moich obowiązków należało odwiedzanie go, mierzenie temperatury itd., a żeśmy się wzajemnie polubi-li, korzystałam z wolnych chwil czasu, żeby dłużej przy nim posiedzieć. Pochodził z Żytomierza, Kresy Wschodnie kochał i doskonale rozumiał moją tęsknotę za Polesiem. Niepokoiłiś-my się razem o losy kijowskiej wyprawy.

W kwietniu wzięłam kilkudniowy urlop i pojechałam sprzedaną „Emerytkę” likwidować, zabierając na Polesie żywy inwentarz, narzędzia, zapas ziarna i umeblowanie domu. Szły więc z moją gospodynią Rózią dwa wagony i pamiętam, jak ostatnią furmanką wyjeżdżałam sama, siedząc na otomanie i obejmując jedną ręką psa stróża, Czuwaja, a w drugiej trzymając lampę, którą zapomnieliśmy byli zapakować. Żal mi było tej swojej ziemi, która w tych wojennych bezdomnych latach dała mi właśnie to schronienie własnego domu, ale Polesie za silnie mnie wołało do siebie!

Wkrótce zaczęły się egzaminy z kursu Czerwonego Krzyża, rozdanie dyplomów – i mogłyśmy jechać. Otrzymałam polecenie szczepienia ospy po wsiach, bo ludność wtedy zaczynała już wracać ze Wschodu, i w ślad za nią mogły przyjść epidemie; dostałam dużą ilość szczepionki, instrukcje (trochę z zielonego biurka), jak się do tego zabierać – i 8 maja ruszyłyśmy z Rodziewiczówną bardzo radośnie do Gruszowej. Znalazłam zainstalowaną Rózię, a kochany dom hruszowski przyjął mnie od razu za swoją – i tak się zaczęły te 25 lat współżycia, w których dom Rodziewiczówny stał się naprawdę moim własnym domem.

## Rozdział IV

Na razie miałam już obsiany kawałek ziemi, gdzie się miałam zabudować, ale to odkładałyśmy do następnego roku – a tymczasem wzięłam się do szczepienia ospy, jeżdżąc po wsiach okolicznych i z trudem tłumacząc sołtysom i gos-podarzom, że to koniecznie potrzebne. W dniach, które miałam swobodne, obmyślałyśmy z Rodziewiczówną powo-jenne ulepszenia w Hruszowej, pracowałyśmy razem w ogro-dzie, w ulubionych inspektach, w których na szeroko ogro-dzonym, słonecznym kawałku najbujniejszej hruszowskiej ziemi rosły doskonale prowadzone, najpotrzebniejsze i naj-lepsze jagody i warzywa. To było miejsce pracy i odpoczynku.

Ale od Wschodu zaczęły nas dochodzić niepokojące wieści: wojska nasze opuściły Kijów i zaczęły się cofać – i wkrótce zaczęło to wyglądać na początek jakiegoś groźnego niebezpieczeństwa, a potem na początek klęski. I znowu stronom naszym zaczęła grozić fala ze Wschodu, a przed nami stawało pytanie: co zrobić? Po strasznych przejściach Mołodowa w 1919 roku czułyśmy, że nie można myśleć o pozostaniu, z drugiej strony, perspektywa opuszczenia domów naszych była tak bolesna!

Dzień 15 lipca był dniem imienin brata mojego, Henryka, pojechałyśmy więc obie do Mołodowa, żeby się tam wspólnie naradzić i wspólnie coś postanowić. Położenie z dnia na dzień stawało się groźniejsze i po porozumieniu się z moim rodzeństwem postanowiliśmy nie dać się ogarnąć wschodniej fali, i w razie wyraźnego niebezpieczeństwa wyjechać na za-chód, razem. Miałyśmy się spakować i być gotowe, a oni mieli jechać na Hruszowę i po nas wstąpić. Żegnaliśmy się z ciężkim sercem. Po paru dniach pobytu w Mołodowie po-łożenie na tyle już było gorsze, że na stacji w Janowie nie znalazłyśmy już żadnego osobowego pociągu, tylko z trudem dostałyśmy się do jakiegoś wojskowego i to tylko na otwartą platformę tak, żeśmy siedziały przy armacie! Nie było przynajmniej wątpliwości, że nas znowu ogarnia wojen-na atmosfera!

Dojechałyśmy do Hruszowej nad ranem i po odpoczynku trzeba się było brać do pakowania. Mogłyśmy zabrać z sobą to, co mogło się zmieścić na paru przeznaczonych do drogi wozach, tj. osobiste rzeczy; bydło, owce miały iść z nami – o zabieraniu mebli nie mogło być mowy.

Tymczasem któregoś dnia zajechało do nas paru oficerów i rozejrzawszy się po hruszowskim dworze, powiedzieli, że nie mogą na to pozwolić, żeby tyle cennych rzeczy zostawało na łup nacierającego wroga, i że się dla nas wystarają o trzy wagony. I rzeczywiście zawiadomiono nas ze stacji, że trzy wagony na nas czekają, tak że mogłyśmy załadować więk-szość mebli, zapasów, konie, trzodę, a wychowanka Rodzie-wiczówny, pod której opieką ten cały transport wyruszał, zabrała nawet kurę siedzącą na jajach. Wyruszyli aż w Kut-nowskie, do majątku Baruchów, przewodniczącej Stowarzy-szenia Ziemianek, pani Kretkowskiej.

Myśmy czekały w gotowości na przyjazd z Mołodowa i zaczął nas niepokój ogarniać, czy nie będzie za późno? Aż 23 lipca rano ktoś ze służby wpadł z oznajmieniem: „Bydło mołodowskie przyszło!”. Nigdy nie zapomnę tego wrażenia!

Kości były rzucone, trzeba było wszystko opuścić i jechać w nieznaną! Zaczęłyśmy gorączkowo zbierać ostatnie rzeczy, a po paru godzinach doczekałyśmy się przyjazdu mego rodzeństwa z Mołodowa i stryjecznego rodzeństwa, Romana Skirmuntta z siostrą z Porzeczna. Postanowiliśmy, że do wieczora wszyscy trochę odpoczną, a na noc ruszymy w dal-szą drogę, już wszyscy razem.

Rodziewiczówna przez te wszystkie dni była pełna wiary i spokoju, dom swój kochany

powierzała opiece trojga ludzi, którzy u niej od wieków służyli, miejscowym Poleszukom; rządcą, zacny pan Kisiel, z żoną jechał z nami.

Przyszedł wieczór i trzeba było ruszać; wyprowadzono wielki tabun bydła naszych trzech uchodzących dworów, ruszyły bryczki Mołodowa i Porzecza – i zostałyśmy do wyjazdu ostatnie. Rodziewiczówna obesza spokojnie kocha-ny dom, przeżegnała go, klucze oddała owej trójce poleskich opiekunów i siadłyśmy na pozostawiony dla nas jednokonny wózek. Ruszając spod ganku, zaczęłyśmy śpiewać *Boże coś Polskę* – i pojechałyśmy razem w świat, na pierwszą wspólną tułaczkę. Nie przypuszczałyśmy wtedy, że za lat 19 pójdziemy na drugą tułaczkę, o tyle cięższą i boleśniejszą, z której do gniazd naszych nie będzie nam sądzono powrócić!

Świat w ten lipcowy wieczór wyglądał dziwnie ponuro; od wielu już dni paliły się gdzieś lasy i cały horyzont zasnuty był szarą mgłą dymu. W ostatnich dniach zaczęły się palić łąki i pastwiska i jechało się wśród tych dymów, wśród peł-zających po ziemi języków ognia, i miało się wrażenie, że natura cała bierze udział w tej trwożnej ucieczce, w oczekiwa-niu nadchodzącej znowu wojennej pożogi. A jednak jechałyśmy z wielkim spokojem; musieliśmy jechać powoli, bo towarzyszyło nam bydło, i pamiętam, że w pewnej chwili kuzyn nasz Roman zbliżył się do nas i szedł przy naszym wózku, prowadząc z Rodziewiczówną fachową literacką roz-mowę. Było już ciemno i drogę oświetlały nam tylko pełzają-ce po ziemi światła dalekich reflektorów, bo tej nocy bolsze-wicy zajmowali Prużanę, o kilka mil od Hruszowej odległą.

Nad ranem dojechaliśmy do Kobrynia, a pod wieczór ruszyliśmy dalej. W połowie drogi do następnego postoju mijał nas samochodem gen. Sikorski<sup>42</sup>, zatrzymał się i po-znawszy mego brata, wymawiał mu, że zwlekał tak długo z wyjazdem – tak łatwo mogło już być za późno.

Nocowaliśmy pod gołym niebem niedaleko Wabinki i ra-no jechaliśmy dalej w stronę Brześcia, pragnąc gorąco znaleźć się za Bugiem. Minąwszy go, stanęliśmy na polance, w po-bliżu rzeki i rozłożyliśmy się na dłuższy trochę odpoczynek. Rozpaliliśmy ogniska, gotowali posiłek i słaliśmy sobie na łące posłanie, żeby móc się spokojnie przespać i odpocząć; mieliśmy nadzieję, że już nas bolszewicy nie dościgną i chcieli-śmy nasz postój przedłużyć do dwóch dni. Dla Rodziewi-czówny takie nocowanie pod gołym niebem było wielkim narażeniem, bo płuca miała słabe, łatwo się przeziębiała i ciężko w takich razach zapadała na zdrowiu; przy tym panowały wtedy epidemiczne ostre zaburzenia żołądkowe i ona zapadać na to zaczęła. Namówiłam więc ją, żeby jechała koleją do Warszawy i tam na mnie czekała, a ona obiecała, że u Ziemianek obmyśli i przygotuje tymczasem przytułek dla naszych inwentarzy. Żegnać się było nam bardzo ciężko, taka groza wisiała w powietrzu, ale nie było rady.

Odwiozłam ją raniutko do Terespoła, ciesząc się, że wkrótce odpocznie w Warszawie; pociąg stał i miejsce się dla niej znalazło. Umówiliśmy się, że ostatni nasz postój pod Warszawą będzie u pani Chrzanowskiej w Olszynchach i że tam znajdziemy wskazówki co do dalszej drogi dla naszych inwentarzy.

Wróciłam samotnie do naszego obozu, który nazajutrz ruszył w drogę. Ale to, cośmy widzieli, nie dodawało otuchy; przeganiały nas oddziały cofającego się wojska, zdeorganizowane i przygnębione; mijaliśmy tabory podobne do naszego, tylko bardziej od nas zmęczone i z dalszych stron uchodzące: „Jedziemy od Bobrujska” – „My spod Borysowa” – „Jesteś-my w drodze od sześciu tygodni” – „My od czterech”. Byli to nasi, swoi, Polacy, i tak było żal tych ludzi; tak żal tych dworów i zaścianków, opuszczonych na łup wroga!

Nocowaliśmy, gdzie się dało, w bliskich od drogi dworach, w leśniczówkach, nieraz pod gołym niebem; prawdziwy odpoczynek mieliśmy w Woroncu u księżnej Mirskiej, a potem u krew-nych naszych, Buynów w Broszkowie; ale co najsmutniejsze robiło wrażenie, to, że dwory, które nas gościły, parę dni potem przeganiały nas, jadąc też ku Warszawie, bo groza nadciągające-go wroga była coraz bliższa, a zamieszanie i bezład mijających nas oddziałów

naszego wojska coraz większe. Z coraz większym niepokojem pytaliśmy siebie; gdzie jest i skąd się weźmie siła, która wroga zatrzyma, a z tych bezładnych, zdemoralizowanych, cofających się oddziałów zrobi się wojsko zwycięskie?

Bardzo ciężka była ostatnia noc przed Warszawą; jechaliśmy wśród stada naszego bydła, przerażonego nieustannym na szosie ruchem krzyżującego się w różnych kierunkach wojska i przelatujących oświetlonych samochodów. Do Olszyn trzeba było skręcić na inną szosę pod ostrym kątem, i pamiętam, że zawracając, byłam przekonana, że cały nasz inwentarz przepadnie, bo wśród tego ruchu nie było możliwości stadem tym kierować i w porę go na załomie szosy zawrócić. Przeważony tabun szedł prosto, na oślep. Tym-czasem kochane poleskie krowy dały dowód niesłychanego instynktu; hruszowski stadnik, piękny Kacper, dał widocznie za nimi sygnał zawrotu, bo w miarę, kiedyśmy się zbliżali do Olszyn, zaczęły nas mijać doganiające sztuki bydła i dojechaliśmy do dworu w otoczeniu całego stada. Obeszłam zaraz wszystko i ani jednej sztuki nie brakowało.

W Olszynach pań domu nie było, ale gospodyni wiedziała o naszym przyjeździe, grzecznie nas przyjęła i z ulgą spoczęliśmy pod spokojnym, przyjaznym dachem.

Od Rodziewiczówny otrzymaliśmy tam wskazówki, że inwentarze nasze będą przyjęte u państwa Grzybowskich w Kutnowskim; po naradzie więc zostało postanowione, że ja z siostrą pojedziemy koleją do Warszawy, gdzie miałam swoje mieszkanie na Świętokrzyskiej, a Henryś z Romanem i resztą naszej gromadki pojedą z inwentarzami w Kutnowskie. I tak się też stało.

Przyjechawszy do Warszawy, znalazłam Rodziewiczównę zdrową i szczęśliwą, że w tym groźnym czasie jesteście znów razem – na złą i dobrą dolę. Idąc Świętokrzyską, mijałam znany mi skład węgla, i właścicielka, zobaczywszy mnie, powitała okrzykiem: „To się też pani spaliła!”. Przy-szedłszy do mieszkania, spojrzałam w lustro: byłam miedzianobrazowa, jak Indianka! Zaczęłyśmy się z siostrą rozlokowywać u mnie i wsłuchiwać w nastroje stolicy. Położenie było groźne, fala bolszewicka nadciągała i okrążała miasto, ale Warszawa miała już w swojej przeszłości wiele groźnych dni i pomimo wszystkiego panował spokój i wiara. Kto żył, zaciągał się do wojska; powtarzała się jakby obrona Lwowa i niedorośla młodzież szła z zapalem do ochotniczych oddziałów.

Rodziewiczówna pracowała w Czerwonym Krzyżu jako sekretarka Głównego Zarządu; dzięki jej poparciu zostałam zaraz przyjęta jako siostra do tak zwanego szpitala angielskiego na Powiślu i tam w najbliższych dniach zaczęłam pracę w oddziale, gdzie jako doktor pracowała dawna moja koleżanka z Jasłowca, Jadwiga Krupska.

Wiedzieliśmy wszyscy, że któregoś dnia możemy się obudzić z bolszewikami w mieście, ale tymczasem co dzień o szóstej rano budził mnie śpiew przeciągających oddziałów: *My, pierwsza brygada, strzelecka gromada*, i myślałam z ulgą: „To jeszcze nasi”. Kościoły były przepełnione modlącymi się i na zawsze zostanie mi w pamięci obraz placu Zamkowego, kiedy miasto całe śpiewało tam suplikacje. Był to jeden z najgorszych dni przed samym 15 sierpnia. Szłyśmy razem, żeby wziąć udział w tym błagalnym nabożeństwie i wszystkimi ulicami ciągnęły procesje, które na placu Zamkowym utworzyły zwarty tłum. Z tłumy tego bił w niebo jeden potężny, błagalny głos: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami”.

W dzień Wniebowzięcia, 15 sierpnia, raptem buchnęła wieść, że bolszewicy odparci!

Rodziewiczówna była na posiedzeniu Zarządu Czerwonego Krzyża, kiedy generała Hallera, który przewodniczył, wywołano do drugiego pokoju. Wrócił i powiedział: „Mam do zakomunikowania szczęśliwą wieść: generał Sikorski prze-rwał front pod Zegrzem”... To było pierwsze zwrotne zwycięstwo, na ulicy szło to z ust do ust – twarze promieniały – Warszawa była ocalona! Potem przyszły bliższe szczegóły, zapal naszych młodocianych oddziałów,

bohaterska śmierć ks. Skorupki<sup>43</sup>, a dalej po tym bohaterska obrona Płocka, Zamościa... Cud nad Wisłą był dokonany!

W szpitalu zaczęła się usilna, absorbująca praca przy rannych i chorych, których przywożono nam dużo; byli wśród nich młodzieńcy chłopcy, wśród cierpień wołający: „Mamo”. Na mojej sali miałam śmiertelnie ranną dziewczynę-żołnierza, która zasłużyła na wysokie odznaczenie pod Radzyminem, tam, gdzie życie dał ks. Skorupka. Żyło się w atmosferze poświęcenia, ofiarności i wielkiego szczęścia, że kraj ocalony.

Często pytałam rannych żołnierzy, gdzie się bili, w jakich okolicach? O Mołodowie niczego nie mogłam się dowiedzieć, ale raz trafiłam na takiego, który był ranny pod Horodcem, w Hruszowej był i zaręczał, że dwór stoi w całości. Ucieszyłyśmy się z Rodziewiczówną całym sercem i zaczęła ona przemyślać, jakby tam kogo posłać na zwiady. Wkrótce potem wychowanka jej, panna Rustówna, która wywiozła była z Hruszowej wagony z meblami, ruszyła na pierwszy rekonesans, wioząc ze sobą 20 funtów pszenicy, które Rodziewiczówna poleciła jej koniecznie posiać, pomimo spóźnionej pory, jako symboliczny znak objęcia znowu w posiadanie ukochanej ziemi. Po tygodniu wróciła szczęśliwie: dom stał i budynki gospodarskie były w całości, a kiedy raniutko doszła do Hruszowej i odezwała się pod oknem, posłyszała radosny głos starej Obapy: „Karpyno, nasze pany prychały!”. Taż sama Obapa w czasie bolszewickiego najścia błagała żołnierzy: „Sokołyki, ono okon ne byjte!”. I tak uprosiła, że ani jednej szyby nie brakło. Tych troje opiekunów poleskich, wybranych przez Rodziewiczównę dla Hruszowej, to było stare pokolenie, żyte, zrosnięte z dworem; nie przeszli oni byli bolszewickiej szkoły w Rosji, nie skrzywiły jeszcze ich pojęć błędy źle wybieranych przedstawicieli naszej późniejszej administracji, dzieliło nas jeszcze lat 19 od strasznego 1939 roku.

Zacząło nas coraz bardziej ciągnąć do domu. Nadszedł listopad i zdecydowałyśmy, że w tym miesiącu ruszymy z powrotem – inwentarze nasze miały dłużej pozostać w Kutnowskim, bo Hruszowa przeszła była przecież inwazję i wszelkie zapasy były zrabowane; miałyśmy znaleźć w domu tylko kapustę i trochę kartofli; ale to wszystko było niczym wobec radości powrotu. Rodziewiczówna wysłała naprzód znowu wychowankę, żeby nam parę pokoi jak-kolwiek wyporządziła, i 19 listopada ruszyliśmy w radosną powrotną drogę.

Na stacji czekała nas poleska furmanka; podjechaliśmy ze wzruszeniem pod ganek i wszedłszy do odnalezionego kochanego domu, zaczęliśmy śpiewać: *Jeszcze Polska nie zginęła*.

Nastrój był inny niż wtedy, kiedy wyjeżdżałyśmy w lipcu, śpiewając *Boże coś Polskę*. I odtąd, aż do końca, co roku 23 lipca, jako w rocznicę naszego wyjazdu, miałyśmy w hruszowskiej kapliczce dziękczynną Mszę świętą. I zaczęło się odtąd wspólne, kochane hruszowskie życie. Zdecydowałyśmy z Rodziewiczówną, że projekt stworzenia mojej osobnej osady nie ma już teraz racji bytu; czasy były powojenne, bez dawnego bezpieczeństwa, przeszłyśmy razem tyle ciężkich chwil, dobrze nam razem, niech więc jej dom będzie moim domem. I na tym stanęło. Nie pożalowałam tego nigdy – i nigdy nasza *Wahlverwandtschaft*<sup>44</sup> nie dała mi chwili zawodu!

## Rozdział V

Wzięliśmy się razem porządnie do pracy. Rodziewiczówna chciała, żebym od razu miała bardzo wyraźne stanowisko pani domu, objęłam więc po trochę i coraz bardziej wszystko, co się z tym stanowiskiem łączyło: dom i gospodarstwo kobiece; ona sobie zostawiała interesy i męską część gospodarstwa. Trzeba było zaczynać od początku, uważnie i oszczędnie, bo o dochodach nie mogło być mowy, trzeba było wkładać, dźwigać i kupić wszystko, co do życia było potrzebne – zboże, kartofle, warzywa. Tryb życia był więc bardzo skromny, ale atmosfera domu pełna pogody i wesołości. Przy tym Rodziewiczówna zaczęła na nowo od razu stosować w naszym życiu dewizę jej matki: „Chcesz mieć, to dawaj”. Hruszowa stała się więc ratowniczym punktem dla całego sąsiedztwa, dworów, wsi i serdecznym staraniem otoczyła tak niedawno odzyskany horodecki parafialny kościół. Proboszcz nasz dłuższy czas u nas mieszkał, Hruszowa finansowo pomogła w najpotrzebniejszych pracach, przy koniecznej elementarnej naprawie kościoła i plebanii, a później włożyła w porządną restaurację tegoż kościoła fundusz kilku tysięcy złotych, ofiarowany Rodziewiczównie przez społeczeństwo.

Zaczęliśmy jak najmniejszym kosztem doprowadzać po trochę do porządku dom hruszowski, same obijałyśmy miejscowymi samodziłami, odarte naturalnie w czasie inwazji, pozostałe w domu wyściełane meble; malowałyśmy podłogi i wszelkie ulepszenie było witane dziecinną wprost, szczerą radością. A te pierwsze święta Bożego Narodzenia, jakie były pogodne i wesołe! Przyszli poczcivi Kisielowie i każda z nas kobiet gotowała samodzielnie jedną potrawę tradycyjną wigilijnej wieczerzy. Była mała choinka, siano na wigilijnym stole, opłatek, a potem śpiewano całym sercem kolędy.

Zaraz po świętach pojechałam do Mołodowa, spędzić Nowy Rok z rodzeństwem, które też usilnie dźwigało nasze kochane, mołodowskie gniazdo. Nie znalazłam już ciotki naszej, Antoniny Skirmuntówny, ostatniej z rodzeństwa ojca, która nie mając już domu, ostatnie lata życia spędziła w Mołodowie, a nie chcąc w lipcu 1920 roku wyjeżdżać, została tam z wielką mocą ducha i szczęśliwie przeżyła bolszewicką inwazję. Zmarła spokojnie parę dni przed moim przyjazdem, dziękując memu rodzeństwu za dom i opiekę. Cmentarz nasz rodzinny zapełniał się coraz bardziej.

Po Nowym Roku wróciłam do Hruszowej. Trzeba było brać się do leczenia chorych, bo pomocy lekarskiej w najbliższej okolicy nie było prawie żadnej. Rodziewiczówna oddała mi do użytku pokój, mający osobne wejście i co było w domu lekarstw, z jej przedwojennego ambulatorium. Dużo środków leczniczych dostałam z warszawskiego Czerwonego Krzyża i ludzie zaczęli do mnie przychodzić, w pierwszych czasach bardzo licznie. Z jakiego punktu widzenia brała te rzeczy Rodziewiczówna, niech świadczy następujący mały fakt. Któregoś dnia przyszedł jakiś chory, dobrze poza godzinami wyznaczonymi i przyjęcia go odmówiłam. Zdając z tego sprawę, Rodziewiczównie dodałam, że jestem już dziś bardzo zmęczona.

– Jeżeli jesteś już bardzo zmęczona, to trudno – rzekła mi na to, ale wiedziałam, że w głębi duszy niezupełnie jest po mojej stronie, i z odrobiną zniecierpliwienia zapytałam:

– Więc ty znajdujesz, że powinnam go była przyjąć?

A ona mi na to z wyraźnym wzruszeniem w głosie:

– A kto to wie? Może to był sam Pan Jezus?...

Naturalnie, że w tej chwili byłam przy moim chorym, który na szczęście jeszcze nie był odszedł.

Dworki okoliczne zaczynały się też po trochę ożywiać i coraz częściej do Hruszowej zaglądać, a ileż razy to było po prędką, konieczną pomoc! Jeden z sąsiadów przyjechał raz z tym,

że siostra jego musi iść do szpitala, a pieniędzy nie mają. Wiedziałam, że kasa hruszowska była zupełnie pusta, ale Rodziewiczówna poszła bez wahania i przyniosła sto złotych!

W tych pierwszych latach wróciła z Syberii liczna rodzina, najbliżej z nami sąsiadująca; wróciła do gniazd spalonych i zniszczonych wojną; najbliżsi nas wrócili do zupełnie nagiej ziemi. Rodziewiczówna, która przy swojej wielkiej zaradności i oszczędności na własne wydatki już się była po trochę odchwyciła, zebrała co było w domu pieniędzy i przeze mnie posłała owym sąsiadom, na budowę mieszkalnego domku. Na pytanie, jaki procent od tej sumy naznaczy, odpowiedzia-ła: „Gęś na św. Marcina, a indyk na Wielkanoc”. I to święcie do końca było dochowywane. W ciągu roku domek stanął niewielki, ubogi, ale swój, a jakeśmy w nim radosne mieli inkrotowiny<sup>45</sup>!... Zebrało się nas około trzydziestu osób; sie-działo się przy stole na prostych ławach, ale jaki był nastrój!... Po obiedzie zaczęliśmy wszyscy chórem śpiewać i ci Sybira-cy, urodzeni i wychowani na Syberii, znali nasze dawne, patriotyczne pieśni jeszcze lepiej niż my!... I tak się dźwigały w ojczyźnie Traugutta nasze polskie dwory, pełne wiary w polską przyszłość na Kresach!

Rok 1921/22 był rokiem strasznych epidemii, przywleczo-nych z Rosji przez powracającą stamtąd miejscową ludność. Otrzymałam była z Warszawy 1,5 kg chininy, i to wszystko zostało zużyte w walce z uporczywą malarią. Ale najstrasz-niejszy był tyfus plamisty, na który wsie całe leżały. Jednym doktorem w naszej okolicy był doktor pochodzenia francus-kiego, ale urodzony i wychowany w Rosji, przyjazna, dobra dusza, ale z naleciałościami bardzo rosyjskimi. Nazywał się Charbeau d'Artois, i któregoś dnia dowiedziałyśmy się, że leży chory na ciężki tyfus, a był samotny i nie miał przy sobie nikogo z rodziny.

Rodziewiczówna, która zawsze myślała o tym, żeby potrzebującym przyjść z pomocą, zaproponowała mi, żeby chorego przywieźć do nas i wziąć pod naszą opiekę. Pojecha-łam więc, biorąc z sobą furmankę z posłaniem dla chorego, ale doktor odmówił, bardzo serdecznie za pamięć o nim dziękując, bo miał już tego dnia być przewieziony do szpitala w Kobryniu, a rozumiał, że u nas miałyby wszystko, prócz koniecznej w tym wypadku fachowej opieki lekarskiej. Nie zapomniał nam tego nigdy, i przez kilka lat, które spędził w naszym sąsiedztwie – był dla nas zawsze prawdziwie oddanym przyjacielem.

Czekając na jego wyzdrowienie, zostałam sama, jako jedyna pomoc lecznicza w naszej okolicy i coraz częściej przyjeżdżano po mnie do chorych na tyfus. Któregoś dnia Rodziewiczówna mi powiedziała: „Ty nawet nie masz pojęcia, czym są dla mnie te twoje wyjazdy do chorych! Co dzień się boję, że już mi powiesz, że cię głowa boli, ale przecie ci tego bronić nie mogę?”. I raz po powrocie od chorego spostrzegłam, że mnie ugryzła wesz, co było niestety nieza-wodnym rozsądnikiem choroby. Czekałam co dzień na pierw-sze objawy, nie mówiąc naturalnie o tym nikomu, i po trzech tygodniach położyłam się z tyfusem.

Na szczęście Rodziewiczówna dowiedziała się, że doktor nasz w szpitalu jest już rekonwalescentem, i posłała do niego, prosząc, żeby się przeniósł do Hruszowej, gdzie i sam prędkiej do sił wróci, i mnie poratuje. Przyjechał, ledwie się jeszcze na nogach trzymając i zajął się mną jak najtroskliwiej, tak że mając poza tym w domu najserdeczniejszą opiekę, bo i siostra moja przyjechała mnie doglądać, w ciągu miesiąca chorobę zwojowałam i zaczęłam wstawać. Doktor triumfował, bo nie dawał mi żadnych środków na podtrzymanie serca: „A co! – mówił swoją wątpliwą polszczyzną – wiedziałem, że pani wytrzyma bez środków serdecznych!”.

Jednocześnie zachorowała Rodziewiczówna z tak silną gorączką, że był strach o tyfus, ale na szczęście była to influenza<sup>46</sup>, która względnie prędko minęła; było więc nas troje rekonwalescentów w domu, i my obie do sił wracałyśmy bardzo powoli. Pamiętam, że raz wyszłyśmy przed dom zerwać trochę fiołków i uklęknąwszy na trawniku, nie mo-głyśmy się podnieść! Na szczęście przyjechała moja siostra, którą witałyśmy jak wybawicielkę, bo

zdobyłyśmy w niej opiekunkę, mającą czas i możliwość zajęcia się nami jak prawdziwa siostra miłosierdzia.

Była już wiosna i ciepło; zaczęliśmy powoli wracać do zwykłego trybu życia; wróciły roboty w kochanych inspek-tach i ogrodzie i odpoczynki w chacie leśnych ludzi albo pod daszkiem nad ławką w inspektach. Jeżeli nie mogłam tam iść razem z Rodziewiczówną, to skończywszy swoje zajęcia, szłam tam jak najprędzej, witana radosnym uśmiechem i słowami: „Wiedziałam, że przyjdiesz”.

Powoli zacierały się wspomnienia utrapień wojennych i ogarniała nas coraz bardziej pogodna, jasna atmosfera hruszowskiego domu. Każda pora roku przynosiła nam swoją szczególną radość, bo nawet kiedy kończyło się lato, a nadchodziła jesień, tośmy się cieszyły na długie jesienne wieczory spędzane prawie zawsze w jadalnym pokoju, przy tak zwanym roboczym stole, gdzie się czyściło mak, łuszczyło fasolę, przygotowywało nasiona na rok następny itd. Po kolacji szłyśmy już do siebie, dzielić się wrażeniami i myślami z ubieg-łego dnia, ciesząc się, że nam Bóg dał być razem, we wspólnym, kochanym domu.

Z sąsiedztwa odwiedzano nas często, szczególnie sąsiedzi z postawionego niedawno małego domku, a kiedy przy-chodziła jaka większa robota, np. parokrotne w ciągu zimy bicie wieprzy, to do pracy przy robocie wędlin, przy jadalnym roboczym stole stawały też sąsiadki, wywdzięczając się w ten sposób za doznawaną przy każdej okazji pomoc. Rodziewi-czówna krążyła wśród nas, rozweselając wszystkich swoją wesołością, humorem i pogodą duszy. Opowiedziała nam kiedyś, że będąc już zupełnie niemłoda, za namową znajo-myh posłała swoje pismo do oceny grafologicznej, która orzekła, że ma lat osiemnaście i skłonność do figlów. Ocena była zupełnie prawdziwa, bo jak mówiła Rodziewiczówna: mamy lat tyle, jak młoda jest nasza dusza; skłonność do figlów zachowała zawsze i do końca jej pogodna i gorąca dusza miała lat osiemnaście.

Dom hruszowski umiał w razie potrzeby rozszerzać swoje ściany i serce i miewaliśmy w tych pierwszych latach różnych przygodnych domowników. Nauczycielka hruszowskiej wiej-skiej szkoły mieszkała przez dwa lata w naszym domu, nie płacąc naturalnie za nic ani grosza; a potem Rodziewiczówna zaprosiła na całą zimę dwie córki naszych najbliższych sąsiadów, przygotowujące się do szkół, z nauczycielką, bo w ich małym domku dla nauczycielki brakło pokoju.

I zjawiały się ze świata różne osoby znające Rodziewiczównę tylko z jej książek, a tęskniące do poznania jej osobistego. Raz przyjechała z Wołynia, zupełnie nam nie-znana, panna Jakubowska, młoda dziewczyna myśląca i czująca głęboko, właścicielka małego folwarku, w którym pracowała samodzielnie, miłośniczka ziemi i codziennej przyziemnej pracy. Od pierwszej bytności całym sercem do nas i do Hruszowej przyłgnęła tak, że przyjazdy jej coroczne, na tak zwane hruszowskie wakacje, weszły w stały zwyczaj, i co roku w listopadzie, bo to był miesiąc dla niej najswobodniejszy, spędzała z nami dobrych parę tygodni, biorąc udział w na-szym codziennym życiu i wywołując z hruszowskiego domu zapas optymizmu, pogody i odporności. Po kilku latach mogłam ją w jej Trochodach odwiedzić, w świeżo postawio-nym nowym domu, do którego drogę wskazywał krzyż z Bożą Męką, przyslaną jej z Hruszowej. Na domku pięły się już hruszowskie róże i zdawało się, że życie w nim popłynię zdobyte ciężkim trudem tak jak w Hruszowej, ale jasno i po Bożemu. Przyjeżdżała do nas aż do roku wojny, potem nas listownie odnalazła w Warszawie, przebywszy mężnie bol-szewickie więzienie. Była zdrowa, w swoim kochanym dom-ku, wśród róż, z których nam przysłała kilka płatków, i marzyła o dojechaniu do nas do Warszawy. Był to jej ostatni list, zakończony „wonią i barwą tych róż”, i jedną z bardzo bolesnych chwil, któreśmy w czasie tej wojny z Rodziewiczówną przeżyły, była wiadomość, że nasze kocha-ne, przybrane dziecko w czasie potwornych walk



ukraińskich na Wołyniu zostało zamordowane na progu tego swojego własnego domu! Zamykała się jeszcze jedna karta tak blisko z nami związanego życia.

## Rozdział VI

Pragnieniem Rodziewiczówny było wzmocnienie sił polskich na Polesiu, jak najściślej zjednoczenie dworów we wspólnej pracy, podnoszenie naszych gospodarstw i wzajemna we wszystkim pomoc. W tym celu zawiązała czysto polskie kółko rolnicze, niemające szerokiego zasięgu, bo jednoczące tylko najbliższe sąsiedzkie dwory; znajdowała, że każdy z nas ma za wiele pracy u siebie, żeby móc na jakieś dalekie zjazdy jeździć, więc lepiej zacząć od bardzo realnej, wspólnej roboty. Dla członków obstałowała w Warszawie srebrne odznaki, przedstawiające gałązkę poleskiej łązy, która tak trudno daje się wykorzystać – z napisem „Trwam”.

Zbieraliśmy się co miesiąc w innym dworze, oglądaliśmy miejscowe gospodarstwo i witaliśmy z radością każdy postęp i ulepszenie. Był wspólny obiad, z którego wszelka wystawność była z zasady wykluczona, potem rozmowa na tematy gospodarcze i społeczne, i wracało się do domu zwykle dosyć późno. Odtąd w wielu wypadkach, w różne rocznice, kółko nasze występowało solidarnie i przeżyliśmy razem wiele dobrych i podniosłych chwil. Ósmego września mieliśmy zawsze Mszę św. na intencję kółka i z inicjatywy naszego prezesa członkowie kółka do Mszy św. służyli.

W 1927 roku dowiedzieliśmy się, że we wrześniu odbędzie się uroczyste przewiezenie obrazu Najświętszej Panny Kodeńskiej<sup>47</sup>, którego cudną historię tak spopularyzowała u nas Kossak-Szczucka w swoim ślicznym *Beatum Scellus*<sup>48</sup>, i Rodziewiczówna, która do Matki Boskiej szczególnie miała nabożeństwo, zaraz podała projekt, żeby kółko nasze odbyło do Kodnia pielgrzymkę. Z początku mieliśmy zamiar udać się do Kodnia, jak już cudowny obraz będzie na miejscu i kiedy Kodeń, po uroczystościach przeniesienia, będzie znowu cichy i pusty, ale dowiedziawszy się o tym, biskup Przeździecki napisał do Rodziewiczówny, że chciałby, żeby jej pielgrzymka wzięła udział w samej uroczystości przeniesienia. Stało więc na tym, że spotkamy obraz w Te-respolu i dalej pójdziemy już razem.

Do apelu Rodziewiczówny stanęło całe kółko i pierwszego września zjechaliśmy się wszyscy na Mszę św. w Horodcu, którego proboszcz miał nam towarzyszyć. Gotowaliśmy się do tej pielgrzymki bardzo radośnie; z Hruszowej szedł wóz z prowizjami na drogę, okryciami na noclegi i na nim większą część drogi jechała Rodziewiczówna, dla której sił i zdrowia przejście pieszo 100 km było stanowczo niemożliwe. W Horodcu stawili się wszyscy i całe prawie kółko po Mszy św. ruszyło w drogę. Szliśmy na tę pielgrzymkę tak radośnie i w tak pogodnym nastroju ducha, jak swojego czasu szedł w pielgrzymkę do Rzymu bohater *Beatum Scellus*, ksiądz wojewoda Sapiaha. Każde z nas zostawiało za sobą wszelkie domowe kłopoty i troski, mieliśmy w duszy tylko radość, że oto idziemy Ją witać, naszą Królową, w triumfalnym Jej powrotnym pochodzie – do jednej z cudownych Jej świątyń w Polsce.

Przeszliśmy, śpiewając, przez cały Horodec, potem Rodziewiczównę ulokowaliśmy na wozie i pojechała naprzód przygotować nam odpoczynkowy postój po drodze do Kobrynia.

Byłam wtedy bardzo wytrzymała na dłuższe piesze wyprawy, ale byłam przyzwyczajona iść prędko; dobierałam więc sobie zwykle w czasie tej pielgrzymki towarzysza czy towarzyszkę i szliśmy naprzód, aż do postoju przygotowanego przez Rodziewiczównę, która miała już zwykle dla nas gorący posiłek i gotowe miejsce odpoczynku. Cały pochód nadciągał zwykle później – i po parogodzinnym wytchnieniu szliśmy dalej w drogę. Pierwszy nocleg czekał nas w Kobryniu, gdzie zaszedliśmy do otwartego na naszą intencję kościoła i gdzie znajomi księża serdecznie nas witali.

My obie nocowałyśmy u pani Żabińskiej, właścicielki dawnej, konspiracyjnej szwalni.

Nazajutrz po Mszy św. ruszyli-śmy dalej, o wiele liczniejsi, bo z Kobrynia przyłączyło się do nas sporo osób. Pora była śliczna, takie prawdziwe, wrześ-niowe, poleskie, błękitne i słoneczne dni; było nam lekko iść, ciepło, a nie za gorąco.

Następny postój mieliśmy w pustej szkole koło Żabinki, a ostatni przed Kodniem w Brześciu. Stamtąd też rano doszliśmy do Terespoła, gdzie już Cudowny Obraz był, i tego dnia miał być przewieziony do Kodnia. Wezwano zaraz Rodziewiczównę do biskupa i wkrótce poszliśmy dalej, już jako liczna świta Królowej. Obraz był umieszczony na specjalnym wozie tak, że górował nad tym całym pielgrzymim tłumem, a pielgrzymów szło wiele, wiele tysięcy.

Był to bardzo poruszający, ale i bardzo męczący etap drogi; już nie było szosy, ale szeroka piaszczysta droga i szło się w chmurze pyłu, wśród niekończących się tłumów, tak że trzeba było trzymać się bardzo ściśle swojej gromadki, żeby się nie pogubić. Dochodziliśmy do Kodnia już zupełnie wieczorem, trzymając się wprost za ręce, żeby się nie dać rozdzielić, ale udało się nam być w pierwszych szeregach i widzieć z bliska to objęcie Kodnia w posiadanie Najświęt-szej Panny. Na placu przed kościołem stał ołtarz jarzący się od świateł. W chwili, kiedy obraz umieszczono na ołtarzu, rozległy się powitalne salwy, komenda wojskowa: „Prezentuj broń”, i z tysięcy piersi uderzył w niebo śpiew: *Boże, coś Polskę*. Obraz Najświętszej Panny jaśniał już u góry, patrząc swymi słodkimi oczyma na rozmodlony tłum, a ja pamiętam, że po prostu trzęsło mnie od wzruszenia, taka ta chwila była piękna i uczuciem potężna!

Po pierwszych chwilach modlitwy, w której każdy Jej powierzał najdroższe swe pragnienia, zaczęliśmy się wycofywać, żeby się zebrać razem i policzyć. Okazało się, że Rodziewiczów-ny i naszego wozu w pobliżu nie było, bo wszystkie wozy u wejścia do Kodnia skierowano inną, okólną drogą i trzeba było teraz szukać, co nie było łatwe. Zostawiłam całą naszą gromadkę na wybranym miejscu i z jednym z panów poszliśmy na poszukiwanie; rozpytując i rozglądając się wszędzie, trafiliś-my nareszcie na ślad wozów i odnaleźliśmy naszą Komendant-kę, zainstalowaną z wozem na dziedzińcu przy jakiejś chacie, spokojną, że ją przecież odnajdziemy. I teraz poszliśmy znowu we dwie do cudownego ołtarza, a potem trzeba się było posilić i pomyśleć, jak noc spędzimy. Urządziłam – o tyle, o ile – nasz wóz, żeby móc się na nim z Rodziewiczówną wyciągnąć. Noc była piękna i ciepła; i tak na tym wozie przeleżałyśmy aż do rana, mało śpiąc, a więcej słuchając i dzieląc się wrażeniami.

Na placu tłum trwał, śpiewając noc całą. Od drugiej w nocy zaczęły się przed Matką Boską Msze św., a potem o jedenastej uroczyste nabożeństwo na placu. W tym najmniej braliśmy udziału, bo byliśmy zanadto zmęczeni, żeby stać długo wśród tłumy. Dowiedzieliśmy się potem, że bis-kupi, a był między nimi metropolita krakowski, ks. Sapieha<sup>49</sup>, wysłali byli na poszukiwanie Rodziewiczówny – ale jej wśród tych tłumów znaleźć nie mogli.

Wracaliśmy tegoż dnia, ale już koleją, i przenocowawszy w Brześciu, nazajutrz stanęliśmy w kochanym hruszowskim domu. Odtąd Matka Boska Kodeńska stała się jedną z na-szych opiekunek, a pamięć tej pielgrzymki jednym z bardzo wszystkim drogich hruszowskich wspomnień.

Stanowisko Hruszowej stawało się z rokiem każdym poważniejsze i wybitniejsze. Dom nasz stał się ośrodkiem ściągającym wszystkie najlepsze elementy i z niego wychodziły wszelkie dobre inicjatywy.

Rodziewiczówna miała zawsze wielką odwagę zdania, i w stosunkach z przedstawicielami władzy, otwarcie i szczerze zwracała zawsze uwagę na błędy kierunku i błędy postępowania. Główny leżał w tym, że rząd nasz za mało popierał element polski na Kresach, opiekował się głównie miejscowym prawosławnym ludem, pობлаżając mu we wszys-tkim i myśląc, że go tym sobie pozyska; tymczasem Poleszucy uważali takie postępowanie wprost za dowód słabości, nie pozyskało to ich, a obniżyło w ich oczach powagę Polski. My,

urodzeni i wychowani na Polesiu, widzieliśmy, że się pod tym względem źle dzieje, tym bardziej że wśród przedstawicieli władzy było bardzo wielu niestojących na wysokości zadania, nieprzynoszących zaszczytu sprawie, którą przedstawiali, obniżających honor imienia Polski; ileż razy słyszałam Rodziewiczównę mówiącą: „Wstyd mi za Polskę”. W tych pierwszych powojennych latach powstała bardzo gorzka, ale oparta na prawdziwych faktach, książka: *Niedobitowski z gra-nicznego bastionu*<sup>50</sup> Niektórzy robili jej zarzut, że tę książkę napisała; inni, liczniejsi, dziękowali, że ona jedna miała odwagę powiedzieć prawdę i stanąć w obronie tych, którzy od szeregu pokoleń życiem całym polskiej idei na Kresach służyli i dla tej idei dawali ofiarną krew.

W tym właśnie czasie przyjechał do Hruszowej młody ksiądz z Brześcia, kapelan szkół, i prosił Rodziewiczównę o przyjazd tam z odczytem. Potrzebował pieniędzy na rozwinięcie akcji mającej na celu dobro młodzieży i wiedział, że na taki odczyt Rodziewiczówny ludzie zeszliby się tłumnie, a on sumę potrzebną by zebrał.

Rodziewiczówna naturalnie zgodziła się chętnie i pojecha-łyśmy razem, korzystając z tego, że jesień, choć późna już, była tego roku bardzo łagodna.

Kapelan ustąpił nam swoje mieszkanie i nazajutrz Rodziewiczówna miała dwa odczyty: w południe dla młodzieży, a wieczorem dla dorosłych. Pamiętam, że jedną z czytanych nowelek był niedawno napisany, ślicznie odczytany *Medalik*, będący już odbiciem przejść wojennych i opromienieniem idei miłosierdzia. Siedziałam między publicznością i widziałam, z jakim przejęciem ją słuchano, a potem jak dziękowano serdecznie. Nazajutrz byłyśmy zaproszone na obiad do miejscowego doktora, gdzie się też zebrało więcej osób, i przy toaście, wznoszonym na jej cześć, dziękowano jej właśnie za napisanie *Niedobitowskich*: „Pani jedna miała odwagę podnieść głos w naszej obronie”. Byłyśmy w kółku widzianych po raz pierwszy ludzi, ale wspólne umiłowanie pracy dla Polski na Kresach, dla której każdy poniósł już swoją ofiarę, dawało atmosferę przyjęcia tyle ciepła, żeśmy się czuły wśród swoich. Tegoż dnia wróciłyśmy do domu, żegnane gorąco przez kapelana, który był już spokojny, że wydatki związane z pracą dla młodzieży będzie miał czym pokryć.

Muszę jeszcze zaznaczyć, że książka o *Niedobitowskich* miała być zabroniona, ale okazało się, że ci, którzy ten wniosek przedstawili, musieli go cofnąć, bo sami po namyśle przyznali, że „to wszystko prawda”.

Rodziewiczówna, kiedy przemawiała do ludzi, czy na towarzyskich zebraniach, czy na szerszej arenie w Warszawie, w czasie różnych uroczystości, mówiła prosto, ale bardzo silnie i gorąco; miała naprawdę dar poruszania serc ludzkich i podnoszenia ducha i zawsze w każdym przemówieniu dały się odczuć duże cechy jej duszy: głęboka wiara i gorący patriotyzm.

W 1928 roku przybyła do kraju pielgrzymka Związku Polek z Ameryki i powitanie jej, wygłoszone przez Rodziewiczównę w Warszawie, niech będzie przykładem, jak gorąco przemawiać umiała:

*Mili goście, swojacy, witajcie!*

*Przybyłyście w odwiedzinie do starej Macierzy, do rodzinnego Kraju. Niechże chleb, sól i serca nasze skrzepi nas i zjednoczy w jednym wielkim miłowaniu. Macierz nasza nie jest już niewolnicą ni ubogą komornicą, ale wielmożną Panią, dzie-dziczką szerokich pól, bogatych ziem i Matką Wielkiego Narodu. Wielki jest dziewięciowiekową przeszłością, gdy siebie tworzył legendą o pogromie smoka, o bohaterstwie Wandy, o prostocie mądrej Piasta Kołodzieja.*

*A kładł swe fundamenty mocarną potęgą Chrobrego i świętością patronów i wiedzą uczonych, męstwem wojowników i mrówczą pracą szarych milionów – aż wzniósł gmach potężny, na którego szczycie, po latach prób, walk i niewoli, znowu ku niebu się wznosi nasz sztandar Biało-Karmazynowy z Królewskim Ptakiem.*

*Wielką i szeroką jest ta Macierz nasza: Błyszczą nasz Znak i panuje nad bagnistą Prypecią, nad szumnym Dniestrem, nad Piastowym Śląskiem i Karpatami aż po Bałtyk.*

*Błyszczą nad Krakusowym Krakowem, nad Jagiellońskim Wilnem, nad bohaterskim Lwowem, nad każdym grodem, dworem, wsią, fabryką, kopalnią, nad każdym zagonem pracy. I ma nasz Znak hasło: „Bóg, Honor, Ojczyzna”, i ten Polak, kto to hasło zna i czuje.*

*Macierz nasza żyje nami, a my Nią.*

*Że jesteśmy między sobą, swojacy, więc o sobie szczerze mówić możemy. Jesteśmy narodem butnym, swarliwym i go-rącym, a wrogi mówią, żeśmy „słomiany ogień”. Ale to fałsz.*

*Mamy cierpliwość, zaciętość i pracowitość niesłychaną. Tysiąc lat wśród takich sąsiadów trwać i ostać to nie słomianym ogniem trza być, ale głazem i stalą. Swarzymy się ze sobą, ale niech no kto Macierz zaczepi, niech nad Nią stanie groza – to z końca w koniec ziem, ze wszystkich serc i dusz pada jeden zgodny głos: „Nie rusz! Nie damy”.*

*Kto przeżył tu 1920 rok, gdy czerni mongolska szła do serca Kraju, kto widział wszystkie stany, wszystkie wieki, wszystkie swarliwe partie w jednym szeregu, pod jednym znakiem, z jednym hasłem, ten widział dopiero prawdziwą polską duszę i potęgę.*

*Goście kochani, popatrzcie na Macierzy skarby, pamiątki, na Jej oblicze przemożne, spokojne, dostojne; porachujcie trud Narodu, który po półwiekowej niewoli i rozdarciu, po kilkunastu latach wielkiego wstrząsu całego świata, po zniszczeniu wojny, pożogi, głodu, moru i nędzy – tak się dźwiga i krzepi, buduje, sieje, hoduje – i bądźcie o Macierz spokojni.*

*Niezmożona ona i nie zginie – bo bardzo kochana!*

*Nabierzcie tego kochania z tchem pól, z posilnością polskiego chleba, z czarem polskiego słowa i pieśni! I niech na samym dnie Waszej duszy zostanie na życie to kochanie najświętsze i najdostojniejsze dla człowieka, gdzie by go los nie postawił: Kochanie Ziemi, Macierzy i Jej honoru. Tak nam dopomóż Bóg i Częstochowska nasza Królowa!*

## Rozdział VII

Trzeba powiedzieć, że o ile przez ogół władz naszych Hruszowa była traktowana prędeej chłodno, o tyle na wszystkich stanowiskach zdobywała jednak gorących i wiernych przyjaciół.

Przyjacielem był, zgasły niestety przedwcześnie, wojewoda Młodzianowski<sup>51</sup>, który osobiście przywiózł Rodziewiczównie Order Polonia Restituta<sup>52</sup>, a potem pomógł jej w urzeczywistnieniu pragnienia wysłania licznej grupy dzieci poleskich na uroczystość 3 Maja do Warszawy. Wyprawa ta pod opieką naszej nauczycielki udała się ślicznie, pojechał też jednocześnie jeden z najporządniejszych Poleszuków z okolicy Hruszowej, i pamiętam, z jakim przejęciem opowiadał nam o szarzy Ułanów, na którą z bliska mógł patrzeć: „Ja bym za to – mówił drżącym głosem – ja bym za to umarł”.

Mój Boże, żeby wtedy, od początku, od 1920 roku rząd nasz umiał ukazać temu ludowi Polskę, nie jako słabą, bojaźliwą piastunkę, ale raczej jako królową, umiejącą być nie tylko Matką Miłosierdzia, ale i pełną powagi władczynią, mającą prawo i obowiązek winnych karać, a od wszystkich wymagać posłuchu i poszanowania, może by wypadki historii naszej potoczyły się inaczej i Polesie nie splamiłoby się krwawym wrześnie 1939 roku!...

Przyjaciół starosta, choć urzędował na Polesiu tylko półtora roku, pozostał przyjacielem i później z daleka, i kiedyśmy się odnaleźli na wygnańczej tułaczce, w czasie przeżytej razem drugiej strasznej wojny, pozostał z rodziną przyjacielem naszym do końca.

Zdobyła też Hruszowa swoją lojalnością w podatkach i ścisłością w płaceniu ich przyjaciela nawet w Urzędzie Skarbowym i inspektor, o którym mówię, zachował z nami tak serdeczny stosunek, że kiedyśmy się jako bezdomne wygnanki znalazły w Brześciu, przyjął nas jak najbliższych pod swój skromny dach i mając dwa pokoiki, jeden nam bez wahania ustąpił. Przebyłyśmy u tych zacnych ludzi ostatni miesiąc przed wyjazdem do Warszawy, otoczone sercem i opieką<sup>53</sup>. Odnaleźliśmy się później w Warszawie – i oni także byli nam przyjaciółmi – do końca.

Najserdeczniejszy stosunek nawiązał się z wojskiem, które w naszej okolicy było bez zarzutu i którego przedstawiciele, gen. Kleeberg<sup>54</sup> w Brześciu i pułkownik Bodachowski w Kobryniu, Hruszowę odwiedzali i stali się jej przyjaciółmi – ale to nastąpiło trochę później.

Miałyśmy też w tych pierwszych latach bardzo wartościowego inspektora szkolnego, który raz zaproponował mi, żebym wzięła na siebie religijno-moralne pogadanki w hruszowskiej wiejskiej szkole. Po namyśle zgodziłam się i zaczęłam chodzić do szkoły dwa razy na tydzień. Wszystkie dzieci były prawosławne; mówiłam więc im o tym, co nas powinno łączyć, o tym, co obowiązuje równie dobrze ich prawosławnych, jak i mnie katoliczkę, brałam to ze strony podobieństw, a nie ze strony różnic, ucząc je przykazań i życia Pana Jezusa, jako naszego wzoru do naśladowania. Tolerancję posuwałam tak daleko, że przed Wielkanocą przygotowywałam dzieci do spowiedzi i posyłałam je na dzień umówiony do cerkwi. Przez parę pierwszych lat szło to doskonale, dzieci lekcje moje lubiły, znacznie więcej od lekcji popa, pytały zawsze, kiedy znowu przyjdę, przeprowadzały mnie tłumnie w powrotnej drodze; trwało tak aż do chwili, kiedy się zaczęła wroga agitacja ukraińska, tolerowana i na-prawdę popierana przez nasze władze. Zaczęto wsie oficjalnie pytać, w jakim języku chcą mieć szkoły, i 40 podpisów wystarczało, żeby szkoła z polskiej stawała się ukraińską; później przychodziły badania i często starano się unicestwić te podpisy, ale ferment był już wprowadzony. A jakie to było na Polesiu sztucznie narzucone, niech za dowód służy fakt, że kiedy raz w przedwojennych latach Rodziewiczówna, organizując we wsi chóry śpiewacze, sprowadziła dla nich dumki<sup>55</sup> ukraińskie, młodzież ze zgorzaniem zadecydowała, że po „chachłacku” śpiewać nie będzie.

W czwartym, ostatnim roku moich lekcji odczułam taką zmianę w stosunku dzieci do mnie, że z trudem doprowadziłam kurs do wakacji – a od jesieni, po naradzie nad sytuacją, musiałam temu dać za wygrane. W międzyczasie inspektor przyjechał mi opowiedzieć, że była z powodu tych lekcji aż interpelacja w Sejmie! Musiałam na piśmie dać wyjaśnienie, jak to prowadziłam. W pismach ukraińskich, propagandowo antypolskich, była opowieść, że wielkim pękiem kluczy do krwi dzieci biję!

À propos tych pism, przychodziło ich dużo, adresowanych do różnych Poleszuków naszej gminy. Wójt ówczesny, Polak, rozumiejący, że każdy numer takiej gazety zawiera w sobie zarzewie przyszłego pożaru, ile razy mógł, rzucał je w piec, i za to otrzymywał od władz swoich upomnienie, że będzie osobiście odpowiedzialny za każdy nedoręczony numer. Opowiedział mi to i zakończył z głębokim smutkiem: „I co ja mam, proszę pani, robić?”

Do gazet ukraińskich dołączył się wpływ radia, które władze ogromnie popierały pomimo naszych ostrzeżeń, że wsie słuchają wyłącznie propagandowo antypolskich audycji z Rosji; wsie miały radia w każdej niemal chacie, płacąc tylko 1 złoty miesięcznie, i na nieszczęsne Polesie wroga antypolska agitacja szła zewsząd, otwieranymi systematycznie wrotami, a władze nie chciały wierzyć nam, na tej ziemi wzrosłem, że idą przeciwną polskiej sprawie drogą.

Nad tym wszystkim bolałyśmy bardzo, ale Hruszowa miała duchową atmosferę tak jasną, że nawet takie chmury nie były w stanie jej zaćmić. Ufałyśmy, że z czasem zmieni się to na lepsze, i we wspólnym pacierzu błagałyśmy co dzień o wodza dla kraju!

W okresie tych pierwszych dziesięciu lat po wojnie wyszło spod pióra Rodziewiczówny kilka bardzo wartościowych książek; prócz *Lata leśnych ludzi* i *Niedobitowskich* ukazały się: *Florian z Wielkiej Hłuszy*, *Gniazdo Białozora*<sup>56</sup> dające tak żywy obraz zmagania dla zachowania i dźwignięcia po wojnie ukochanej ziemi, *Róże panny Róży*<sup>57</sup> – i chyba najpiękniejszą *Dwie Rady*.

Pierwsza: *Rada Narodowa*, była napisana na początku okupacji niemieckiej w 1915 roku; druga, *Rada Koronna*,<sup>58</sup> w 1925 roku. Odżyła u nas wtedy idea monarchistyczna i ci, którzy tej idei czynnie służyli, zwrócili się do Rodziewiczówny z prośbą, żeby swoim gorącym piórem napisała apel w tej sprawie. Powstała wtedy cudna *Rada Koronna*; powstała jednym rzutem, a pisana była tak całym sercem i duszą, że kiedy wchodziłam do pokoju Rodziewiczówny, znajdowałam ją piszącą z twarzą zalaną łzami.

Zanim jeszcze *Dwie Rady* zostały oddane do druku, pojechałam była do Mołodowa i wzięłam ze sobą ten cenny rękopis, żeby przeczytać rodzeństwu. Czytałam, z trudem hamując wzruszenie, a kiedy skończyłam, nikt z kilku osób słuchających nie mógł się odezwać, bo każdy miał gardło zdławione wzruszeniem – i oczy pełne łez.

Książki Rodziewiczówny od szeregu już lat były wydawane przez firmę „Wydawnictwo Polskie” R. Wagnera, i w bardzo prędkim czasie. Oficjalne stosunki wydawcy do autora zostały zastąpione przez serdeczną przyjaźń, która się utrzymała do końca bez żadnego zahamowania. Państwo Wagnerowie odwiedzili nas kiedyś w Hruszowej, potem w czasie ostatniej wojny odnalazłyśmy ich w Warszawie, gdzie w ciężkich warunkach finansowych, w jakich się znalazłyśmy, przyszli nam zaraz z pomocą. Odwiedzaliśmy się wzajemnie, a po śmierci pana Wagnera wdowa po nim i jej córka otoczyły Rodziewiczównę serdeczną i wierną przyjaźnią. Przypominałam sobie jej słowa w najcięższych dniach powstania i zupełnego w tym czasie osamotnienia: „Gdybym odnalazła moich Wagnerów, to bym była zupełnie spokojna”.

Wspólna nasza w Hruszowej praca ułożyła się zgodnie, pogodnie, oparta na wielkim wzajemnym przywiązaniu i zaufaniu bezwzględny. Po pierwszych paru powojennych latach, spędzonych prawie bez przerwy w domu, Rodziewiczówna zaczęła znowu wyjeżdżać do Warszawy na trzy zimowe miesiące, dla wzięcia tam udziału w różnych ogólnych sprawa-

pracy u Ziemianek, a głównie dla poświęcenia tego czasu przyjaciółce z dawnych lat, pannie Weychert, bardzo samo-nej i potrzebującej jej serdecznej opieki i towarzystwa. Zostawałam wtedy w domu sama, a tak już byłam z Hruszową zżyta, że pomimo żalu rozstania nigdy mi te samotne miesiące nie zaciężyły; miałam dużo zajęcia, przygotowanie rocznych rachunków dla inspektoratu, wysyłki do Warszawy produktów na sprzedaż, dopatrzenie wszystkiego. W salonie hruszowskim wisiał bardzo piękny portret matki Rodziewiczówny, z jej młodych lat, i przechodząc przez ten pokój, miałam zawsze wrażenie, że jej jasne, pogodne oczy idą za mną, towarzyszą mi i wyrażają cichą radość, że jestem w tym kochanym domu, jakby jej drugie dziecko.

W marcu następował radosny powrót i zwykle o zmroku, nieraz kiedy srebrny sierp księżycyca świecił na niebie, jechałam po kochanego druha do stacji Horodce. A co to była za radość, kiedy za oknami wagonu dojrzałam wyglądającą mnie, radośnie uśmiechniętą twarz! Warto było potęsknić, żeby mieć potem tak radosny powrót!

Raz, kiedy tak pociąg podchodzący witałam, ujrzałam Rodziewiczównę trzymającą w ręku małego psiaka, żółtego foksika, i podając mi go, powiedziała: „Nazywam się Gasio i przychodzę na wierną służbę”. Była to wielka i szczególna radość! Lubiliśmy psy obie ogromnie, a nade wszystko foksy, które przed wojną mieliśmy zawsze i w Hruszowej, i w Mołodowie. Ten Gasio stał się przemiłym towarzyszem, nieodstęp-nym przyjacielem i założycielem dynastii kochanych, żółtych hruszowskich foksików, znanych przez wszystkich przyjaciół Hruszowej. Później przyjechała towarzyszka, Działdzia, i w życiu naszym hruszowskim brały te nasze kochane domowniki tak żywy udział, że już później nie mogłyśmy sobie wyobrazić życia bez Gasiunia, Działdzi, a nieraz jeszcze paru ich towarzyszy.

Jeżeli Rodziewiczówna szła do ogrodu, a ja miałam przyjść trochę później, to foksy naturalnie radośnie jej towarzyszyły i idąc potem, żeby ją w ulubionych inspektach odnaleźć, z daleka spostrzegałam żółtą parkę, stojącą przy bramce i obserwującą: Kto to idzie? Ogonki były już w ruchu, ale jeszcze w niepewności... Dopiero kiedy mnie już naprawdę kochane psiaki poznały, leciały na moje spotkanie z radosnym poszczekiwaniami i w triumfie prowadziły do Rodziewiczówny. Przywiązane były do nas ogromnie i dziś jeszcze widzę smutne oczy mojego Gasia w chwili, kiedy zegnałam Hruszową (nie wiedząc o tym) po raz ostatni, a on zostawał skazany w bliskiej przyszłości na śmierć okrutną. To byli przyjaciele – wierni do końca...



## Rozdział VIII

Wspomniałam już o tym, że często przyjeżdżali do nas nieznajomi ze świata, chcący Rodziewiczównę osobiście poznać, a wiedziano już, że każdego przyjmowała sercem całym i gotowa była zawsze usłużyć i pomóc, tym bardziej jeżeli to było związane z usługą dla polskiej sprawy. Raz otrzymała list z Poznania, od opiekuna młodzieży, ks. Prądyńskiego, z zapytaniem, czyby gotowa była przyjąć na lato grupę harcerzy?

Po otrzymaniu twierdzącej naturalnie odpowiedzi ksiądz Prądyński przysłał młodego akademika, pana Tomaszewskiego, i po rozmówieniu się i obejrzeniu wszystkiego na miejscu zostało postanowione, że harcerze przyjadą i będą mieli swój obóz w lesie, blisko leśniczówki, w której mieszkał z rodziną bardzo zacny nadleśny hruszowski.

I przyjechała ta gromadka młodzieży, jak na harcerzy bardzo wyrośnięta, zainstalowała się w lesie, mając naturalnie wszelką pomoc ze strony dworu, i zawiązał się z nimi najlepszy stosunek; potem przyjechał też jako harcerz, znany już chlubnie w literaturze naszej p. Giertych<sup>59</sup>, potem jeden z posłów sejmowych ze Stronnictwa Narodowego, i ten nasz harcerski obóz przeistoczył się w obóz młodych adeptów Stronnictwa, którzy w ten sposób w ciszy poleskiego, hruszowskiego lasu mieli tam wykłady, dyskusje i jakby kurs dokształcający – Stronnictwa Wielkiej Polski<sup>60</sup>.

Odwiedzałyśmy ich tam parokrotnie i wieczorem przy ich ognisku gawędziłyśmy, słuchaliśmy chóralnych pieśni i pięknego śpiewu kończącego zawsze harcerskie wieczory:

*Idzie noc; słońce już, zeszło z wzgórz,  
Zeszło z pól, zeszło z mórz!  
W cichym śnie spocznij już,  
Bóg jest tuż.*

Pobyt harcerzy zakończył się nabożeństwem w Horodcu, obiadem w Hruszowej i ostatnim wieczorem spędzonym już w naszym domu. Rodziewiczówna obdarzyła wszystkich pamiątkami z Polesia, w postaci charakterystycznych tkanin i haftów poleskich.

Żegnaliśmy się bardzo serdecznie, a z panem Tomaszewskim stosunek zawiązany wtedy utrzymał się tak przyjaźnie, że przyjeżdżał do nas corocznie i przywiózł nam w następnym roku swego kolegę i przyjaciela pana Sałka, który też całym sercem do Hruszowej przyłgnął. Był on synem gospodarza mającego jedenaście mórg ziemi, ale był to taki gospodarz i takiej miary człowiek, że na tych jedenastu morgach potrafił dać wyższe wykształcenie pięciu synom, z których ostatni, ten nasz przyjaciel, kończył właśnie w Poznaniu wyższą szkołę rolniczą. Wpadał on później do nas, jak tylko mógł, w różnych porach roku; raz całe lato u nas spędził, pilnując czyszczenia łąki, którą Rodziewiczówna chciała zmeliorować. I muszę tu opowiedzieć charakterystyczny hruszowski incydent:

Jesienią pojechałyśmy obie na kilka dni do Warszawy i wracałyśmy obie wieczornym pociągiem, nie wiedząc, że w domu znajdziemy niespodziewanych, rzadkich gości: dwie młode pary – Sapiehów i Pusłowskich. Właśnie wtedy był u nas pan Sałek i drugi młody chłopak, świeżo do Hruszowej przyrosły, syn osadnika, pan Przeździecki. Gdyśmy wszyscy razem siedli do kolacji, Rodziewiczówna, spojrzawszy po całym tym kółku, rzekła radośnie: „Patrzcie, tu jest cała Polska”. I rzeczywiście, bez różnic pochodzenia, klasy, fortuny, zgromadziła się w tym poleskim dworze i zgodnie zasiadła do wspólnego stołu cała nasza Polska.

Odwiedzający nas wtedy młody Ksawery Pusłowski był wnukiem tego Pusłowskiego, który w czasie dzieciństwa Rodziewiczówny przyszedł był z pomocą jej rodzicom, w pierwszych

chwilach bardzo dla nich ciężkich, powrotu z wygnania, i Rodziewiczówna o tym długu wdzięczności, przekazanym jej przez rodziców, pamiętała zawsze. Któregoś roku Pusłowski, nie znając jej jeszcze, zwrócił się do niej z oficjalnym listem, zapytując, czyby mogła mu ustąpić nasiennych kartofli, specjalnie u nas hodowanego, bardzo dobrego gatunku? Rodziewiczówna wysłała mu niezwłocznie wagon żądanych kartofli i napisała śliczny list opowiadający o długu wdzięczności przekazanym jej przez rodziców i przesyłający mu „wyrazy czci dla pamięci jego dziada, na ręce wnuka”.

Kościół w Horodcu, zdobyty inicjatywą Rodziewiczówny i odnowiony jej kosztem i staraniem, był dla całego naszego sąsiedztwa punktem zbornym i wiele naszych starań i wysiłków tam się ogniskowało, a tym bardziej w ostatnim dziesiątku lat, kiedy udało nam się ściągnąć do Horodca pierwszą gromadkę Sióstr Urszulanek Matki Ledóchowskiej<sup>61</sup>.

Zdaje mi się, że w roku 1929 wypadła, według starych dokumentów, trzechsetletnia rocznica fundacji horodeckiego kościoła przez króla Władysława IV dokonanej, kiedy był jeszcze następcą tronu. Była to taka okazja stwierdzenia raz jeszcze wobec miejscowej ludności, że Polesie w dawnych wiekach było polskie, że Rodziewiczówna skorzystała z tego, żeby tę rocznicę uczcić należycie. Został zamówiony portret Władysława IV, według kolekcji królów polskich Matejki.

Kupiliśmy z naszych składek piękną ramę i zamówiliśmy uroczystą Mszę św. za duszę króla.

Przyjechał z Pińska na tę uroczystość biskup Łoziński i on celebrował.

Na środku kościoła stał na podwyższeniu portret króla i młodzież nasza trzymała przy nim honorową straż. Były przemówienia podkreślające ważność tej rocznicy i wizerunek królewski został później umieszczony nad kościelnym chórem.

Zmarły niedługo biskup Łoziński<sup>62</sup> zostawił nam pamięć świątobliwego człowieka, ale jako biskup miał nieszczęśliwą na Polesiu działalność, popierając i wprowadzając, gdzie mógł, wschodni obrządek.

My, ludzie miejscowi, pragnący sercem całym rozwoju i rozszerzenia katolicyzmu, rozumieliśmy, że ci z prawosławnych, którzy przejdą na obrządek łaciński, przechodzą przez to samo pod wpływ naszego duchowieństwa i Polski. Na tych możemy z czasem liczyć. Koncepcja wschodniego obrządku musiała z konieczności wydawać się naszemu ludowi czymś niezrozumiałym i fałszywym. Wschodni obrządek miał liturgię i wszelkie obrzędy identyczne z prawosławiem, ale oni musieli uwierzyć, że to jest całkiem coś innego; nasz łaciński obrządek miał w zestawieniu ze wschodnim liturgię i obrzędy całkiem odmienne, ale oni musieli uwierzyć, że to jest całkowicie to samo. A byli jeszcze przecie na tym stopniu rozwoju, że dla nich te zewnętrzne formy były wszystkim. Księża ich mieli w nabożeństwach wspominać Ojca Świętego, ale jak mi raz mówił jeden z naszych księży: „A Bóg ich wie, czy oni Go wspominają?”.

Byłam raz z przełożoną Salezjanek, Włoszką, w niedalekich od nas Torokaniach, gdzie był już właśnie ksiądz wschodniego obrządku, i ta cudzoziemka, po długiej z nim rozmowie, tak tę fałszywą koncepcję odczuła, że powiedziała mi, wracając: „Mam wrażenie, że rozmawiałam z apostatą”<sup>63</sup>.

Biskup Łoziński wiedział doskonale, jak Hruszowa była przeciwna wschodniemu obrządkowi, ale takie miał uznanie dla gorliwości Rodziewiczówny, tak wiedział o jej działalności dla sprawy katolicyzmu i polskości na Polesiu, że podał ją do wysokiego odznaczenia Orderu Papieskiego *Pro Fidae et Ecclesiae* i osobiście go jej w Warszawie do mieszkania przyniósł.

W roku 1933 wypadła siedemdziesiąta rocznica śmierci bohatera powstania Romualda

Traugutta<sup>64</sup> i znowu z inicjatywy Hruszowskiej Pani powstał projekt uczczenia tej rocznicy postawieniem w Horodcu pomnika na cześć tego syna kobryńskiej ziemi. Koszty pokryły składki na-szego kółka i wkrótce stanął pomnik o prostych i powa-żnych liniach, o cokole cementowym, w który była wmu-rowana metalowa tablica z napisem, że na cześć Trau-gutta i towarzyszy jego, w siedemdziesiątą rocznicę ich bohaterskiej śmierci, kółko rolnicze „Polesie” ten pomnik poświęca.

Na cokole stał prosty, dębowy krzyż.

Zawiadomiłyśmy Kobryń, gdzie stał pułk strzelców imienia Romualda Traugutta, i na dzień oznaczony zjechaliśmy się wszyscy na uroczyste żałobne nabożeństwo, a z Kobrynia licznie stawilo się wojsko, z generałem Przedźymirskim<sup>65</sup> i pułkownikiem Nadachowskim na czele. Po nabożeństwie, kiedyśmy szli na plac, na uroczyste odsłonięcie i poświęcenie pomnika, idąca koło mnie generałowa Przedźymirska powiedziała mi ze wzruszeniem: „Wie pani, odkąd tu przyjechałam, ciągle mnie za gardło ściska”.

Po poświęceniu generał, stojąc koło pomnika, bardzo gorąco przemówił, przypominając, że to on, z poznańskimi pułkami w 1920 roku Polesie odbijał i w zamian prosi, żeby Polesie przyszło na pomoc, jeżeli kiedy przyjdzie niebez-pieczeństwo na zachodnią Polskę.

Mieliśmy potem przyjęcie na plebanii i serdeczny stosu-nek z wojskiem naszym związany już przed tym utrwalił się i coraz cieplejszy trwał do końca.

Nie pamiętam ściśle, w którym roku ten właśnie pułk strzelców im. Romualda Traugutta spędzał swój letni wypoczynek w horodeckim lasku i zostałyśmy zaproszone na zwiedze-nie tego letniego obozu. Przyjmował nas pułkownik Nadachowski, oprowadzając wszędzie i wszystko pokazując. W wojsku naszym na Polesiu służyło wtedy dużo szlachty zagrodowej i wojsko w całej Polsce tych przedstawicieli polskiej drobnej własności rolnej bardzo popierało jako element przedstawiają-cy dla przyszłości Polski dużą wartość, który należało podnosić i uświadamiać. Zbierano takich żołnierzy w szlachec-kie kompanie; było ich nieraz sporo jednego herbu, a nieraz i jednego nazwiska, i ci w tym letnim horodeckim obozie mieli przed swoimi namiotami bardzo misternie i efektownie uło-żone na ziemi z darniny, kamyczków, tartej cegły, swoje herbowe tarcze. Przyjęto nas potem w tym horodeckim lasku wielkim obiadem, z gorącymi przemówieniami i wróciłyśmy do domu pod najlepszym i ciepłym wrażeniem.

Był u nas w Hruszowej i generał Przedźymirski z żoną, i bywali nieraz generał Kleeberg i pułkownik Nadachowski. Temu ostatniemu zawdzięczałyśmy jedno z bardzo silnych wrażeń z tego samego roku, w wigilię dnia Zaduszego. Jeździłyśmy zawsze z Rodziewiczówną tego dnia na wieczor-ne nabożeństwo i procesję żałobną, która dochodziła do pomnika Traugutta, wśród przejmującego śpiewu hymnu: *Dobry Jezu, a nasz Panie, daj im wieczne spoczywanie*. Tego roku miał być przy tym wojskowy „Apel umarłych”, i nigdy nie zapomnę wrażeń tego wieczora. Był cichy, jesienny wieczór; wszystkie mogiły na cmentarzu otaczającym horodecki kościół były przybrane lampionami, pomnik Traugutta od świateł płonął. Pułkownik Nadachowski miał śliczne, wstrząsające przemówienie o szczęściu służenia Polsce i o tym, że im, żołnierzom, dane jest największe szczęście móc za Polskę zginąć. To, co mówił, potwierdził swoją bohaterską śmiercią, bo w 1939 roku pod Kutnem, kiedy wszyscy naokoło niego padli lub zostali wzięci do niewoli, on ostatni pełnił jeszcze służby przy swojej baterii i tam przy niej, za Polskę poległ.

Po tym przemówieniu głośno, z całym oddziałem od-mówił żołnierski pacierz, a potem przyszedł „Apel umarłych”, tak zawsze przejmujący.

Pułkownik wywoływał po imieniu i nazwisku brakujących towarzyszy i coraz to z innego punktu horodeckiego cmen-tarza padała odpowiedź: „Legł na polu chwały”. Było to tak wzruszające, żeśmy obie z Rodziewiczówną nie mogły powstrzymać łez i wróciłyśmy do domu

pod niezapomnianym wrażeniem przeżytego wieczoru i gorącej głębi duszy naszego pułkownika.

Ten sam pułkownik Nadachowski zaprosił nas do Kobrynia, a raczej do majątku Lepiosy pod Kobryniem, dla pokazania nam swojego pułku w jego zwykłych ramach. Przyjął nas z żoną najserdeczniej u siebie w domu, potem powozem obwoził po całym obozie, tłumacząc i pokazując wszystko, instalacje żołnierskie i różne żołnierskie musztry. Żołnierzykom naszym było tam dobrze, tuż pod miastem, a prawie na wsi, i jakiego mieli opiekuna w osobie pułkownika!

Powziął on był śliczną myśl obdarzenia Rodziewiczówny odznaką swego pułku, przyjęcia jej jakby na honorowego członka strzelców im. Romualda Traugutta. Zawiadomiono nas w Hruszowej, że pułkownik przyjedzie osobiście odznakę pułku Rodziewiczównie wręczyć, byliśmy więc w pogotowiu i z radością oczekiwaliśmy zapowiedzianego przyjazdu.

Postłyszaliśmy odgłos trąbki i zobaczyliśmy w bramie prowadzącej na hruszowski dziedziniec tak zwaną szpicę – trzech strzelców konno, grających na trąbkach żołnierski sygnał. Po chwili szpica ustąpiła, a w bramie ukazał się na białym koniu pułkownik Nadachowski, a za nim szereg jeźdźców, oficerów pułku. Przyjęliśmy ich w progu domu i zaraz wszedłszy do salonu, pułkownik w krótkim, serdecznym przemówieniu powiedział Rodziewiczównie, że postanowili przyjąć ją za towarzysza broni, bo łączy ich z nią ta sama miłość dla kraju i służy ona tej samej, co oni, idei, wyrażonej na odznace pułku: „Dla Ciebie, Polsko, i dla Twojej chwały”. Odznakę osobiście Rodziewiczównie przypiął i wręczył dyp-lom:

*Na zasadzie rozkazu dziennego Nr. 191, z dnia 19 VIII 1937 roku, nadając odznakę pamiątkową 83-go (2-go syberyjskiego) pułku piechoty, Pani Marii Rodziewiczównie, na dowód i pamiątkę służby żołnierskiej w pułku.*

*Dowódca pułku, Adam Nadachowski*

Ta odznaka 83. pułku piechoty, przemianowanego w Kobryniu na Poleski Pułk Strzelców im. Romualda Traugutta, i odznaka „Orląt” za obronę Lwowa, to były dwie najdroższe pamiątki Rodziewiczówny; powiedziała mi raz: „Włóżcie mi to do trumny” – ale wyznaję, że nie miałam serca i odwagi z nimi się rozstać i ufam, że mi to mój druh kochany wybaczy.

Łączyło jeszcze Rodziewiczównę z wojskiem wielkie zainteresowanie szlachtą zagrodową i umiłowanie tej sprawy. Powiat kobryński miał liczne zaścianki tej drobnej szlachty i Rodziewiczówna chcąc te zaścianki zorganizować w kółka na wzór Wołynia i Małopolski sprowadziła z Wołynia nauczyciela, pana Jacewicza, który się tą sprawą specjalnie na Wołyniu zajmował, i urządziła w Hruszowej pierwszy zjazd przedstawicieli zaścianków. Zjazd był liczny, wszyscy z wdzięcznością przyjęli myśl zorganizowania kółek i pierwsze kółko zostało związane. Zaraz potem pan Jacewicz związał drugie, bliżej Kobrynia, ale niestety władze cywilne Polesia, w osobie wojewody Kostki Biernackiego<sup>66</sup>, były temu przeciwnie i wojewoda zatwierdzenia kółek odmówił, mówiąc, że nie pozwoli na tworzenie żadnych polskich skupisk, bo to może drażnić miejscowych Poleszuków...

Do jakiego stopnia wojsko interesowało się tą sprawą szlachty zagrodowej, niech świadczy fakt, że major Andrzejewski osobiście tę sprawę na Polesiu zbadał, całe Polesie zjeździł, wszystkie punkty osobiście zwiedził i sporządził szczegółową mapę, z oznaczeniem wszystkich odcieni badanych okolic. Urzędowo stwierdzono, że w jednym województwie poleskim szlachty zagrodowej było 100 tysięcy, i co by to była za siła, żeby się nią zajęto, podniesiono i zorganizowano! Ale z tym wojewoda nie chciał mieć nic do czynienia!

Nie mogąc zawiązywać oficjalnych kółek, starałyśmy się z Rodziewiczówną przyjść w inny sposób z pomocą tej młodszej braci; od 1932 roku osiadły w naszym Horodcu Siostry Urszulanki Matki Ledóchowskiej i na naszą prośbę dwa zaścianki szlacheckie, Iłosk

i Krasnoleski – dostały też siostry, które się pracą wśród nich zajęły.

## Rozdział IX

Poznałyśmy się z matką Ledóchowską, zdaje mi się, że w 1931 roku. Zaczęło się od tego, że będąc w Warszawie, poszłam do niej, do nieskończonego jeszcze domu na Gęsiej 1, prosząc ją, żeby nam dała swoje siostry na Polesie dla pracy po małych miasteczkach i zaściankach. Wielkie miasta tyle miały zakonów, a w mniejszych punktach prawie nigdzie ich nie było. Porozumiałyśmy się z matką Ledóchow-ską bardzo łatwo, bo był to umysł wszystko obejmujący, a serce gorące i odczuwające potrzeby kraju i dusz ludzkich. Od tej chwili byliśmy już w korespondencji i w następnym roku, w maju, przyjechała ona do Hruszowej z nieodstępną towarzyszką siostrą Zaborską. Pokazałyśmy jej w Horodcu do-mek z ogrodem, który było można kupić, a że Polesie i Hruszowa od razu chwyciły ją za serce, obiecała, że nam siostry swoje da, jak tylko obmyśli odpowiednie kandydatki. I w sierpniu dała nam wiedzieć, że przyjedzie z wyznaczoną już dla nas pracownicą; zjechały do nas we trzy, ona ze swoją towarzyszką i idealnie dla Polesia wybraną, siostrą Łęską. Radość była ogromna; zaraz nazajutrz siostra Łęska została zainstalowa-na w horodeckim domku, kilka dni potem przyjechały dwie pierwsze jej pomocnice; i Boża praca ruszyła, a rozwija-ła się tak pięknie i szybko, że w ciągu lat sześciu siostry urszulanki objęły poza Horodcem Kobryń, Janów Pole-ski, Horodyszczce, Ostrów, Lubcz, zaścianki Iłosk i Krasnoleski, a w 1937 nasz Mołodów.

Matka Ledóchowska przyłgnęła do Polesia sercem całym, wierzyła w jego rozwój, w Janowie (miejscu męczeństwa św. Andrzeja Boboli<sup>67</sup>) zakupiła plac pod budowę domu dla pielgrzymów i często przyjeżdżała obejrzeć i ucieszyć się postępowaniem poleskich domów. Przyjeżdżała też do Hruszowej albo myśmy jeździły do Horodca powitać ją i przedstawić jej nasze pragnienia. Umysł i duszę Rodziewiczówny oceniła należycie i pokochała ją sercem całym. Raz, kiedyśmy po pożegnaniu jej Horodec opuszczały i siadły już na nasz wózek, matka wspięła się jeszcze na stopień wózka i Rodziewiczównę objęła za szyję; uściskały się jak siostry i Rodziewi-czówna ze zwykłym sobie humorem zwróciła się do sióstr stojących przed domkiem: „Aha! A wam zazdrość, aha!”.

Z Hruszową stosunek sióstr był idealnie dobry, pełen zaufania i szczerości; widywałyśmy się często i w Hruszowej, i w Horodcu, omawiając ich potrzeby, naradzając się i obmyślając wiele rzeczy wspólnie. Powędrowała z Hruszowej do Horodca krowa i konik z wózkiem, Rodziewiczówna co roku dawała siostronom do uprawy kawał pola, a kiedy zboże było już skoszone i gotowe, nasze konie zwoziły je do Hruszowej, gdzie było zmlócone, i siostry zabierały gotowe ziarno i słomę. I znowu powiem: Bóg dobry, żeśmy nie znały przyszłości, i kiedy w końcu sierpnia 1939 roku byliśmy w miłym i kochanym domku sióstr, nie wiedziałyśmy, że jesteśmy tam po raz ostatni...

Ale tymczasem życie w hruszowskim domu płynęło tak zgodnie, przy takiej pogodzie ducha, że lata miały niepostrzeżenie, bo nam ludziom szczęśliwym godziny życia głośno nie biły i mijały za prędko. Hruszowa w ostatnim dziesiątku lat bardzo wypiękniała, przeprowadziłyśmy różne powojenne remonty w domu i budynkach, do domu została przybudo-wana malutka oranżeryjka, pełna zawsze kwiatów, a przed domem miałyśmy prawdziwe królestwo róż. Kochałyśmy się w tym obie i pierwszą moją czynnością co rano w lecie było ścięcie świeżo w nocy rozkwitłych pąków i z całą więzią cudnych róż, pełnych jeszcze rosy i woni, przychodziłam do Rodziewiczówny, która później trochę ode mnie wstawiała. Jak ona się tymi różami cieszyła!

Przed domem miałyśmy miłe posiedzenie pod odwiecznym dębem, przy którego stole podstawę tworzył szeroki pień dębowy, a blat – ogromny młyński kamień. Siadywało się tam dla

odpoczynku albo dla przygotowania różnych drobnych ogrodowych robót – flanców do sadzenia itd. A tuż obok pachniały nam róże, które już miały swoją sławę, bo nigdzie, nawet w ślicznym Mołodowie, tak pięknych nie było. Z dru-giej strony była ulubiona pasieka, którą Rodziewiczówna osobiście prowadziła i doglądała. Każdy ul miał imię króla czy królowej i wczesną wiosną chodziło się słuchać, czy pszczoły żyją? Czy już się „obleciały”?

Kochane foksy towarzyszyły nam wszędzie i służyły nieraz dla szukającej nas służby jako wskazówka: gdzie była Działdzia<sup>68</sup>, tam musiała być blisko Rodziewiczówna; gdzie Gasio, tam ja byłam niezawodnie.

Dom hruszowski miał specjalny charakter, nie miał on zakroju pałacu, ale poważnego, dostojnego domu. Jadąc od stacji, jechało się wzdłuż ogrodu i przez staroświecką bramę pod daszkiem ze strzechy wjeżdżało się na dziedziniec i pod ganek, wsparty na wyniosłych czterech kolumnach, obrośniętych dzikim winem. Przedpokój miał barwne malowane skrzynie, szafki, półki, stare ciemne portrety księcia Józefa, Mickiewicza i Kościuszki, wizerunek naszego Orła, charakterystyczną poleską „bodnie” (pasma ze słomy szyte łupanym sosnowym korzeniem i tworzące wysoki z przykrywką kosz), a od sufitu zwieszała się mosiężna latarnia, która swoim przeciwnym światłem witała przyjeżdżających wieczorem gości.

Wisiały też na ścianie hruszowskie przykazania domowe, pisane ręką Rodziewiczówny i „obowiązujące wszystkich dłużej niż trzy dni w tym domu przebywających”. Brzmiały one następująco:

*Czuj i zachowaj ciszę, pogodę i spokój domu tego, aby się stały w tobie.*

*Będiesz stale zajęty pracą wedle swych sił, zdolności i zamiłowania.*

*Nie będziesz śmiecił i czynił bezładu ani zamieszania domowego porządku.*

*Pamiętaj, abyś nie kaził myśli ni ust mową o marności i głupstwie.*

*Nie będziesz opowiadał, szczególnie przy posiłku, o chorobach, kalectwach, kryminalach i smutkach.*

*Nie będziesz się gniewał ani podnosił głosu z wyjątkiem śpiewu i śmiechu.*

*Nie będziesz zatrwał powietrza domu złym i kwaśnym humorem.*

*Nie wnoś do domu tego szatańskiej czci pieniądza i przekleństwa spraw jego.*

*Zachowaj przyjaźliwość dla Bożych zwierząt, za domowników przyjętych, jak psy, ptaki, jeże, wiewiórki.*

*Nie okazuj trwogi, a znoś z spokojem wszelki Boży dopust, jak głód i chłód, biedę, chorobę i najście niepożą-danych ludzi. Błogosławieństwo Boga i Królowej Koro-ny Polskiej niech strzeże fundamentów, węglów i ścian domu tego i zdrowia i dusz jego mieszkańców – Amen.*

I naprawdę przykazania te nas obowiązywały; przy siód-mym przykazaniu wisiał gruby ostrugany patyk i kartka z napisem:

*A komu gniewno,*

*Niech bierze to drewno,*

*I biega z nim po dolinie,*

*Aż mu gniew minie!*

Pamiętam, że na mnie kiedyś naszła fala złego humoru, co spostrzegłszy, Rodziewiczówna przyniosła owe drewno i z ca-łą powagą mi je wręczyła. Naturalnie, że obie parsknęłyśmy śmiechem i zły humor minął w oka mgnieniu.

Dobrze z nią było żyć w tym kochanym pogodnym domu!

Z przedpokoju wchodziło się do dużego salonu o starych mahoniowych meblach, obszernym kominie, w którym wieczorami paliły się smolne szczapy, pnie całe, których stos

przygotowany od jesieni leżał za kominem. Przy kominie stała niska kanapka i niskie wygodne krzeselka, tworzące bardzo miłe posiedzenie i tam zwykle wieczorami gawędziłyśmy z naszymi gośćmi. Ze ścian patrzyły portrety przodków, śliczny młodociany portret matki Rodziewiczówny pędzla Simmlera<sup>69</sup> i wizerunki innych członków rodziny Rodziewiczów i Giełgudów; wisiały też różne dyplomy zdobyte przez długie życie, a na fortepianie, pod portretem matki, ogromne zbiory adresów i wyrazów czci z minionych jubileuszów. W jednym z tych zbiorów z jubileuszu 1913 roku był bezcenny list Sienkiewicza, który został nam przez kogoś z licznych przewijających się przez Hruszowę często nie-znajomych gości po prostu wykradzony. Ale, że na szczęście był przedtem skopiowany, mogę go w całości przytoczyć:

*Dostojna Jubilatko,*

*Nie mogąc osobiście wypowiedzieć Ci życzeń, łączę się z tymi, którzy otaczają Cię w dniu dzisiejszym, aby złożyć hold należny Twemu talentowi i Twojej pracy. Radość, z jaką społeczeństwo przyjęło pierwszą Twą powieść, sława i uznanie, jakie ją otoczyły, były dowodem, że istnieje ścisły, serdeczny i głęboki związek między Twoją duszą a duszą polskiego ogółu, i że Ty wypowiadasz w wysokiej artystycznej formie to właśnie, co on myśli, co czuje, do czego dąży. Związek ten zacieśniał się coraz bardziej przez długi szereg lat Twej pracy. Twoja wiara, Twoja nadzieja i Twoja miłość była wiarą, nadzieją i miłością polskiego narodu.*

*Tyś zrozumiała, że pomimo chmur, które rozciągają się nad Twą ukochaną ziemią, mimo cierpień, mimo gwałtów, które gniotą pierś polską, naród wyciąga ręce do życia, więc krzepiłaś w nim siły życiowe; słowa Twe były słowami otuchy, jakby echem drogiej nam pieśni legionów. Nigdy nie szłaś śladami tych, którzy mówią sobie: Niech naród traci nadzieję, byłem ja zyskał sławę; nie poświęciłaś nigdy narodowej korzyści dla olśniewającego frazesu, który sztucznym blaskiem oblewa tylko głowę autora, a współrodaków pogrąża w noc, tem ciemniejszą, że beznadziejną.*

*Służba Twa była zawsze wierna ojczyźnie, a zarazem jasna i przezroczysta jak ruczaj litewski. Twój wielki talent wiodła nie tylko wyobraźnia, ale i sumienie, więc był on jak dzwon, którego głos brzmiał, dlatego tak donośnie i czysto, że w spiż okręgu biło w nim hartowne i uczciwe serce Polski.*

*I oto dlaczego po długich latach pracy otacza Cię miłość narodu, a w dniu dzisiejszym grono rodaków i rodaczek, które w imieniu całej Polski schyla przed Tobą głowy, i również w Jej imieniu powtarza Ci: Cześć talentowi, pracy i zasłudze.*

*Z całej duszy łączę mój głos z tym chórem, i oddaję cześć patryotce, cześć Polsce.*

*Henryk Sienkiewicz*

W tymże salonie stały szafy z książkami, jedna do rozpożyczania stale odnawiana i dopełniana, z czego korzy-stała cała okolica, druga pięknie rzeźbiona, zawierająca wyborowe, ulubione przez Rodziewiczównę książki. Był tam komplet jej własnych utworów, pięknie oprawionych w czer-woną skórę, z wyciśniętym na grzbiecie książki złożonym herbem Rodziewiczów: napiętym łukiem. Z tej szafy, nauczo-na doświadczeniem, nie pożyczala nikomu, chyba najbliższym i najbardziej pewnym przyjaciółom. Z sufitu, pośrodku salonu, zwieszała się stara, z kutego żelaza, duża latarnia, którą zapalaliśmy na przyjazd gości i której okrągłe koloro-we szkiełka rzucały na pokój przyćmione, różnobarwne światło. Gdy byliśmy same, nigdyśmy w salonie nie siadywa-ły. W dzień każda była zajęta swoją pracą, wieczory łączyły nas w jadalni czy też w naszym pokoju.

Z salonu, na wprost wejścia z przedpokoju, wchodziło się do małej, pełnej kwiatów oranżeryjki, której zawdzięczałyśmy wiele przyjemności, radosnych chwil i niespodzianek. W la-tach, w których Rodziewiczówna styczeń i luty spędzała w Warszawie, na powrót jej



w marcu oranżeryjka pełna już była kwitnących prymul, laków i zimowych lewkonii, których część naturalnie służyła do zdobienia domu i cieszyła nas wonią i barwą kwiatów; to było moje osobiste królestwo.

Na lewo od salonu był jadalny pokój o dużym, pełnym słońca weneckim oknie, dającym widok na ogród, dąb i pasiekę. Ściany były ozdobione rozetami z malowanych talerzy, pochodzących z różnych stron Polski i z różnych krajów Europy, bo przyjaciele i znajomi wiedzieli, że niczym nie można było zrobić Rodziewiczównie większej przyjemności, niż przywiezieniem jej nowej, nieznanej jeszcze w jej kolekcji „porcelanki”. Pośrodku jadalni stał duży dębowy stół, o wiązaniach pięknie rzeźbionych, a na dolnej belce były wyrzeźbione słowa: „W jakim cechu siedzisz, takim i sam będziesz”. Stół otaczały bogato rzeźbione dębowe zydle, będące – jak i stół – dziełem dawnej przyjaciółki Rodziewiczówny, pani Heleny Weychert, która za młodych lat przez pewien czas w Hruszowej mieszkała i z pomocą Rodziewiczówny meble te wyrzeźbiła. To był naprawdę nasz „roboczy” pokój; nie było rzeczy, której by się na tym stole nie robiło, począwszy od czyszczenia nasion na wiosnę, przebiegania grzybów w lecie, przygotowywania pomidorów na konserwy zimowe, do siekania mięsa i robienia doskonałych kiełbas i różnych wędlin w zimie. To był prawdziwie roboczy, ulubiony stół. W zimie pod szerokim jasnym oknem ustawiał się mały warsztat tkacki, na którym pracująca u nas przemiła dziewczyna, Wacia Żbikowska, tkła w wolnych chwilach ręczniki i obrusy o barwnych, wspólnie obmyślanych szlakach. Tkaniny o charakterze swojskim, poleskim, to było też jedno z gorących upodobań Rodziewiczówny. Taki obrusik czy ręcznik, ofiarowany przy pożegnaniu gościom z daleka, był zawsze miłą dla nich pamiątką i pomagał do zaznajamiania ogółu z charakterystycznymi cechami poleskiego przemysłu.

Nad drzwiami prowadzącymi naprzeciw okna do kancelarii Rodziewiczówny wisiał ulubiony przez nią *Boży rok* Stachiewicza<sup>70</sup>, przedstawiający w dwunastu obrazkach dwanaście miesięcy roku. Wszystkie były piękne i pełne nastroju, ale najwięcej lubiliśmy lipiec, przedstawiający śliczną, młodocianą postać Św. Jana Chrzciciela, niosącego na ramieniu dzban leśnych malin, i sierpień, malujący skupioną, zamodloną postać św. Anny, idącą przez kłóśne pola, czekającą na żniwa. „Św. Anna prosi swego wnuka, żeby za trzy dała jedna włóka”.

To był nasz jadalny pokój, surowy w swej prostocie, a skupiający w dni świąt i imienin liczne nasze sąsiedztwo, dla którego każdy przyjazd do Hruszowej był zdarzeniem upragnionym i jasnym; dawało ono poza serdecznością przyjęcia uczucie radości, że ten kochany dom taki jaki jest istnieje i ta droga, jasna postać jego właścicielki, o mądrych, poważnych oczach, niewyczerpanej dobroci i śmiałości zdania, która każdemu w oczy umiała powiedzieć prawdę i każdemu wskazać prostą drogę obowiązku.

Z jadalnego pokoju przechodziło się do kancelarii Rodziewiczówny, będącej uosobieniem prostoty. W rogu, pod oknem, stało duże biurko, przy którym pracowała, pisała listy, rachunki i tam powstawały powieści, pisane jednym rzutem, bez żadnych prawie zmian i poprawek i rzucały w świat zdrowe myśli i słowa, które głęboko zapadały w dusze, bo dodawały czytającym mocy i otuchy. Przy bocznej stronie biurka stał fotel kryty poleskim samodziałem i to było moje miejsce, kiedy wśród różnych zajęć domowych wpadałam do Rodziewiczówny dowiedzieć się, co robi, chwilę odpocząć i w zetknięciu z ciepłem jej serca zaczerpnąć nowej radości życia i ochoty do wszelkiej pracy.

Nad biurkiem wisiała dawna grupa siostr z Jazłowca, widoki stamtąd i fotografia obu naszych matek. Obok wejścia był piec ogrzewany z kuchni i to było nasze ulubione miejsce odpoczynku, kiedyśmy czasem wracały z roboty zziębnięte i zmęczone, a tam tak było cicho i ciepło.

Między kancelarią a przedpokojem był niewielki gościnny pokój, zwany szwedzkim, bo

zdobiące go meble były robione według autentycznych wzorów szwedzkich, przywiezionych przez Rodziewiczównę ze Skandynawii w czasie odbytej tam wycieczki w 1908 czy 1909 roku. Łoże obszerne, do którego wchodziło się po schodkach, było zbudowane w kształcie szafy otwartej bez drzwi, wewnątrz lakierowane na biało, a na zewnątrz niebieskie w kolorowe arabeski. Na dzień wejście do łóżka było zasłaniane barwną tkaniną, a na bocznej ścianie, tworzącej całość łóżka z przylegającym do niej bufecikiem z półkami, widniał napis: „Uczynionym przednie, służyć w noc i we dnie”. Na wewnętrznej ścianie wisiał obraz Królowej naszej z Jasnej Góry i z blachy wycięty herb Litwy Pogoń – jeździec na koniu ze wzniesionym nad głową mieczem i tarczą na ramieniu; Wejdawutas z *Dewajtisa*. Resztę umeblowania stanowiły: drewniana szeroka ława z wysokim poręczem, przykrytym barwną tkaniną, półki na ścianach, a naprzeciw łóżka niska komódka, wszystkie mało-wane w barwne kolorowe wzory i arabeski. Bardzo udany był obiegający cały pokój kolorowy fryz pod sufitem, przed-stawiający na tle białej ściany korowód roztańczonych Szwedów – kobiet i mężczyzn, trzymających się za ręce i barwnie ubranych. Przyjeżdżający do Hruszowej po raz pierwszy goście z pewnym niepokojem patrzyli w pierwszej chwili na łożo ze schodkami, ale spali w nim znakomicie.

Drugi nasz gościnny pokój był z przeciwnej strony przedpokoju, ale nie odznaczał się niczym specjalnym.

Poza tym na piętrze, na którym główne pokoje były zajęte na składy, miałyśmy dwa bardzo miłe, pełne słońca gościnne pokoje, zwane „Opactwem”, bo mieszkali tam zawsze odwiedzający Hruszowę księża, między innymi nasz wielki przyjaciel, zamordowany potem przez Niemców, ks. Kuczyński, który bardzo lubił na dłuższy odpoczynek do nas przyjeżdżać i nieraz w czasie wakacji parę tygodni w Hruszowej spędzał... To nasze „Opactwo” odnowiliśmy zupełnie, wiosną 1939 roku, meble zostały pokryte regionalnymi wileńskimi tkaninami. Cieszyliśmy się tym bardzo, ale już tak niedługo. Pomieszkiwały tam też siostry urszulanki, przyjeżdżające na swoje „żniwa”.

Nasze osobiste wspólne mieszkanie mieściło się na prawo od salonu, naprzeciw drzwi prowadzących na lewo do opisanego już jadalnego pokoju. Sypialnia nasza była obszerna, o dużym weneckim oknie, wychodzącym na nasz śliczny parter różany, pełna słońca, o meblach białych, krytych kwiecistymi kretonami. Cały pokój otoczony był od dołu szerokim, półtorametrowym pasmem szarego płótna, kończącym się górą barwnym haftowanym szlakiem stylizowanych pelargonii. Stało tam pod oknem moje biurko, pianino, na którym nieraz wieczorem Rodziewiczównie grywałam, wygodna kanapka, na której zwykle po południu odpoczywałam, z kochanym żółtym foksem Gasiem do nóg moich przytulonym. Rodziewiczówna sypiała na otomanie, ja miałam białe łóżko, poza tym stał tam jeszcze biały okrągły stół, przy którym siadywałyśmy wieczorami, po skończonej całodziennej pracy. Obok sypialni miałyśmy naszą ubieralkę.

W urządzeniu domu Rodziewiczówna nie uznawała rzeczy modnych ani banalnych, ceniła bardzo stare zabytki, stare meble, lubiła bardzo rzeczy regionalne, dlatego też dom jej miał cechę oryginalności, a razem powagi.

Hruszowski ogród, w którym spędzałyśmy większą część lata, miał też swoisty charakter, nie był to park wielkiej rezydencji, ale przemiły wiejski ogród, sad, zaczynający się prawie przy domu, bo oddzielał go od nas tylko różany ogródek. Minąwszy róże, szło się prosto, drogą obrzeżoną kwiatowymi rabatami, aż do bramy prowadzącej już dalej w pole. Rosło w tym ogródku kilka przepięknych dębów, parę przy drodze, a jeden przy „chacie leśnych ludzi”, która od chwili przeniesienia jej z lasu po pierwszej wojnie stała na lewo za domem, zaraz za pasieką. Urządzona była identycznie tak samo, jak kiedy mieszkaliśmy w niej w lesie; główna izba miała ten sam jesionowy stół z takimi ławami, nad nim nasza kochana Matka Boska „Czaharska”,

otoczona wień-cem nieśmiertelników na tle barwnej tkaniny, nad ławami biegł barwny „pasiak”, a na ścianach na półkach stały misy i garnki poleskie i z innych stron kraju. Tapezan w rogu izby był zawsze przygotowany do spania dla przygodnego gościa. Stamtąd wchodziło się do tak zwanego osobniaczka, to jest małej izdebki, której okno wychodziło na poleską „podsień”; pod oknem stał stół, przy którym siadywała Rodziewiczówna, obserwująca stamtąd ptaki i ciesząca się widokiem ogrodu; tam miała zbiór książek ornitologicznych, a w szufladzie czaharską kolekcję jaj ptasich, do której ciągle coś ciekawego przybywało. W całym ogrodzie i naokoło chaty było na drzwiach mnóstwo skrzynek na ptaki, zawsze od wiosny przez nie zajętych. Na ścianach i półkach chaty były porozmieszczane ciekawe gniazda ptasie, gniazdo remiza w kształcie worka, utkanego jakby z białej wełny i puchu, z bocznym otworem, gniazdo trzciniaaka uplecione na trzcinach, misterne koszycki wilg, zięb itd. Do spania służyła tam jakby wielka kołyska, wisząca na grubych drutach, poleski kosz z łozy, w którym bajecznie się sypiało. Z drugiej strony izby, z wejściem z drugiego podsienia, był nasz dawny alkierzyk sypialny, zwany po polesku „pukłitem”, a obrócony teraz na skład naszych ogrodowych narzędzi. Przy chacie stał krzyż z Bożą Męką, też przywieziony z lasu, a w głównej izbie, na belce podtrzymującej pułap, widniał napis: „Królowo nasza i św. Franciszku, Waszej opiece ta chata oddana 11 kwietnia 1911 r.”.

Ściany chaty były obrośnięte pnącymi roślinami, różami i kapryfolium.

Za chatą zaczynał się gaj, jakby kawałek parku o wyniosłych drzewach, gdzie wiosną pełno było anemonów i liliowych przyłasczek. Dalej zaczynał się sad, okalający też nasze kochane inspekta. To był prawdziwy hruszowski raj, miałyśmy tam skrzynie inspektowe, w których same siałyśmy i pikowały kwiaty i wczesne warzywa, ziemia była doskonała, tak że wysadzone ze skrzyń warzywa rosły znakomicie i nigdzie równie wczesnych nie było. Pomidory, któreśmy osobiście obcinały i wiązały, dawały zbiór obfity, starczący na lato i zapasy zimowe. Miałyśmy tam też maliny, truskawki i poziomki, a pomocnicami naszymi, bardzo już pod kierunkiem Rodziewiczówny umiejętnymi, była gospodyni nasza, zacna pani Barbara, i wspomniana już przeze mnie kochana Wacia Żbikowska.

Takim był nasz kochany hruszowski ogród; za dobrze nam w nim było, za dobrze! I myśleć o nim nie mogę bez głębokiego wzruszenia, tak jak o całym naszym hruszowskim życiu. Z drugiej strony domu, od podjazdu, dziedziniec może był trochę zanadto gospodarski, przechodziły tam ciągle krowy, konie, cielęta, na estetykę miejsca już tu nie było. Wśród budynków gospodarczych odznaczały się dwa, budo-wane jeszcze przez dziada Rodziewiczówny, chorążego An-toniego Rodziewicza. Obora o galerii wspartej na wyniosłych kolumnach i spichrz na dalszym gospodarczym dziedzińcu, o potężnych grubych murach i też galerii z kolumnami. Niedziela była dniem bardzo miłego wypoczynku, ale bardzo też często całą niedzielę zajmowali nam odwiedzający; czy chcący nas tylko zobaczyć, czy też częściej przychodzący po pomoc, radę, wskazówkę. Żegnałyśmy takiego gościa jednymi drzwiami, a już drugimi od ogrodu ktoś wchodził ze swoją sprawą. Nazywałyśmy takie dni tak zwaną wypoczynkową, prawdziwie „hruszowską niedzielą”, i Rodziewiczówna mówi-ła, że inaczej być nie może, bo jesteśmy „na służbie”.

Hruszowa, razem z całym kobryńskim powiatem, była niegdyś królewsczyzną. Po upadku Polski cesarzowa Katarzyna oddała te ziemie swoim generałom i Hruszowę dziad Rodziewiczówny, chorąży Antoni Rodziewicz, nabył od Suworowa. Zawsze mi Rodziewiczówna mówiła, że uważa siebie nie za właścicielkę Hruszowej, ale za królewskiego urzędnika, królewskiego „ciwuna”<sup>71</sup>, i wobec pamięci królów naszych czuje się obowiązana tę ich włas-ność w całości zachować i dotrzymać w porządku do końca. Otóż taka pomoc finansowa czy moralna była też tą królewską, a także Bożą sługą.

Przychodził do nas nieraz w różnych sprawach młody szlachcic z zaścianka, Krasnoleski, i raz, w ostatnich latach przed wojną powiedział, że ma wielką troskę, bo przyjaciel jego, syn osadnika, Przeździecki, z powodu niewierności narzeczonej chciał sobie życie odebrać i po tym nieudanym samobójstwie nie może wrócić do zdrowia.

– Niech mi pan tego Przeździeckiego przyśle do Hruszowej – rzekła Rodziewiczówna – będzie miał osobny pokój na górze, ciszę i spokój, i zobaczy pan, że do sił i równowagi wróci.

Parę dni później Przeździecki się zjawił z małą walizką w ręku, osiadł na górze i powoli wciągnął się do hruszowskiego życia, a do Hruszowej przyłgął duszą całą. Wziął się później do pracy i był dużą pomocą. Pieniądzy brać nie chciał, mówiąc, że w Hruszowej ma wszystko, co mu po-trzeba, tak że Rodziewiczówna przeznaczoną mu pensję składała co miesiąc do koperty na zapas.

Był u nas, oddany jak syn, aż do chwili mobilizacji 1939 roku, i wtedy powiedział Rodziewiczównie: „Mam jedną rzecz własną, moją krew, i tę powinienem Ojczyźnie oddać”. I poszedł jako ochotnik. Pisał do nas później, że był ranny w szpitalu, a potem po rozproszeniu naszego wojska wrócił do Hruszowej, choć nas już tam nie było, i dalej tam pracował, do ostatnich granic możliwości. Został ciężko ranny przez polujące na niego wrogie bandy, i wtedy osiadł już w Brześciu nad Bugiem, jako pomocnik w piekarni. Miał do nas do Warszawy dojechać, ale listy się urwały i nie wiem, co się stało z tym wiernym przyjacielem Hruszowej.

Wielkim przyjacielem był też osadnik, porucznik Madaliński; miał osadę, z bardzo jeszcze ubogim początkiem dworu, i młodziutką, dzielną żonę. Wpadał do nas często, a że był wyjątkowo zdolny do wszelkiej majsterki, reperował nam różne popsute narzędzia, założył dzwonki elektryczne, a razem z Przeździeckim skonstruowali doskonałą maszynę do karczowania pni. Był to wielki triumf, bo kosztowała minimalnie, a doskonale pnie wyciągała. Rodziewiczówna wzięła osadę porucznika pod swoją opiekę; dała mu środki na kupienie stodoły, posłała mu krowę, pomagała w uprawie ziemi i mawiała, że co by jej Hruszowa warta była, żeby nie potrafiła postawić na nogi takiej osady! Toteż i porucznik był jej całym sercem oddany. Mówiąc o nich: o Madalińskim, Przeździeckim i Sałku, nazywała ich: „moi trzech chłopcy”, a kiedy szli na wojnę w 1939 roku, każdego z nich krzyżem żegnała jak matka. O wszystkich trzech miałyśmy potem wiadomości: porucznik był w oflagu, Sałek wywieziony na wschód. Rodziewiczówna troszczyła się o nich całym sercem, przez cały czas trwania wojny, ale żaden z jej „trzech chłopców” nie miał już jej zobaczyć!...

Z porucznikiem Madalińskim w oflagu<sup>72</sup> utrzymywałyśmy kontakt listowny i ciągleśmy wspólnie projektowali, jak to się od-będzie po wojnie, ten upragniony powrót do naszych gniazd. I raz mu Rodziewiczówna napisała: „Jak już będzie »Już«, (tj. jak Niemcy będą pobite), kupuję samochód, zabierzemy pana, a po drodze naszego proboszcza ks. Holaka, i pojedziemy do Hruszowej”. Na to jej porucznik odpisał: „Na wszystko się zgadzam, ale »kupuję«?!”. I tu następowały znaki zapytania i wykrzykniki, bo porucznik rozumiał, że samochód po Niemcach dostaniemy darmo.

Rodziewiczówna o tym liście nieraz opowiadała, śmiejąc się i ciesząc się nim i tą perspektywą powrotnej podróży do ukochanej Hruszowej. Ale samochód żaden po nas nie zajechał i nie zajędzie, i nie wiem, co się z kochanym porucznikiem stało!...

Miałyśmy wśród tej mniejszej własności jeszcze jednego hruszowskiego przyjaciela. Był nim pochodzący z Litwy Kowieńskiej osadnik spod miasta Antopola, p. Waław Jankiewicz. Był to człowiek dużej inteligencji i gorący Polak; piastował różne urzędy w starostwie i gminie, i we dwoje z bardzo dzielną żoną pracowali w swojej osadzie, którą bardzo porządnie zabudowali i urządzili. Z jednym tylko nie mogli dać sobie rady: z pastwiskiem, które z dawnych czasów było zapuszczone, że przedstawiało tylko nieskończoną ilość kretowisk, porosłych darnią

i sitowiem i p. Jankiewicz przyznał się Rodziewiczównie, że jego sprzężaj temu nie poradzi. Więc i tę pomoc Hruszowa wzięła na siebie; hruszowskie konie przez szereg dni nad pastwiskiem pracowały, i ileśmy razem potem tamtędy przyjeżdżały, patrzyłyśmy z radością na pastwisko ślicznie zmeliorowane i uprawione. Biedni pp. Jankiewiczowie zostali wywiezieni aż pod Archangielsk i nic nie wiem, co się z tymi przyjaciółmi Hruszowej stało!...

W tym szeregu lat, cośmy z sobą w Hruszowej przeżyły, zdrowie Rodziewiczówny, cierpiącej stale na astmę i rozedmę płuc, potrzebowało wiele starań i serdecznej opieki, szczegól-nie od chwili przebycia zapalenia opłucnej, kilka lat po tamtej wojnie. Ale miałyśmy dobrze zaopatrzoną aptekę, a ja wyraźne wskazówki doktora, i różne niedyspozycje, a i częste bronchity mijały szczęśliwie.

Ale na półtora roku przed ostatnią wojną przyszła ciężka grypa, zapoczątkowana bardzo męczącym i długim atakiem astmy. Tak się złożyło, że doktora mogłam dostać dopiero w połowie drugiej doby, ale przyjechał i przywiózł z sobą pomoc i ratunek. Zmaganie z chorobą trwało całe tygodnie, ale serdecznie życzliwy doktor Szydłowski z Kobrynia dojeżdżał, ile razy go wezwałam, a siostra Łęska z Horodca przysłała mi siostrzyczkę, kochaną siostrę Reginę, która czuwała w nocy, żebym ja mogła spokojnie odpocząć. I choroba przesiliła się szczęśliwie; przyszło Boże Narodzenie, takie radosne i pogod-ne, bo już Rodziewiczówna wstawiała, i miałyśmy w naszej jadalni pogodną wigilijną wieczerzę, a ja usłyszałam kochane słowa, któreśmy sobie w ciągu następnych ciężkich lat przypominały nieraz: „Póki ty jesteś przy mnie, to ja nigdy nie umrę”.

Myśląc, że już wszystko w porządku, pojechałam na Nowy Rok do Mołodowa, tymczasem po dwóch dniach otrzymałam depeszę wzywającą mnie z powrotem, bo gorącz-ka wróciła. Tegoż samego dnia wyjechałam i znalaz-łam recydywę<sup>73</sup>, ale doktor już był, zostawił mi wskazówki i za-strzyki, a moja chora powitała mnie słowami: „Jestem bardzo chora, ale już wszystko dobrze, bo ty jesteś”. I po uporczywej walce choroba znowu ustąpiła, a dla nas przyszedł taki zawsze radosny i wzruszający okres rekonwalescencji, kiedy się czuje i widzi, że życie kochane jest uratowane i grożące rozstanie nie nastąpi. W czasie choroby Rodziewiczówna miała dwukrotne jakby sny-widzenia, które mi zaraz opowia-dała, a które miały w sobie coś jakby proroczego: była w przystani, skąd miał zaraz odchodzić okręt – do „tamtego lądu” – i słyszała rozmowę ludzi zbierających tych, co mieli być przewiezieni na tamtą stronę życia: „A tu nie wstąpimy?”. „Nie; przyszło 93 świadków prosić, żeby ona została”. Drugim razem słyszała wyraźnie miarowy tupot kroków żołnierskich i na pytanie: „Kto idzie?”, wyraźna odpowiedź: „Historia idzie! Ruszyli rycerze z Giewontu!”<sup>74</sup>

Historia szła rzeczywiście, i te przełomowe jej bezdennie ciężkie lata, ale gdzie są idący Rycerze z Giewontu?...

Chodziło o to, ażeby moja chora jak najlepiej i jak najczęściej się odżywiła, więc na noc zawsze miałam jakiś posiłek, który na maszynie spirytusowej w mig odgrzewałam, i jadłyśmy w nocy razem, mówiąc, że to są nasze „chrześcijańskie agapy<sup>75</sup>”. Zdrowie wróciło, tym razem na dobre, ale rozumiałam, że kochanego życia trzeba strzec jak najbardziej.

Rodziewiczówna była dla swojego zakątka podtrzyma-niem nie tylko w sprawach materialnych i osobistej moralnej porady i pomocy, ale dbała o rozwój intelektualny i duchowy; wypożyczalnia książek była na każde zawołanie otwarta i wzbogacana corocznie nowymi zdobyczami, a w ostatnim dziesiątku lat urządziła Rodziewiczówna dwa razy uroczyste trzydniowe rekolekcje dla całego sąsiedztwa, co wszystkim nam zostawiło niezatarte wspomnienie. Kochany hruszowski dom rozszerzył swoje ściany, a i „chata leśnych ludzi” była zajęta przez panów. Przedpokój był zamknięty i urządziłyśmy w nim kaplicę, mając od biskupa pozwolenie na zachowanie Przenajświętszego Sakramentu w czasie dni rekolekcyjnych w tym

zakątku naszego domu; ołtarz był przybrany obfitością róż, będących właśnie w pełnym kwiecie. Po zakończeniu rekolekcji i ogólnej Komunii świętej rozjechali się wszyscy głęboko wzruszeni i wdzięczni i dni te zostały jednym z bardzo jasnych wspomnień duchowego wpływu, którym promieniowała Hruszowa.

Uczucia religijne Rodziewiczówny, zawsze bardzo gorące, nabierały z latami coraz bardziej wyraźnego i swoistego charakteru. Miała swój specjalny sposób mówienia o rzeczach świętych, o postaci Pana Jezusa i Najświętszej Panny. Rzadko mogła o nich mówić spokojnie; zwykle usta drżały, a w oczach stawały łzy.

W jej pojęciu Pan Jezus między nami chodzi, jak chodził za swego życia na ziemi, z tą tylko różnicą, że Go nie widzimy; chodzi, i jak widzi, że gdzieś się zapala światełko Jego miłości i dobrych uczynków, uśmiecha się radośnie, zbliża i błogosławi.

Rok 1933 był rokiem jubileuszowym 1900-letniej rocznicy śmierci Chrystusa Pana. Rodziewiczówna zaraz postanowiła, że krzyż jubileuszowy postawi w miejscu, w którym się zjeżdżało z szosy na hruszowskie grunta, i stanął krzyż dębowy z datą tej wielkiej rocznicy.

Jednocześnie prawie pochylił się ze starości krzyż stojący przy zawrocie drogi wiodącej do naszej bramy. Rodziewiczówna sprowadziła z Warszawy zeszyt ilustrowany z rysunkami różnych dawnych polskich kapliczek przydrożnych i krzyżów i wybrałyśmy razem ładny wzór krzyża, z daszkiem nad figurą Pana Jezusa, z ozdobami żelaznymi w kształcie promieni. Został więc według tego wzoru zrobiony wyniosły krzyż z dębu, a dla nadania drzewu większej trwałości pociągnęłyśmy go warstwą bezbarwnego lakieru i leżał w naszym salonie, aż lakier nie wysechł. Były to ostatnie dni Wielkiego Postu; w Wielki Piątek po południu ludzie nasi zanieśli go uroczysto na przeznaczone mu miejsce i stanął na straży naszego dworu, obrócony ku niemu, biorąc go jak gdyby w opiekę.

Na niższej części krzyża została przybita ozdobna tablica z napisem: „Od powietrza, głodu, ognia, wojny i niewoli, zachowaj nas Panie”.

„Nieraz, kiedy byłam w polu – mówiła – i siadałam przy miedzy odpocząć, czułam, że On przy mnie siada, i takeśmy z sobą rozmawiali; kończyło się zawsze tym samym, że mi na zakończenie mówił: »Ty nie jesteś taka zła, ale bardzo głupia«”.

A o Królowej z jakim uczuciem mówiła! Czuć było, że ją kocha całą duszą, nie tylko jako Królową Korony Polskiej, ale jako Matkę narodu naszego, Matkę miłosierdzia, jako tę przeczystą Panienkę, której urok i piękno Stachiewicz tak cudnie uwiecznił w swojej *Legendzie*. Tej *Legendy* miała zawsze u siebie wiele egzemplarzy; kochała szczególnie poświęcenie Pana Jezusa z Matką, kiedy On odchodził na nauczanie i swą krzyżową drogę, i drugi obrazek, na którym Matka Boska w stroju królowej prowadzi wspaniale też przystrojone Dzieciątko na sumę. Miała też wielką cześć dla św. Andrzeja Boboli, Patrona i Męczennika Polesia. W naszym horodeckim kościółku lewy ołtarz z obrazem św. Andrzeja, idącego na misyjną pracę i mękę, powstał fundowany przez nią.

W naszej najbliższej okolicy był tylko jeden kościół w Horodcu i liczna już nasza katolicka gromadka pragnęła gorąco wznieść drugi kościół w mieście Antopolu, odległym o dziesięć kilometrów od Horodca. Ale skąd na to wziąć fundusze? Ksiądz nasz chciał rozesać tak zwaną kulę śniegową po całym kraju, co nie było bardzo po myśli Rodziewiczówny, która znajdywała, że powinniśmy zebrać wśród nas potrzebne środki: „Zacznijmy tylko budować kościół pod wezwaniem naszego św. Andrzeja – mówiła – a ręczę, że w rok kościół stanie”.

Budowa kościoła została więc postanowiona. Odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego, składki zaczęły rosnać i w rok potem mogliśmy prosić naszego biskupa, księdza Bukrabę, o konsekrację kościoła.

Naturalnie, że hruszowska kasa i gorące serce jej właścicielki najbardziej przyczyniły się

do szybkiej budowy kościoła, ale faktem jest, że kościół stanął nieprawdopodobnie prędko. Wieżyczka kościoła była zakończona dużym krzyżem, oświetlonym pod szkłem elektrycznymi lampkami; i z taką radością myśleliśmy, że ten krzyż, górujący nad całą okolicą, będzie w nocy świecić jak jasny symbol wskazujący drogę.

Do głównego ołtarza przybył później obraz przedstawiający piękną, bolesną głowę świętego Andrzeja i tak zapaliło się jeszcze jedno światełko, jak mówiła Rodziewiczówna, które Pan Jezus, widząc, podchodzi, uśmiecha się i błogosławi.

Rodziewiczówna miała jeszcze jedną wybitną cechę: bola-ło ją, jeżeli kto nie szedł po słonecznej, jak mówiła, stronie życia i widział głównie jego złe strony. Ona na swej słonecznej ścieżce widziała w duszach ludzkich i na drodze życia ludzi i narodu przede wszystkim to, co było dobrego i jasnego, tak w bieżącej chwili, jak i w przyszłości. To jej dawało tę pogodę ducha i to ciepło, które ludzi zdobywało – bez walki.

„A ja wam mówię – mówiła ze wzruszeniem, nawet w najcięższych chwilach następnej wojny – ja wam mówię, że idzie Królestwo Boże”.

## Rozdział X

Rok 1931 był rokiem 45-lecia autorskiej pracy Rodziewiczówny. Kraj cały postanowił ją uczcić wspaniale urządzonym obchodem i cała Polska, długa i szeroka, połączyła się w gorącym wyrażeniu drogiej Jubilatce uczuć wdzięczności, czci i serdecznego przywiązania.

Warszawska uroczystość zaczęła się od nabożeństwa w Katedrze, w czasie którego Jubilatka klęczała na osobnym, postawionym dla niej w prezbiterium klęczniku, i przystąpiła do Komunii świętej, chcąc w ten sposób dać uroczysty dowód swej głębokiej wiary. Na całym tym obchodzie w Warszawie być nie mogłam, ale wiem, że był bardzo świetny, z akademią, wielkim bankietem z mowami i towarzyskim potem zebraniem. Na tym wszystkim nie byłam, ale potem w Hruszowej z radością oglądałam dowody, jak szczerze i serdeczne było uznanie i jak ogólna była cześć otaczająca jasną postać sędziwej Jubilatki. Przysłano do Hruszowej setki adresów zebranych w pięknej skórzanej tece artystycznie ozdobionych, z gorącymi tekstami i setkami podpisów. Adresy pochodziły z różnych stron kraju, z różnych jego warstw i ugrupowań, a najpiękniejszy może z nich treścią i formą był adres Uniwersytetu Wileńskiego. Drugi wielki zbiór adresów przysłano z dawnego zaboru pruskiego.

Na ten obchód jubileuszowy pojechał z własnej inicjatywy jeden z naszych Poleszuków, jeden z trzech opiekunów hruszowskiego domu w czasie inwazji bolszewickiej 1920 roku. Rodziewiczówna postarała się, żeby mógł wszystko widzieć i wrócić pod ogromnym wrażeniem, oceniwszy dopie-ro teraz, że ich Hruszowska Pani, taka w swoim domu łatwa i prosta, jest jednak takim wielkim, ogólnie znanym i sław-nym człowiekiem.

Wzruszające były listy, których przychodziło mnóstwo, z których dwa szczególnie pozostały mi w pamięci. Jeden z nich był od księdza, którego nazwiska nie pamiętam. Pisał on, że kiedy był jeszcze młodym chłopcem, przeczytał powieść Rodziewiczówny *Czahary*, w której był opis opuszczonego kościołka w Kazimierce na Polesiu wołyńskim. Opis ten tak go wzruszył, że wtedy przyszła mu pierwsza myśl kapłaństwa, postanowił, że zostanie księdzem i kiedyś może tą Kazimierką się zajmie. W następstwie tego postanowienia wstąpił do seminarium, a po swoim wyświęceniu prosił biskupa o wyznaczenie go do zaniedbanego kościoła w Kazimierce. Upragnioną placówkę objął, całym sercem tej pracy się oddał i kościół ślicznie odrestaurował. Przysłał Rodziewiczównie w tym liście fotografię odnowionego kościoła i w gorących słowach dziękował, że jej zawdzięcza swoje powołanie.

Drugi list był od żony prostego robotnika z kopalni śląskiej; pisała, że znają wszystkie książki Rodziewiczówny, odczytują je w długie zimowe wieczory, czerpiąc z nich otuchę i odwagę, i kończyła słowami: „Chciałabym, żeby Pani wiedziała, jak my Panią kochamy, my, których Pani nauczyła kochać trud i obowiązek”.

Przez całe to jubileuszowe lato przychodziły listy z róż-nych stron kraju, nawet od dzieci dziękujących za *Lato leśnych ludzi*, a wszystkie mówiły o gorącej czci, wdzięczności, o wielkim uczuciu przywiązania dla tej, która książkami swymi umiała zagrzać, podnieść, zachęcić, dodać otuchy i wiary, która w prostych słowach umiała dać wskazówkę na całe życie. „Nie ma małych prac i małych obowiązków – są tylko mali ludzie”.

Między innymi był też list od uczennic z klasztoru w Jazłowcu, które w archiwum klasztornym znalazły doku-ment z czasów, kiedy Rodziewiczówna była tam uczennicą; dokument mówiący, że one wzrosły w niewoli, a wierzące w zmartwychwstanie Ojczyzny, zwracają się do przyszłych pokoleń uczennic, którym dane będzie widzieć Polskę zmartwychwstałą, biorą udział w ich przyszłej radości, i pro-szą, żeby te ostatnie, wzrosłe już w atmosferze wolności, sercem wspominały o dawnych koleżankach z czasów ucisku i niewoli.



Te młode, z ostatniej doby uczennice jazłowieckie, między innymi podpisami na dokumencie znalazły podpis Rodziewiczówny i do niej się zwróciły myślą i całym sercem, za co otrzymały odpowiedź pełną ciepła i duchowej z nimi jedności.

W tym jubileuszowym roku przyjechała do Hruszowej z Białej Podlaskiej żona tamtejszego inspektora szkolnego (nazwiska niestety nie pamiętam), młoda, gorącego serca kobieta, z prośbą, żeby jej Rodziewiczówna pozwoliła wybrać z wszystkich swoich dzieł krótkie myśli i zdania przed-stawiające największą duchową wartość i wydać je w osobnej książce<sup>76</sup>.Pozwolenie naturalnie otrzymała, i przysłała nam potem tomik tych myśli, bardzo starannie wybranych. Nie-stety i to przepadło w pogromie Hruszowej, i nie wiem, czy kiedy ten kochany zbiorek odnajdę, nie pamiętając nazwiska tej, która tę myśl serdeczną w czyn wprowadziła. A byłoby to dla mnie tak drogą pamiątką i takim dopełnieniem duchowej postaci ówczesnej Jubilatki.

Mało kto z najbliższego kółka Hruszowej mógł wziąć udział w warszawskim jubileuszowym obchodzie, zostało więc postanowione, że urządzimy taki obchód, choć na małą skalę, w Horodcu, żeby całe nasze kółko mogło w nim swoją obecność zadokumentować. Po nabożeństwie i przedstawie-niu z okolicznościowymi wierszami w domu ludowym ze-braliśmy się wszyscy na plebanii, na wspólny, gotowany przez nasze panie obiad i tam w bardzo miłym nastroju kochana Jubilatka musiała jeszcze wysłuchać różnych przemówień, między innymi byłego naszego proboszcza, księdza Poczobutta, który dziękował za wpływ, jaki na niego Hruszowa wywarła, w czasie jego półtorarocznego pobytu w Horodcu.

Bardzo wesołą i serdeczną nutę wprowadziło przemówie-nie mojego brata Henryka, tak w swoim rodzaju udane, że pamiętając je dobrze, muszę tu je zacytować:

*Temu chyba nikt nie przeczy,  
Że powiedzieć coś do rzeczy  
Jest rzecz trudna – przykład – w Sejmie!  
Może więc kto ze mnie zdejmie  
Zaszczyt, obowiązek rzadki,  
Powitania Jubilatki?  
Nikt? Choć rzesza ludzka mówna?  
Jam to może chłopak gładki,  
Ale tu – Rodziewiczówna! ...  
Co jak kowal kuje młotem,  
Hasła rzuca piórem złotem,  
Czy księżycą nów, czy pełnia,  
Czyn obywatelski spełnia.  
Trwa na warcie, w bój rwie nowy,  
Jak on żołnierz ów kresowy,  
Co wciąż broni Polski-Matki,  
Przez bór gęsty, przez step gładki.  
Kto mu kiedy zrównał, zrówna?  
Taką jest Rodziewiczówna! ...  
Co na szczęście ma swe zdanie,  
Co, ach! Umie sprawić lanie  
Piórem lub nastroić górnice!  
A gdy jakieś bają durnie,  
Że nastąpiła nowa doba,  
Mówi: stare mam sumienie,*

*Gdy wam to się nie podoba,  
Całujcie mnie... w podniebienie!  
[Czułość czułości nierówna,  
My wyrażmy uwielbienie,  
Nasza jest Rodziewiczówna!.]*

Ten 45-letni Jubileusz obchodzono tak wspaniale, z udziałem całego kraju, bo prawdopodobnie wszyscy się obawiali, że 50-letniej rocznicy sędziwa Jubilatka może nie doczekać. Tymczasem doczekała, ale sama protestowała przeciwko urządzaniu znowu wielkiego obchodu, mówiąc, że tamten miniony Jubileusz zapłacił jej tak hojnie za pracę i dał jej tyle radości, że na tym trzeba poprzestać.

Pięćdziesięciolecie minęło więc względnie spokojnie, ci-cho, ale prywatnie przyszło znowu wiele listów, dużo dowo-dów serca, pamięci i wdzięczności – a w Hruszowej mieliśmy mały zjazd krewnych i przyjaciół, z obecnością mego rodzeńs-twa i biskupem Bukrabą na czele.

Kółko nasze postanowiło jednak specjalnie tę rocznicę uczcić i z zebranych wśród najbliższych składek ufundowało do horodeckiego kościoła dzwon imienia Rodziewiczówny, i wtedy przy jego poświęceniu odbyła się bardzo miła i wzruszająca uroczystość. Na rodziców chrzestnych dzwonu zaprosiliśmy brata mego Henryka i żonę jednego z osadników, panią Mańkowską. Dzwon był umieszczony w namiocie zieloności przed kościołem i po nabożeństwie został uroczyś-cie poświęcony i ochrzczony imieniem „Maria”.

Napis wryty na dzwonie głosił, że został ufundowany na wieczną pamiątkę Marii Rodziewiczówny, której staraniem kościół horodecki został odebrany schizmie i jej sumptem dźwignięty z powojennej ruiny. Ostatnie słowa napisu brzmiały:

„Ducha żarem, serca miłosierdziem, hojną ofiarnością, mocą żywego i pisanego słowa służyła sprawie Bożej i umiłowanej Polskiej Macierzy<sup>77</sup>. Dzwonie, dzwoni! Głoś wieczną wartość zasługi”.

I odtąd dzwon dzwonił i wzywał do bożej służby, a głos miał czysty i donośny, i nieraz jadąc do Horodca i słysząc daleki dźwięk dzwonu, mówiłyśmy radośnie: „To Maria dzwoni”.

Czy się ostał i dzwoni jeszcze nad biednym opuszczonym krajem, nie wiem; tyle burz niszczących tamtym szlakiem przeszło. Chyba że go wierni przyjaciele Hruszowej w porę ukryli!...

W ciągu tego lata mieliśmy różne odwiedziny licznych wycieczek, między innymi bardzo miłą bytność szkoły handlowej z Brześcia, która nam potem przysłała zbiór bardzo udanych, zrobionych wówczas fotografii.

Nie mówiłam jeszcze, że nasze kółko wystąpiło raz z wyrażeniem żalu, że nigdy nie może brać udziału w ob-chodzie imienin Rodziewiczówny, 2 lutego, bo ona zawsze wtedy jest w Warszawie, i zaproponowało, żeby wprowadzić zwyczaj letnich imienin, 2 sierpnia. Zostało to postanowione i odtąd co roku 2 sierpnia był uroczyste i wesołe ob-chodzony. Zjeżdżało się całe sąsiedztwo i dom cały i ogród pełne były radosnego gwaru i śmiechu.

\* \* \*

Kochane hruszowskie życie płynęło dalej jasno i pogod-nie, niosąc z sobą coraz głębsze zżycie się w przeżywanych razem radościach i troskach. Mówiłam nieraz w tych czasach, że mi jest za dobrze, a że na świecie zwykle wszystko okupić trzeba, bałam się, że jak przyjdzie okup za te lata tak jasne i pogodne, pełne ciepła tej wyjątkowej przyjaźni, będzie on bardzo ciężki. Nie przypuszczałam jednak, że będzie tak bolesny i zmiecie z drogi życia wszystko, co było jego radością i opromienieniem...

Ostatnie dwa lata przed wojną Rodziewiczówna na zimę do Warszawy nie wyjeżdżała – było to już dla niej zanadto męczące i ryzykowne. Miałyśmy więc długie zimowe wieczory razem spędzane, w jadalnym pokoju, przy naszym roboczym stole albo w naszym pokoju, gdzie przy okrągłym stoliku, w ciepłym zakątku koło pieca gawędziło się tak dobrze przy jakiegokolwiek robocie. Rodziewiczówna mówiła nieraz, żeśmy doszły do tego stopnia zżycia się, że nam było równie dobrze milczeć, jak rozmawiać, bo żaden przymus nie był już nam potrzebny. A nieraz bywało, że po jakimś milczeniu odzywałyśmy się razem tymi samymi słowami, bo myśli nasze szły jednocześnie tym samym, zgodnym szlakiem.

Nieraz przyjeżdżała moja siostra, dla której Hruszowa była najmiłszym odpoczynkiem, i siadywałyśmy tak we trzy, a że Rodziewiczówna wszędzie wносиła z sobą nutę wesołości i humoru, siostra moja zaśmiewała się z jej żartów sercem całym, i było nam tak dobrze razem, w tej wieczornej ciszy i atmosferze spokoju kochanego hruszowskiego domu.

Przez te dwie ostatnie zimy nie jeździłam do Mołodowa na same święta Bożego Narodzenia, ale na Nowy Rok, bo nie chciałam zostawiać Rodziewiczówny samej przy wigilijnej wieczery. W czasie przedostatnich świąt, kiedy każdy z domowników znajdował pod choinką przeznaczony dla siebie upominek, znalazłam dużą zaadresowaną do siebie kopertę, a w niej pierwszy, ślicznie napisany rozdział nowej powieści: *Glebae ad scripti*. Miała to być historia Hruszowej, tej własności królewskiej, od chwili, kiedy przeszła ona do rąk dziada Rodziewiczówny, chorążego Antoniego Rodziewicza. Ucieszyłam się ogromnie i wiele razy upominałam się o dalszy ciąg – ale dalszy ciąg nie przyszedł.

Życie hruszowskie zanadto zapełniało dni jej właścicielki różnymi zainteresowaniami związanymi z pomocą innym, wpływem na bliższe i dalsze otoczenie, robotami różnymi i praca literacka zeszła była w tych ostatnich latach na drugi plan. A jednak ten rozdział niedokończony powieści nosił na sobie po dawnemu piętno wielkiego talentu i gorącego ducha – mógłby dać rzecz ogromnej wartości, żeby życie nasze nie zostało zerwane piorunową burzą wojny 1939 roku.

Lato ostatnie niosło już z sobą niepokój i pytanie: co będzie? Część wojska była zmobilizowana, pułkownik Nadachowski został też wezwany i opuścił Kobryń, a zastępca jego zaprosił nas na wieczór wojskowego święta 14 sierpnia do Kobrynia.

Przysłano po nas samochód i znowu miałyśmy wzruszające wrażenia wieczoru spędzonego wśród naszego wojska, na placu ozdobionym pięknym żołnierskim pomnikiem, wieczoru gorących przemówień i Apelu Umarłych, na którego liczne wezwania padały z różnych stron placu przejmujące w swej prostocie odpowiedzi: „Legł na polu chwały”. W powietrzu była już groza wojny...

To ostatnie lato 1939 roku było też jak gdyby latem pożegnania tego wszystkiego, co nam było najbardziej bliskie i drogie. W maju zachorował bardzo ciężko mój brat starszy, Konstanty, na którą to wiadomość pojechałam do Mołodowa i spędziłam tam trzy tygodnie. Brat mój był umierający i po przyjęciu Ostatniego Namaszczenia, kiedy życie jego było naprawdę kwestią kilku godzin, przyszło nagle nie-spodziewane polepszenie i choroba się przesiliła; drugi brat Henryk i siostra Marysia też leżeli z grypą, ja jedna byłam zdrowa i z wielką radością doglądałam wszystkich, ciesząc się, że mogę dłuższy ten czas im poświęcić.

W ciągu lata Marynia potrzebowała odpoczynku i kuracji i namówiłyśmy ją, żeby zamiast jechać do wód, co było w projekcie, a wobec niepewności sytuacji nie było bardzo pociągające, przyjechała do nas na dłużej i w spokojnej hruszowskiej atmosferze odpoczęła i piła przepisane wody. Zgodziła się na to bardzo chętnie i takeśmy się cieszyły jej obecnością i tym, że przez dłuższy czas znowu byłyśmy razem.

Pamiętam, że pierwszego ranka po jej przyjeździe wyprowadziłam ją, żeby pokazać jej

nasze róże osypane kwiatami, szczególnie jeden pyszny krzew, pnącej Tansondschon, rozpięty jak olbrzymia gwiazda, pokryty bukietami biało-różowych róż, wprost oczy rwał bogactwem barwy i kwiecia i Maryni, kiedy to niespodzianie ujrzała, wyrwał się jeden krzyk podziwu: „Boże, Boże, Boże”.

Spędziła ona z nami pełne trzy tygodnie i wyjeżdżała z żalem, nie wiedząc na szczęście, że ani Hruszowej, ani Rodziewiczówny już więcej nie miała ujrzeć, a było jej u nas tak dobrze i tak cieszyła się pogodą i spokojem, które jeszcze w Hruszowej panowały, i tym, że ten dom kochany i ją zawsze przyjmował za swoją. Byłam w Mołodowie po chorobie brata jeszcze parę razy, ostatni raz po 20 sierpnia, i przy mnie przyszedł rozkaz mobilizacji.

Henryś, kochający się w pięknie Mołodowa, w ciągu ostatnich dwóch lat wprowadził jeszcze różne ulepszenia i upiększenia, wodociągi w domu, odświeżenia wnętrza i naprawdę to nasze kochane rodzinne gniazdo było uosobieniem piękna, i tonęło w powodzi barw i woni kwiatów.

Wyjeżdżałam 27 sierpnia z głęboką troską, że znowu burza wojenna nadciąga – ale nadciągnęła z zachodu – i myśleliśmy, że tym naszym stronom kochanym, doświadczonym tyle razy, okropności wojny oszczędzone zostaną, tymczasem żegnałam Mołodów i moich najbliższych po raz ostatni i nigdy już jasne dni minione, przeżyte w rodzinnym gnieździe, powtórzyć się nie miały...

W Hruszowej znalazłam wszystko w porządku, ale jak wszędzie, tak i tu żyło się w naprężeniu oczekiwania wypadków. Nasi „trzej chłopcy” – porucznik Madaliński, Tadeusz Przeździecki i Stanisław Sałek – poszli byli do wojska, a Rodziewiczówna w przewidywaniu fali uchodźców z Zachodu zajęła się przygotowywaniem dla nich mieszkania i w pokojach na piętrze, w których zimą zwykle nikt nie mieszkał, mularz przerabiał piece.

## Rozdział XI

Pierwszego września nad ranem zbudził mnie warkot samolotu przelatującego nad domem; nie zwróciłam na to uwagi, ale kwad-rans potem posłyszałam odgłos wybuchu i pomyślałam spokojnie: to jakieś ćwiczenia. Tymczasem był to już samolot niemiecki, który rzucił na Kobryń pierwsze bomby, a jednocześnie były bombardowane inne nasze miasta, jak Brześć, Grodno itd. Parę godzin potem, po śniadaniu, przyleciał ktoś z gminy z wiadomością, że wojna wypowiedziana i samoloty niemieckie rzucają bomby.

Wrażenie było wielkie. Czułyśmy, że szła na świat z Zachodu ogarniająca cały nasz horyzont chmura pełna błysków i gromów, nie wiedzieliśmy tylko, że ogarnie horyzont całej kuli ziemskiej i wstrząśnie posadami świata.

Wieści przez te pierwsze dni przychodziły sprzeczne: jedne mówiły o powodzeniach, inne o klęskach; 5 września od-wiedził nas starosta Kosowski z Kobrynia, zaręczając, że wszystko idzie pomyślnie, wojska nasze stawiają silny opór i nadzieje są dobre; tymczasem Częstochowa już była wzięta, wojska niemieckie szły niepowstrzymaną ławą, nadciągała klęska. Starosta już się więcej nie pokazał, nie ostrzegł i nie pomógł, i kilka dni potem Kobryń opuścił. Zaczęły przez Hruszową przeciągać posterunki wojskowe, pojedynczy oficer-owie i żołnierze, i liczniejsze oddziały; prawdy wyraźnej nie mówili, wieści były mętne, starali się dodawać otuchy – ale czuć było, że sami jej nie mieli.

Któregoś dnia, zdaje mi się, że siódmego, zajechał wielki ciężarowy samochód wiozący kilka rodzin urzędników ministerstwa przemysłu i handlu ewakuowanych z Warszawy. Przyjęliśmy wszystkich, pokoje na górze były gotowe, a poza tym oddaliśmy im w ogrodzie „chatę leśnych ludzi”. Potem któregoś wieczoru zjawił się wojskowy, pan Budzyński, z prośbą, żebyśmy przyjęły jego żonę, córkę i matkę żony, które w którejś z wsi okolicznych mają na razie przytułek; chciał rodzinie zapewnić możliwie bezpieczne schronienie, a sam wracał do wojska. Rodziewiczówna naturalnie nie odmówiła i nazajutrz przyjechały te trzy pokolenia, a my od pierwszej chwili miałyśmy najlepsze o nich wrażenie; proste były, łatwe, za wszystko wdzięczne i we wszystkim stawały nam do pomocy.

Życie nasze w tym licznym gronie przygodnych gości płynęło dalej normalnie, obierałyśmy owoce, z pomocą pań robiłyśmy zapasy powidel śliwkowych na zimę. Hruszowa po staremu była „na służbie”. Któregoś z pierwszych dni pojechałam do Horodca dowiedzieć się o nasze siostry; spokojne były, ale siostra Łęska mówiła mi już o przykrych wrażeniach nieporządku i dezorganizacji; przywieziono tro-chę rannych, towarzyszący im personel Czerwonego Krzyża zachowywał się niepoważnie, brakło lekarstw, tak że ja z naszego ambulatorium podzieliłam się z siostrami potrzeb-nymi środkami i zastrzykami. Nad Hruszową i Horodcem ciągle krążyły niemieckie samoloty, chcące uszkodzić most kolejowy w Horodcu – i codziennie padały bomby.

Z Mołodowa przez pierwszy tydzień miałam listy od siostry. Oni też byli spokojni i oczekiwali licznych gości z Zachodu, którzy wkrótce dom cały zapełnili – ale koło dziesiątego listy się urwały i zaczął się dla mnie dręczący niepokój o swoich – tym bardziej że w połowie miesiąca zaczęły krążyć niepokojące pogłoski o możliwym wkroczeniu wojsk bolszewickich. Siedemnastego września przysli do nas dwaj panowie Pruszyńscy, Konstanty i Kazimierz; szli od oblężonej War-szawy w stronę Baranowicz, gdzie siostra ich miała majątek, ale wobec niepewności położenia i pogłosek o bolszewikach, które i oni słyszeli, prosili o przyjęcie ich tymczasem do Hruszowej. Urządziliśmy dla nich spanie w przedpokoju.

Z panem Konstantym, który służył nam we wszystkim pomocą, zawiązał się od razu

serdeczny i miły stosunek. Jednocześnie prawie przyszli państwo Jacuńscy z Brześcia.

W pogłoski o bolszewikach nie chciałyśmy jeszcze wie-rzyć, tym bardziej że z zachodu nadciągali Niemcy i dziewiętnastego byli już w Kobryniu. Uderzała nas tylko jedna rzecz: za-chowanie się miejscowej ludności, która do roboty przestała przychodzić; parę kobiet pracujących przy gospodarstwie rzuciło służbę, a u tych, którzy jeszcze zostali, jak pomocnik nasz w ogrodzie, Mikołaj, zmienił się po prostu wyraz twarzy, jakby z nich opadła maska! Polska służba stała przy nas wiernie, a pomocnik pana Kisiela rządcy, Bronek Wierzbicki, z całym spokojem i odwagą do końca w najtrudniejszych chwilach służył nam z pomocą. Co dzień wieczorem zbieraliś-my się wszyscy razem na wspólny pacierz; prosiliśmy o po-moc dla naszych wojsk, o wieczny spokój dla tych, którzy już krew za Ojczyznę dali, o ratunek dla Kraju. A modliliśmy się przed relikwiami naszego patrona, św. Andrzeja Boboli, które po pacierych dawałam wszystkim do ucałowania. Ale dni przychodziły coraz cięższe, a mnie coraz bardziej nękała śmiertelna cisza od strony Mołodowa. Przecie oni byli o 12 mil bardziej na wschód i wszelkie niebezpieczeństwo z tamtej strony im przede wszystkim groziło!

Dziewiętnastego września mieliśmy wiadomość, że Kobryń się pali i Niemcy dojdą prawdopodobnie w nocy do Hruszowej; nie kładłyśmy się więc spać, jeszcze raz z Rodziewiczówną przechodząc razem, tak jak w 1915 roku, męczące oczekiwania przyjsia obcych wojsk, ale o ileż teraz było nam ciężej!... Ale Niemcy stali w Kobryniu i dalej nie poszli, a wieści o nadciąganiu wojsk bolszewickich nabierały coraz więcej mocy.

Dwudziestego września wieczorem usłyszeliśmy gwałtowne dobijanie się do bocznych drzwi kuchennych – była to delegacja chłopów ze wsi, domagająca się otworzenia drzwi i oddania im broni. Rozmówiłam się z nimi, nie otwierając, utrzymując stanowczo, że broni żadnej nie mamy, bośmy ją już oddały, a wieczorem nikogo do domu wpuszczać nie będziemy, i po długim sporze odeszli. Ale nazajutrz przyszła już cała groma-da młodzieży, domagająca się czerwonych kwiatów, bo idą spotykać bolszewików, i radząc, żebyśmy też zrobiły czer-wony wieniec na ich powitanie! Poszli do ogrodu i pozrywali wszystko, co było gdzie czerwonego, a my wiedziałyśmy już, że naprawdę idzie na nas ze wschodu wroga siła, której osobiście bałam się jak niczego w życiu.

I odtąd zaczęły się dla nas bardzo ciężkie czasy; dwudziestego drugiego ujrzałyśmy wjeżdżających w bramę pierwszych wojskowych bolszewickich. Gromadka nasza oczekiwała ich spokojnie w jadalnym pokoju. Weszli, komendant zapytał, kto jest właścicielką, kazali nam podnieść ręce, obejrzeli, czy nie mamy broni, i kazali sobie resztę domu pokazać. W na-szym sypialnym pokoju stały na małej szafce relikwie św. Andrzeja Boboli, postawione tam na moją prośbę dla doda-wania nam otuchy, bo przez ubiegłe ostatnie dni Rodziewi-czówna miała je zawsze przy sobie, a tylko na noc stawiałyś-my je na szafce, z palącą się przed nimi lampką. Kiedy weszłam tam z trzema wojskowymi, relikwie stały; widząc, że dwóch idzie dalej, poszłam za nimi, a kiedy po chwili wróciłam, relikwiarzyka już nie było. „Panie – rzekłam do pozostałego tam żołnierza – dla pana to nic, a dla nas to wielka świętość. Niech pan mi to odda”. Zaparł się naturalnie, że niczego nie brał – i relikwie nasze przepadły, czego sobie nie mogłam darować.

W spiżarni kazali sobie dać słoniny i masła, poszli na górę i do budynku obok, inni byli na folwarku – i nareszcie odjechali, a gromadka nasza odetchnęła. Byliśmy już mniej liczni, bo rodziny przybyłe ciężarówką z Warszawy wyniosły się koniecznie do lasu, myśląc, że tam będzie bezpieczniej; przez kilka dni miałyśmy jeszcze możliwość kontaktu z nimi, potem kontakt się urwał i nie wiem, co się z nimi ostatecznie stało. Zostały z nami kochane panie Budzyńskie, państwo Jacuńscy i pan Konstanty Pruszyński, którego brat przez Kobryń ruszył był już do Warszawy.

Ale zaczęło się najgorsze: panowanie rozzuchwalonych obecnością bolszewików

chłopów-Rusinów. Powstał zaraz komitet miejscowy i „przejął na własność” majątek; na-chodzili nas ciągle, żądając broni, grożąc rozstrzelaniem, rewidując i dokuczając, i jeden z nich, po bardzo ciężkim takim przejściu, powiedział mi drwiąco: „Pani nas kiedyś uczyła o jakimś Jezusku; nam żadnego Jezuska nie potrzeba”.

Kilka dni po przyjeździe bolszewików komitet miejscowy przyszedł nam oznajmić, że wszyscy przyjezdni mają Hruszową opuścić, bo inaczej będą aresztowani – i przysła dla nas ciężka chwila żegnania przygodnych towarzyszków niedoli. Poszli piechotą wszyscy i wszyscy do Warszawy dostali się szczęśliwie, a my zostałyśmy same, z bardzo ciężkim sercem.

Od pierwszych dni wejścia na naszą ziemię wojsk bolszewickich zaczęły się w okolicy mordy; wieś nauczona i pewna bezkarności zaczęła mordować polski element, czy to był pan, żołnierz, czy urzędnik, i najstraszniej zapisała się w krwawej historii tych dni wieś Podziemienie. Padł najzac-niejszy nadleśny hruszowski, pan Turczaninow z synem, nawet nie Polak, ale żonaty z Polką, także dom ich był polski i katolicki; padł wójt naszej gminy, kilku sąsiadów z sy-nami, przeciągający jeszcze pojedynczy żołnierze itd. W Horodcu wójt, Poleszuk, znany komunista, sprzedał Żydom dębowy krzyż z pomnika Traugutta i w oczach naszych siostr krzyż ten został z pomnika spiłowany i porąbany na drwa; jednym słowem, waliło się naokoło nas wszystko, w co wkładałyśmy przez tyle lat serce i duszę. Od strony Mołodowa była ciągle ta sama cisza śmiertelna – aż któregoś dnia ktoś idący z tamtych okolic powiedział mi, że jakoby mój brat Henryk zabity!

Były to dni straszne i ciężko powiedzieć, ale naprawdę było dla nas pewną ulgą, gdy nadciągał jakiś oddział bol-szewicki i stawał we dworze na noc, bo wtedy chłopci cichli i siedzieli u siebie, a wojsko zachowywało się względnie przyzwoicie.

Tak minął wrzesień. Pierwszego października Rodziewiczówna nie wstała, bo czuła się przeziębiona. Tymczasem po obiedzie przyszła banda z 20 ludzi złożona, samej młodzieży, z tym, że chcą u nas zrobić rewizję, i na moją uwagę, że na to tylu ludzi nie potrzeba, i że proszę, żeby wydelegowali spośród siebie kilku, odpowiedzieli, że muszą wszyscy wziąć w tym udział. Poszli zaraz do naszego sypialnego pokoju, gdzie Rodziewiczówna leżała, i zaczęli niby szukać broni, otwierając szafy i szuflady, ale po kwadransie zmieniło się to w prosty rabunek. Zaczęli wyciągać bieliznę, ubrania, pościel, mniejsze meble, zostawiając nam parę walizek, w których na wszelki wypadek miałam zapakowane najpotrzebniejsze rzeczy i to, co udało mi się jeszcze obronić; zachowywali się przy tym brutalnie i zuchwale, jeden tylko podszedł ukradkiem do Rodziewiczówny ze słowami współczucia. Wynieśli nawet moje pianino, a pokój nasz wyglądał po godzinie jak pobojo-wisko. Potem kazali nam przenieść się do dwóch małych pokoików na końcu domu i tam odtąd mieszkać, zabrali klucze, otworzyli piwnicę i cały wieczór ucztowali i pili w jadalnym pokoju. W czasie tej rewizji przyszła z Horodca kuzynka Rodziewiczówny, pani Widacka, i tak we trzy spędziły-śmy w tych dwóch pokoikach ostatni okres hruszowskiego życia – prawdziwej niewoli; wieś opanowała cały dom, wszędzie ich było pełno, rabowali, co mog-li – Hruszowa już nasza nie była. W chwilach wolnych od najścia chodziłam po domu i odkradałam jeszcze, co mogłam, znosząc do naszego schronienia.

Bolszewicy zachowywali się różnie; jedni, jak naczelnik ziemski, który już ziemię ograbił i zjawił się w czasie rabunku 1 października, pozwalali na wszystko, inni za-chowywali pewne formy. Paru z nich przychodziło do Ro-dziewiczówny, jako do „sławnej autorki”, poznać i poroz-mawiać. I tak zjawił się raz członek GPU<sup>78</sup>, podając się otwarcie za takiego i po dłuższej z nią rozmowie prosił o książkę jej „na pamiątkę”. Poszłam po tę książkę ze strachem, myśląc, co wybrać w tym zbiorze tchnącym pa-triotyzmem, żeby nie posłużyło przeciw niej jako dowód nieprawomyślności; trafiłam na szczęście na *Wrzos* i ten z całym spokojem przyniosłam.

Tak minął jeszcze jeden tydzień. Siódmego października wieczorem przyszli członkowie

komitetu z żądaniem, żebyśmy nazajutrz rano wyjechały we trzy do Kobrynia, bo nas tam wzywa kobryński komendant; protestowałam, że Rodziewiczówna cierpiąca, bo znowu leżała, ale nic to nie pomogło. Złożyłam więc naprędce na wszelki wypadek trochę ciepłych rzeczy, bielizny, żywności i znowu nazajutrz poszłam prosić o zwłokę, tym bardziej że tymczasem przyszedł jakiś oddział wojska i myślałam, że nam pomogą. Ale komendant powiedział, że mieszać się w to nie może, a naczelnik komitetu oznajmił, że jeżeli Rodziewiczówna za godzinę nie będzie gotowa, to piechotą, w koszuli popędzi ją do Kobrynia. Rodziewiczówna wstała i wkrótce byłyśmy gotowe, nie wiedząc, co nas czeka, czy zwykła tylko formalność, czy więzienie, czy jakaś zsyłka? Podjechała furmanka i opuściliśmy kochany dom, pełen wspomnień tylu lat szczęśliwych, nie wiedząc, czy do niego kiedy wrócimy. Miałyśmy jechać pod konwojem dwóch uzbrojonych, najgorszych przedstawicieli bandy młodych i pamiętam, z jak ciężkim sercem ruszałyśmy spod hruszowskiego ganku; zamykała się za nami jasna i pełna słońca epoka życia; nigdy już nie miałyśmy zobaczyć kochanego hruszowskiego domu.

Dojechałyśmy do stacji, kiedy pociąg już stał; nasi strażnicy ze złością twierdzili, że wywozimy z domu za wiele rzeczy i chcieli nas na stacji jeszcze rewidować, ale naczelnik stacji, hruszowski przyjaciel, porwał nasze nieliczne pakunki i co prędzej do wagonu wpakował. Jechałyśmy w ścisłości i przez całą drogę musiałam słuchać rozmowy naszego konwojenta z Żydem miejscowym, rozmowy pełnej jadu i krytyki naszych władz! „I to im nad nami panować? A toż oni umieją tylko w karty grać i szampana pić!”. Tak dojechałyśmy do Kobrynia, gdzie nasi konwojenci zawieźli nas do owego komendanta, który z wielkim zdziwieniem powiedział, że nas nie wzywał i nie potrzebuje. Spotkałyśmy po drodze parę osób znajomych, które na widok naszych strażników z karabinami stawały przerażone i po całym Kobryniu rozeszła się wieść, że Rodziewiczówna aresztowana.

Od tego pierwszego komendanta powieziono nas jeszcze do dwóch innych przedstawicieli władzy i wszędzie była ta sama odpowiedź, że nas nie wzywali i nie potrzebują. Zrozumiłyśmy więc jedno, że komitet hruszowski wymyślił to wezwanie, żeby się nas z Hruszowej pozbyć i dom już doszczętnie obrabować, że gdybyśmy wróciły, nie znajdziemy już nic, prócz tej odrobiny wywiezionych rzeczy, a czekać nas może tylko dalsza męka, areszt i śmierć od chłopskiej kuli. Tylu już naszych w ten sposób zginęło. Wytrwałyśmy na naszym posterunku, póki to było możliwe – teraz warsztat nasz zabrany, służba skończona – na rzeź dobrowolnie nie pójdziemy. Z tym zgodnym postanowieniem kazałyśmy się wieźć do kochanych sąsiadów naszych, państwa Andronowskich, mieszkających zimą w mieście z powodu nauki dzieci w szkole, a u których kiedyś na wsi odbywałyśmy tak radosne inkrotowiny!

I jeżeli co w tej ciężkiej chwili mogło nas pokrzepić i dodać otuchy, to powitanie nas u nich tak pełne serca i przyjaźni.

W czterech pokoikach mieściło się już kilkanaście osób, ale pani Andronowska ustąpiła nam zaraz swój własny pokoik, a sama z córkami przeniosła się do kuchni, i rozlokowałyśmy się u nich z ulgą ogromną, że jesteśmy wśród swoich, pod ich opieką, że Bóg nas z toni wyratował. Dzielili się z nami wszystkim, choć sami mieli tak niewiele i życie tam było skromne i ubogie, ale jak pełne serca!

Po paru dniach odżyłyśmy trochę po ciężkim hruszowskim ostatnim okresie, ale mnie gnębiła coraz bardziej myśl: co w Mołodowie? I poszłam do dziekana, księdza Wolskiego, zapytać, czy nic o moich nie wie. Spotkałam go na dziedzińcu kościelnym, i tam, z całą prostotą a wielkim sercem, powiedział mi wieść straszną, że Henryś i Marynia zostali w Mołodowie zamordowani przez własną wieś. Co się stało ze starszym moim bratem, nie wiedział. Wszyscy w naszym mieszkaniu o tej strasznej tragedii już wiedzieli, otoczyli mnie więc tym bardziej gorącym sercem i współczuciem, nie mówiąc już o Rodziewiczównie, która jak siostra ze mną



cierpiała.

Znosiła ona mężnie wygnanie z ukochanej Hruszowej i czekającą nas tułaczkę, ale też z głębokim bólem czuła, że praca całego życia, wszystko, w co włożyła całe serce i duszę, waliło się w gruzy.

Ksiądz Wolski przychodził do nas parokrotnie, wypowiadał nas w mieszkaniu i Komunię świętą nam przyniósł, był pełen serca i współczucia, i zostawił nam wspomnienie człowieka prawdziwie świętego. Gdyśmy z bólem mówiły o strasznej polskiej klęsce, bo według słów Rodziewiczówny nie było już piędzi wolnej polskiej ziemi, gdzie by można było zatknąć nasz sztandar, pokrzepiał nas słowami: „To dla większej potem polskiej chwały, zobaczycie, że jeszcze razem będziemy śpiewać Alleluja!”. Tej polskiej chwały nie doczekał kochany ksiądz Wolski i parę lat potem, w tym samym Kobryniu, padł ze swym wikarym rozstrzelany przez Niemców; ale widząc już z góry to, co jeszcze jest zakryte przed oczyma naszymi, a w czego przyście wierzymy sercem całym, śpiewa on już tam pewnie to radosne Alleluja z całym gronem naszych męczenników.

W czasie naszego pobytu w Kobryniu w ciągu października odbyła się charakterystyczna dla stosunków sowieckich sprawa, mianowicie wybory do sowieckiego sejmu w Białym-stoku. Kandydat z powiatu kobryńskiego był tylko jeden, człowiek, który służył jako pastuch w jednym z majątków, skąd za kradzież został wydalony. Wyboru nie było, trzeba było tylko na kartce naznaczyć: tak czy nie. Głosować musieli wszyscy; nas pani Andronowska wyratowała, zupełnie nas nie meldując, żeby na nas uwagi nie ściągnąć, ale nawet dwie chore w naszym mieszkaniu osoby nie mogły się od tego usunąć, bo urzędnik przyniósł im do pokoju kartki do głosowania i koperty. Naturalnie kandydat został wybrany, a na pierwszym posiedzeniu „Białoruskiego Sejmu” w Białymstoku posłowie – tym systemem wszędzie wybrani – zażądali włączenia do Sowietów i w ten sposób kochane nasze strony stały się jedną z licznych sowieckich republik.

Wszyscy właściciele ziemscy, nasi sąsiedzi, byli w więzieniu, my rozumiałyśmy coraz bardziej, że przedłużanie pobytu naszego w Kobryniu nie miało racji bytu, choć byłyśmy otoczone sercem i przyjaźnią. Poza domowymi miałyśmy w domu obok gromadkę przyjaciół, bo znalazła się na Polesiu w tej tragicznej epoce dawna nasza starościna, pani Plackowska, z dziećmi i nieznany nam dotąd, wielki nasz potem przyjaciel, doktor Kubisz z rodziną z Cieszyna. Wszyscy oni przychodzili do naszego pokoiku i razem robiliśmy projekty, jakby się dostać do serca kraju, do Warszawy. Postanowiłyśmy przenieść się do Brześcia, tam być już nad Bugiem i czekać na otwarcie dalszej komunikacji, bo tym-czasem granica Bugu była zamknięta.

Trzydziestego października pożegnałyśmy nasze kochane kobryńskie opiekunki i ruszyłyśmy na dalszą tułaczkę, w której do końca towarzyszyła nam ludzka pomoc i przyjaźń. W Brześciu czekał na nas dawny inspektor skarbowy, pan Korzeniowski, wierny przyjaciel, i z jego pomocą zostałyśmy przyjęte do mieszkania inżyniera, pan Zelenaja, gdzie miesiąc cały spędziłyśmy, w miłych i dobrych warunkach porządnego mieszkańca i serdecznych, i miłych stosunkach, tym bardziej że pani Zelenajowa w podobny nam, bardzo gorący sposób brała ojczyście sprawy.

Brześć robił ciężkie i przykre wrażenie; obszerny budynek stacyjny był literalnie po brzegi zapchany uchodźcami czekającymi na możliwość powrotu na zachód; stał nawet pociąg już zapełniony, w którym ci biedacy tygodnie całe mieli jeszcze spędzić. Całe miasto było udekorowane propagandowymi afiszami, tchnącymi nienawiścią do Polski. Na rocznicę październikowej rewolucji władze zażądały od naszego dziekana uroczystego dziękczynnego nabożeństwa na intencję Stalina. Dziekan odmówił, a władze odpowiedziały zakazem nabożeństwa w dzień 11 listopada i poleceniem, żeby tego dnia kościół był zamknięty. To z konieczności zostało spełnione, ale kościół tego dnia przez ranek cały był otoczony wieńcem

modlących się, klęczących na ziemi.

W Brześciu spędziłyśmy prawie dwa miesiące, doświadczając ciągle dobroci ludzkiej i pomocy swoich i obcych. Imię Rodziewiczówny trafiało do serc wszystkich i każdy pragnął ją mieć, i służyć nam pomocą.

Władze odkładały obiecowane ciągle pozwolenie na wyjazd z tygodnia na tydzień, a młodzi i zdrowi przekradali się coraz liczniej przez zieloną granicę. My, po miesiącu czekania, postanowiłyśmy też tej drogi próbować i pojechałyśmy do Siemiatycz, gdzie jakoby przeprawa przez Bug była łatwiejsza. Niestety, nie udało się nam; gdyśmy z kilku innymi szły za przewodnikiem, spotkał nas patrol bolszewicki i zawrócił. Była chwila, żeśmy zostały, nie mogąc iść tak prędko, same, w nieznannej okolicy, w lesie, wieczorem, dopiero po jakimś czasie wrócił przewodnik z rzeczami, ale nam powiedział, że idziemy za wolno, i że się nie podejmuje nas dalej prowadzić. Wróciłyśmy więc furmanką do Siemiatycz, dziękując Bogu, żeśmy cało wyszły z tej nocnej wyprawy, i autobusem nazajutrz do Brześcia, rozumiejąc, że przy wieku i stanie sił Rodziewiczówny przejście zieloną granicą jest dla nas zamknięte.

Ostatnie tygodnie w Brześciu spędziłyśmy w mieszkaniu kochanych państwa Korzeniowskich, którzy mając dwa pokoje, jeden z nich bez namysłu nam ustąpili i poczułyśmy się znowu pod serdeczną opieką przyjaciół. Tam dowiedziałyśmy się, że przyjechała do Brześcia komisja niemiecka, mająca zabierać prócz Niemców wszystkich pochodzących ze Śląska i Poznańskiego. Zdecydowałyśmy się na skorzystanie z tego sposobu wydostania się z Brześcia, gdzie czułyśmy, że z powodu zanadto znanej działalności patriotycznej Rodziewiczówny zaczynało być niebezpiecznie, bo areszty się mnożyły, a my, choć znowu niemeldowane, mogłyśmy łatwo być poznane i zatrzymane. Postanowiłyśmy tylko zmienić nazwisko, bo nasze były zanadto w Brześciu znane, poszłyśmy do komisji zapisać się na wyjazd jako pochodzące ze Śląska i z łatwością zostałyśmy przyjęte. Jedna z pań znajomych pracowała w tej komisji i mówiła nam, że pojedziemy w doskonałych warunkach, pod opieką Czerwonego Krzyża, że w Łodzi, znowu w bardzo dobrych warunkach, będziemy miały trzy dni kwarantanny, i stamtąd dojedziemy do Warszawy<sup>79</sup>. Byłyśmy więc spokojne, że prędko staniemy w Warszawie, gdzie spodziewałam się znaleźć brata, o którym wiedziałam, że żyje. Przez cały ten czas aż do Warszawy miałam jeszcze chwile nadziei co do życia Henrysia i Maryni. Komunikowano mi różne sprzeczne wieści, sama posyłałam znajomego Żyda aż do Mołodowa i on (prawdopodobnie do Mołodowa nie dojechawszy), upewniał mnie, że Henryś zabity, ale Marynia żyje i gdzieś wyjechała. Dopiero w Warszawie spadło na mnie stanowcze potwierdzenie obu żałobnych wieści.

Wyjazd z Brześcia miał nastąpić zaraz po świętach Bożego Narodzenia, a tymczasem czekała nas jeszcze wigilia spędzona u państwa Korzeniowskich, w gronie ich bliskiej rodziny. Dla nas obu niosła ta wigilijna wieczerza wieniec bolesnych i drogich wspomnień, tyłu tradycyjnych wigilijnych wieczorów spędzonych razem w Mołodowie i w Hruszowej; ale zebrani przy skromnym brzeskim stole tak nas otaczali ciepłem przyjaźni i współczuciem serc życzliwych, że mogłyśmy zachować spokój przy dzieleniu się opłatkiem i wspólnie z domownikami śpiewałyśmy po wieczerzy nasze dawne, tradycyjne polskie kolędy.

## Rozdział XII

W czasie tych dni świątecznych zawiadomiono nas, że trzecie-go dnia świąt transport nasz rusza i że na siódmą rano musimy być w punkcie zbornym, gdzie będzie rewizja rzeczy i dokumentów wyjazdowych. Mróz był trzaskający  $-18^{\circ}\text{C}$  – i kochani państwo Korzeniowscy żegnali nas z żalem i strachem, jak tę podróż zniesiemy. Ale innej rady nie było.

Gdyśmy przyjechały na oznaczone miejsce, rewizji naszych rzeczy nie robiono i wkrótce autobusem odesłano nas do pociągu, który stał przed mostem na Bugu. Gdyśmy się do wagonu dostały, okazało się, że wszyscy w tym przedziale byli Polakami, ale okazało się też, że wagon ten ma popsute palenisko, tak że chłód był wielki, a tak długo trwały formalności, że dopiero o zmroku ruszyliśmy w drogę. Pomimo że początek podróży zachęcający nie był, z radością i wzruszeniem przejeżdżałyśmy most na Bugu! Mogły nas czekać i czekały rzeczywiście ciężkie przejścia, ale wiedziałyśmy jedno, że bolszewicy i zbuntowani chłopcy polscy zostali za nami i to jedno radosne uczucie dodawało nam odwagi i otuchy.

Jechałyśmy do polskiej, swojej Warszawy.

Dopiero wieczorem w Terespolu dano nam gorącej zupy, a potem całą noc i dzień następny marzłyśmy i głodowały, i minąwszy nad ranem Warszawę, wieczorem stanęliśmy w Pabianicach. Zawieziono nas autobusem do tak strasznego pomieszczenia, pełnego już ludzi leżących na słomie, że dopytawszy się, iż niedaleko jest oddział Czerwonego Krzyża, poszłam błagać, żeby nas tam przyjęto, i wkrótce mogłam Rodziewiczównę tam przeprowadzić. Dostałyśmy dwa łóżka na ogólnej sali i wydało się to nam rajem w całym tego słowa znaczeniu. Nazajutrz na nasze pytania, kiedy pojedziemy do Warszawy, odpowiadano niewyraźnie, zaznaczając, że musiemy się w każdym razie przed tym wykąpać. Poszłam więc zbadać, jak ta kąpiel wygląda, ale warunki, w których się ona odbywała, były tak straszne przy coraz silniejszym mrozie, że zrozumiałam, że Rodziewiczówna tego w żadnym razie nie wytrzyma. Wyratował nas młody doktor Czerwonego Krzyża, którego poprosiłam do Rodziewiczówny i którego ona tak ujęła znajomością Schillera, bo wiersz zacytowany przez niego bez namysłu dokończyła, że zdecydował się wziąć naszą kąpiel i „odwzienie” na swoją odpowiedzialność i wydał nam świadectwo, że kąpeli nie potrzebujemy. Dzięki temu po dwóch dniach ruszyliśmy dalej tramwajem i zostałyśmy zawiezione do Konstantynowa pod Łodzią, do pustej fabryki, gdzie zostałyśmy umieszczone w ogromnej sali o 40 dużych oknach, ogrzewanej dużymi żelaznymi piecami, i gdzie dostałyśmy miejsca na niskich narach ze słomą.

Na świecie był to sylwestrowy wieczór. Myślałyśmy o tym i o dawnych wspomnieniach, leżąc obok siebie na słomie, w nieświadomości co nas dalej czeka, kiedy nas puszcza do Warszawy i jak wytrzymamy ciężkie miejscowe warunki. To był obóz, których potem tyle się w naszym kraju namnożyło, na szczęście nie obóz karny, ale w każdym razie obóz zamknięty bramami dziedzińca, dający żywność bardzo nie-wystarczającą, a już wprost niemożliwe pod względem higienicznym warunki utrzymania czystości i codziennego życia.

Do ubikacji ogólnych i wspólnej umywalni trzeba było iść przez mroźny dziedziniec i obozujący z nami doktor powiedział mi, że o wiele lepiej wcale się nie myć, jak myć się w takich warunkach, bo ludzie się z konieczności przeziębiali i zarażali.

Którejś nocy po zjedzeniu zupy z konserwami mięsnymi, a tzw. obiad, tj. zupa, był zwykle koło czwartej – Rodziewiczówna dostała tak strasznych kurczów żołądkowych, że z przerażeniem zobaczyłam, że ma czoło pokryte zimnym potem i tętna już doliczyć się nie mogłam. Powiedziała mi spokojnie: „Musimy się pożegnać, bo ja umieram”. Uklęłam i zaczęłam się przy niej modlić, ale po chwili zrozumiałam, że trzeba próbować ratunku. W mig

na żarze w piecu zagrzałam wody i przyłożyłam jej gumowy worek z gorącą wodą. Po kilku minutach tętno zaczęło się poprawiać, kurcze ustały i raz jeszcze mój druh kochany był uratowany.

Dni za dniami mijały ciężko i beznadziejnie; nie było książek ani cienia zajęcia; na pytania nasze o wyjazd odpowiadano szorstko albo wzruszano ramionami, mrozy doszły do 33 stopni. Raz jeden spotkała nas wielka radość: oto przyjechali nas odwiedzić wielcy przyjaciele Rodziewiczówny, Mazarakowie z Żeromina pod Łodzią. Nie znałam ich jeszcze wtedy, ale kiedy prowadzący nas dozorca pokazał mi z daleka pana M., i zapytał mnie: *Kennen Sie diesen Mann?* – odpowiedziałam spokojnie: – *Natürlich*<sup>80</sup>, i dopiero witając się, zapytałam cicho o nazwisko. Mogłyśmy rozmawiać niedługo i to w kancelarii przy świadkach, ale w każdym razie mogłyśmy ich po cichu prosić, żeby nas ratowali. Obiecali, że będą się starać nas do siebie ściągnąć, zrozumieli i widzieli, jak nam ciężko, i w każdym razie wróciłyśmy na salę pocieszone myślą, że ktoś już o naszej niewoli wie i będzie nas ratować. Parę dni potem przyszła od nich duża paczka z cudowną cielęciną, masłem i potrzebnyymi drobiazgami. Potem nastąpiły obostrzenia, następna paczka została zwrócona, i nikogo już do nas nie puszczono, choć i Mazarakowie, i siostry urszulanki z Łodzi próbowali do nas się dostać.

Na pociechę miałyśmy już paczkę obozowych przyjaciół: profesor Piekarski, były kurator liceum w Krzemieńcu, przychodził do nas na gawędki polityczne i w bardzo mądry sposób dodawał nam ducha; młodzianka i przemiła pani Ryłska przynosiła zdrową zupę. Ludzie zwiedzili się, że ta starsza pani o obcym nazwisku to Rodziewiczówna, i przychodzili tak licznie do naszego kącika, że aż się bałam, żeby to nie zwróciło uwagi, a nieraz obcy zupełnie zaczęli od tego: „Niech się pani nie boi, my pani nie wydamy”. I rzeczywiście w tym mnóstwie nieznajomych ludzi *incognito* nasze zostało szczęśliwie do końca zachowane i nikt nas nie zdradził.

Pewnego dnia kazano nam wszystkim wyjść na dziedzińiec i przybyły świeżo oficer oznajmił, że wkrótce będziemy się z obozu rozjeżdżać, więc ci, co się uważają za Polaków, niech się zadeklarują podniesieniem ręki. Mało kto ręki nie podniósł: wtedy kazano tym, którzy chcieli jechać do Warszawy, czy do tzw. General Gouvernement, wystąpić z szeregów. Wystąpiło nas dużo, rozdzielono więc nas od tych, co chcieli jechać w Poznańskie czy na Śląsk, i spisano nasze nazwiska. Ogarnęła nas ogromna radość, że wkrótce niewola się skończy i znajdziemy się wśród swoich, ale miałyśmy jeszcze przed sobą wiele ciężkich do przebycia chwil. Nareszcie w ostatnim tygodniu stycznia kazano nam być w pogotowiu, bo wieczorem wyjedziemy. Bliższe nasze kółko po prostu z radości padało sobie w objęcia. Wieczorem załadowano nas do przemrożonych tramwajów w Łodzi i poprowadzono piechotą, ale niestety nie na stację, tylko do sławnego później obozu zlokalizowanego na ulicy Łąkowej w pustej fabryce.

Kiedy po spisaniu naszych danych zostaliśmy wprowadzeni do wyznaczonej nam sali, ogarnęła mnie po prostu groza. Sala była ogromna i zimna, z betonową podłogą, na której leżało trochę wilgotnej słomy bez żadnych prycz. Jak my tu wytrzymamy?

Byłyśmy całe zziębnięte i z trudem namówiłam Rodziewiczównę, żeby się jednak położyć i zagrzać. Rozłożyłam, co miałam z watowanych ciepłych rzeczy, i położyłyśmy się obok siebie w kożuszkach, naciągając na siebie, co tylko się dało.

Kiedy rano zaczęłam się ruszać, wszedł jakiś nieznajomy pan i zaraz zbliżył się do nas, mówiąc, że był tu już w nocy, a przychodzi od Mazarakich, nazywa się Zaar i sam z innym łodzianinem jest internowany w tymże gmachu na piętrze. Prosił o zachowanie spokoju i zapewniał, że przyjaciele o nas pamiętają i uczynią wszystko co tylko możliwe, żeby nas stąd wydostać. Przyniósł nam butelkę wina, porcję szynki, obiecał odwiedzić i dodawał otuchy. Była nad nami znów opieka Boża i pomoc dobrych ludzi, a pora na ratunek była już wielka, bo

byłyśmy obie przeziębione i długo w tych warunkach nie mogłybyśmy wytrzymać. Myć się można było tylko na dworze przy ciężkim mrozie. Wszystko to było bez porównania gorsze niż w Konstantynowie.

Następnego dnia przyszła przygodna siostra Czerwonego Krzyża opiekująca się tą grupą internowanych Łodzian i obiecała, że zabierze nas na piętro, gdzie została zorganizowana izba chorych. Wkrótce nas tam rzeczywiście przeprowadzono. Dostałyśmy wprawdzie na nas dwie jedno łóżko, ale było to łóżko, a nie beton. Dziękowałyśmy Bogu... gorączkowałyśmy jednak obydwie i trzeba się było spieszyć z ratunkiem, żeby nie było za późno; tej samej nocy zmarły w naszej sali dwie osoby.

Nazajutrz wieczorem pojawił się jakiś urzędnik, oznajmiając nam, że cztery z naszej izby chorych mają zostać zwolnione, a w ich liczbie także my dwie. Myślałyśmy więc, że następny dzień przyniesie nam swobodę, a tymczasem rano czekała nas klęska. W nocy zepsuło się centralne ogrzewanie i z pękniętych na drugim piętrze rur zaczęła nad ranem lać się na nasze łóżko woda... nie kapać, a właśnie lać się. Zerwałam się natychmiast, żeby nasze łóżko trochę przesunąć, bo lało się wprost na posłanie; i znowu miałam uczucie grozy – czy nas w porę uratują? Cały dzień minął na gorączkowym oczekiwaniu na zwolnienie... Ostrzegano mnie, że komendant obozu – Sauer – jest morfinistą i strasznym wprost człowiekiem, ale kiedy do czwartej nie przyniesiono nam decyzji o zwolnieniu, zrozumiałam, że lepiej zaryzykować spotkanie z komendantem. Przeżegnawszy się, poszłam do kancelarii.

Komendant przyjął mnie bardzo ostro, a kiedy w rozmowie powiedziałam: *Ach, mein Gott*, wyłajał mnie, że nic go to nie obchodzi, co ja z moim „Gott” mam do czynienia, że o żadnym zwolnieniu nas nie wie itd... Ale sekretarka, znająca go widocznie bardzo dobrze, skorzystawszy z chwili przerwy, podsunęła mu pokornie gotowe już jednak papiery, które po namyśle podpisał...

Wracałam do naszej izby na skrzydłach, z papierem w ręce. Rzeczy miałyśmy już gotowe, miejscowi przyjaciele sprowadzili nas do bramy, za którą czekała dorożka... Byłyśmy wybawione! Dorożkarz, lokując nas, zwrócił się do Rodziewiczówny: „To pani jest Rodziewiczówna? Ja książki pani znam, dobrze pani pisze”. Z tą prostą i szczerą pochwałą, z sercem pełnym radości ruszyliśmy spod bramy obozu, udając się do poleconej nam siostry jednej z naszych opiekunek Czerwonego Krzyża – pani Jasińskiej.

Póki byłyśmy w Łodzi, musiałyśmy używać przybranych nazwisk, ale kiedy poznałyśmy panią Jasińską, powiedziałam jej na ucho, że to Rodziewiczówna. Ucieszyła się, przyjęła i ugościła nas sercem całym.

Tylko ci, co przeszli obozową niedolę, mogą zrozumieć, z jaką rozkoszą znalazłyśmy się w normalnych warunkach życia! Po raz pierwszy od miesiąca mogłyśmy się porządnie umyć, zmienić bieliznę... po raz pierwszy miałyśmy, każda swoje, czyste łóżka! Następnego dnia przeleżałyśmy, wypoczywając, dziękując Bogu i tając moralnie w polskiej, serdecznej atmosferze! Jeżeli kiedyś pani Jasińska będzie te słowa czytać, niech w nich znajdzie wspomnienie pełne wdzięczności. Te dwa dni u niej spędzone z pewnością uratowały nam życie.

Po dwóch dniach pojawił się wysłaniec od państwa Mazarakich z Żeromina i w bardzo mroźny, wietrzny dzień, otulone futrami i pledami, udałyśmy się pod nowy gościnny dach.

Zdawało się, że to wszystko sen!

Gospodarze byli w Warszawie, ale administracja przyjęła nas sercem całym. I znów był szereg rozkosznych wrażeń; dobry obiad, ciepłe łóżko, a przede wszystkim szczęście, że niedola obozu oddala się od nas jak zły sen.

Zarządzającym był pan Webr, znający Mołodów i nasze rodzeństwo, a kochana jego żona otoczyła nas najcieplejszą opieką i nigdy nie zapomnę, z jaką serdeczną prostotą przyniosła nam,

widząc nasze ubóstwo, różne rzeczy pozostawiając po jej matce, rzeczy, które stale nosiliśmy w następnych latach. Po dwóch dniach przyjechali kochani Mazarakowie; witałyśmy ich jak zbawców, bo gdyby nie ich pamięć o nas i ich starania z pewnością nie wyszłybyśmy żywe z obozu na Łąkowej. Nasi towarzysze niedoli byli trzymeni tam jeszcze przez cały miesiąc, a sąsiadki Mołodowa panie Wydźga, które były tam jednocześnie z nami – babka, synowa i wnuczka – umarły wszystkie trzy wkrótce po naszym uwolnieniu.

W Żerominie spędziłyśmy jeszcze parę dni; ciągnęło nas do Warszawy. Trzeba było się leczyć i stworzyć sobie jakieś możliwe warunki życia. Ja miałam jeszcze trochę nadziei, że znajdę może jakiś ślad życia rodzeństwa... Jednym słowem – po paru dniach kochany pan Mazaraki odwiózł nas swoim samochodem do Warszawy.

Do stolicy dotarliśmy wieczorem 6 lutego 1940 r. i ujrzeliśmy po raz pierwszy jej wojenne zniszczenia. Gdyśmy weszły do mieszkania pani Weychert, Rodziewiczówna głośno na nią zawołała; zrobił się zaraz radosny ruch w mieszkaniu, każdy nas witał jakby wracających z tamtego świata.

## Rozdział XIII

Po przybyciu naszym do Warszawy stwierdziłyśmy z radością, że stolica, choć zniszczona i terroryzowana, nie przestała być sercem kraju i jakkolwiek potęga niemiecka w owych pierwszych czasach rosła z dniem każdym i co-raz nowe ujarzmiła państwa – Warszawa ani na chwilę nie straciła wiary w zwycięstwo i przyszłość Narodu, siłą moralną i pracą podziemną walcząc z wrogiem. Było to bohaterstwo każdego dnia i każdej godziny, wszystkich warstw społecznych i ludzi wszelkiego wieku – do dzieci włącznie.

[W miarę trwania i przedłużania się wojny mnożyły się areszty i egzekucje, przepełniały więzienia, a wróg się wściekał, bo pomimo krwawego tępienia każdego narodowego odruchu, systematycznego mordowania najlepszych w kraju jednostek, stawały nowe zastępy do grożącej śmiercią pracy i nieugięte, nieustraszenie rzucały wrogom w oczy to jedno słowo nieśmiertelnej mocy ducha – „żyjemy”.]<sup>81</sup>

Pomimo osobistych strat i bolesnych wspomnień dobrze nam było żyć z tymi ludźmi i w tym kochanym mieście, a Rodziewiczówna często powtarzała, jak niezmiernie czuje się szczęśliwa, iż nie znalazła się gdzieś za granicą, lecz „cierpi z całym narodem”.

[Czas mój dzieliłam między nią a brata, którego na następną jesień przenieśliśmy do naszego mieszkania. Z osieroconego Mołodowa mieliśmy czasem wieści i pozostała tam polska służba dawała nam wiele dowodów pamięci i wielkiego przywiązania. Od chwili wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej majątek naturalnie był pod zarządem i kontrolą niemiecką, ale na administratora został mianowany były nauczyciel z Łodzi, Polak, który choć ani dawnego Mołodowa, ani nikogo z nas nie znał, okazał się dla nas przedziwnie życzliwym przyjacielem – oboje z żoną przysyłali do nas najpoczeiwsze listy, a żona korzystała z każdej okazji, żeby nam podać jakąś paczkę, dać dowód serca i współczucia.

Ale w tym naszym kochanym zakątku mnożyły się groby i robiła się coraz większa pustka. Tej samej jesieni, co nasze rodzeństwo, zginął zamordowany mój brat stryjeczny – Roman Skirmuntt, wraz ze swym szwagrem Bolesławem, a w roku 1942 zginęła siostra Romana – Helena. Na całym Polesiu krążyły bandy złożone z szumowin miejscowej ludności oraz bolszewickich i niemieckich dezertów. Ofiarą ich padały mniejsze dwory i osady. Wielu naszych znajomych przypłaciło życiem próbę powrotu do swoich warsztatów na Polesiu po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej. Wielkie dwory jak Mołodów, gdzie dla zabezpieczenia gospodarstwa i zbiorów Niemcy zostawili liczniejsze załogi, trzymały się jeszcze przez pewien czas, ale ludzie żyli tam w ciągłej grozie i trwodze.]

Wiosną 1942 r. brat mój wraz ze swym pielęgniarem wyjechał do dalekich naszych krewnych mieszkających w Chrzastkowie pod Częstochową i tam pozostał aż do odwrotu Niemców. Nasze środki materialne były wówczas tak ograniczone, że finansowo nie mogliśmy sobie dać rady pomimo jak najskromniejszego trybu życia. Toteż gdy zostaliśmy same z Rodziewiczówną, marzyłyśmy o wyjeździe latem na wieś i o znalezieniu na jesień innych, spokojniejszych warunków życia.

Tymczasem jednak, gdy wieść o pobycie Rodziewiczówny w Warszawie rozniosła się szerzej, stała się pisarka zawsze magnesem przyciągającym ludzi myślących i czujących głębo, a jej skromny pokój zaczęli coraz częściej odwiedzać znajomi i nieznajomi rodacy z Polesia, jakich losy aż tu zagnały. Często szukali oni rady, pomocy lub choćby tylko otuchy.

Któregoś dnia zjawił się u niej niespodziewanie właściciel dwóch dużych sklepów bławatnych o nazwisku niemieckim, ale po polsku czującym sercu – pan Krauze. Przyszedł wyrazić słowa uznania dla jej twórczości i pracy, powiedzieć, że wszystkie jej książki zna i ma

w swej bibliotece; jednym słowem nawiązać stosunki, którym później tyle zawdzięczałyśmy. A nazajutrz przyniesiono z kwiaciarni kosz wspaniałych azalii.

Wiosną otrzymaliśmy upragnione zaproszenie na wieś do małego, ale bardzo ładnego dworku pod Warszawą – Olszyny, należącego do dobrze nam znanej pani Królikowskiej, mieszkającej tam wraz z matką i córką.

Olszyny przyjęły nas sercem całym. Dostałyśmy miły, niekrępujący pokój, mieszczący się w małej oficynie, gdzie po męczących ostatnich dniach warszawskiego życia rozlokowałyśmy się z prawdziwą rozkoszą.

[Rodziewiczówna była bardzo wyczerpana nerwowo i pamiętam, że jak położyłyśmy się spać tej pierwszej doby, to przespałyśmy całe osiemnaście godzin! Zaglądano do nas ze śniadaniem, ale okiennice były cały czas zamknięte.]

Miałyśmy w tej naszej oficynie wiele swobody, a że w Olszynie bywało dużo, czasem zbyt głośnej młodzieży, nieraz – w okresie liczniejszych zjazdów wołałyśmy jadać u siebie, w czym gospodyni domu zostawiała nam całkowitą swobodę.

Wkrótce też siły Rodziewiczówny zaczęły się poprawiać widocznie. W piękne, słoneczne dni chodziliśmy do lasu przylegającego do domku, w którym mieszkaliśmy, i nad pobliskie jezioro, szukając grzybów. Czasem siadywałyśmy po prostu przed słoneczną ścianą oficynki, gdzie posadziłyśmy grządkę pomidorów, których pieczołowicie doglądałyśmy, wspominając nasze wspólne roboty w hruszowskich inspekcjach. Czuliśmy się wówczas dobrze i swobodnie. Nieraz odwiedzali nas tam domowi i przyjezdni, a czas jakiś mieszkała nawet obok nas matka bohaterskiej pani Krasowskiej, zamężonej przez gestapo. Po „badaniu” odesłano ją nieprzytomną do domu, gdzie wkrótce zmarła. Wiadomo mi, że później została ona pośmiertnie odznaczona krzyżem *Virtuti Militari*.

[Niektóre stosunki pozostały już na stałe. Między innymi przyjechał do Olszyny, dla poznania Rodziewiczówny, urzędnik do spraw rolnych przy starostwie – pan Smidniewicz, pracujący w urzędzie niemieckim, ale Polak całą duszą. Dla Rodziewiczówny miał wiele prawdziwej czci, podziwiał jej hart ducha i pogodę, kochał jej książki i pamiętał o nas później stale w Warszawie, przychodząc na dobre pogawędki i przynosząc zawsze bardzo po przyjacielsku obmyślane paczki. I tak na następną wigilię zjawiły się trzy piękne karpie.

Bardzo ceniłyśmy i szanowałyśmy matkę pani Królikowskiej – panią Chrzanowską, osobę pełną spokoju, równowagi i serca.]

W warunkach spokoju i przyjaznego otoczenia, jakie miałyśmy w Olszynie, lato miało szybko. Niepokojąca była tylko ta myśl, że nie wiedziałyśmy jeszcze, gdzie w Warszawie zamieszkamy po powrocie ze wsi. Chciałyśmy bowiem w przyszłości mieć więcej niż dotychczas swobody i ciszy.

O tych naszych troskach dowiedział się pan Krauze i przybył natychmiast, prosząc, byśmy się przenieśli do jego dużego mieszkania na rogu Królewskiej i Marszałkowskiej. Umówiliśmy się, że przyjadę do Warszawy zobaczyć, jak ta sprawa się przedstawia – i pojechałam.

Stolica przeszła dwa naloty [bolszewickie], w czasie których bardzo ucierpiała właśnie okolica domu, w jakim miałyśmy obecnie zamieszkać. Wszędzie prawie wypadły szyby. Lecz mimo to po obejrzeniu mieszkania wybraliśmy razem z właścicielem dwa mile pokoje. Pan Krauze obiecał szyby wstawić, ale o żadnym honorarium słyszeć nie chciał, traktując naszą gościnę u siebie jako przyjacielską usługę.

[Wróciłam więc radośnie do Olszyny, a tymczasem mój druh kochany przeżywał z mojego powodu wielki niepokój. Ktoś wracający poprzedniego dnia z Warszawy powiedział jej, że wróć na pewno tego samego dnia przed wieczorem. Wyszła więc na moje spotkanie i do nocy



stała na zawrocie pod brzozą, skąd widać było dalszą drogę, czekając... Było wtedy tyle aresztów, tyle wywozów itp., że całą noc w niepo-koju o mnie nie spała, a kiedy przyszedłam nazajutrz rano, witała mnie nie wiem jak radośnie i zawsze w takich razach kończyła kochanymi słowami: „Już wszystko dobrze, bo Ty jesteś”.]

W końcu września postanowiłyśmy przenieść się do Warszawy, do naszego nowego mieszkania przy ul. Królewskiej. Pan Krauze znowu przyszedł nam z wydatną pomocą, przysyłając ciężarówkę. Gdy wieczorem dojechaliśmy szczęśliwie do miasta, nowy nasz opiekun czekał już na swoje lokatorki z tradycyjnym chlebem i solą oraz wiązanką pięknych róż. Natychmiast zainstalowałyśmy w pustym jeszcze na razie mieszkaniu, gdyż państwo Krauzowie po ostatnich nalotach zdecydowali się nie wracać do Warszawy na stałe i pozostali na jakiś czas jeszcze w Radości.

Tak więc przez parę pierwszych tygodni było nam w tym nowym, pustym lokum trochę nieswojo, ale gdy się ono powoli zapełniło i stosunki z przybyszami ułożyły się przyjazne i życzliwe, odetchnęłyśmy z ulgą. Przez dwa lata nikt nam w tym domu nie zrobił najmniejszej przykrości. A była to – jak mówiła Rodziewiczówna – rzecz podziwu godna, gdyż przy jednej kuchni gotowały trzy gospodynie reprezentujące trzy różne rodziny.

[Pokoiki nasze też nabrały prędko swoistego, jakby hruszowskiego charakteru. Rodziny mieszkające w tym naszym domu dowiedziały się, że wielkim pragnieniem Rodziewiczówny jest mieć prosty ścienny zegar regulujący się pociągnięciem wiszących ciężarków i bijący godziny. Miałyśmy zawsze taki w hruszowskiej ubieralni i bardzo nam brakowało dźwięku godzin. Znaleźć taki było bardzo trudno, ale nasi nowi przyjaciele tak się koło tej sprawy zakrzętnęli, że zegar wynaleźli i na imieniny Rodziewiczówny – 2 lutego został ofiarowany i zawieszony w naszym sypialnym pokoju. Radość z tego powodu była wielka.

Przybyła też przy oknie budka z kapucynem wychodzącym z niej na dni pogodne, a cofającym się do budki w słoty. Miałyśmy takiego kapucyna w naszym hruszowskim pokoju, więc wszystko, co nam przypominało nasze dawne, kochane życie, stawało się nam tak swoje. Marzyłyśmy naturalnie ciągle o chwili, kiedy się do tego życia wróci – wtedy zdawało się to tak pewne i coraz bliższe. Rodziewiczówna zaczęła już przygotowywać przybory do Hruszowej: zrobiłyśmy kapelusze z dużym rondem i sitko do obrządzania pszczoł w ulubionej pasiece, robiła się też siatka do łowienia ryb, a my patrzyłyśmy na to z radością, nie wiedząc na szczęście, że kochane nasze hruszowskie życie nigdy już nie wróci...]

Naprzeciw nas, na tym samym pięttrze, mieszkała administratorka domu, pani Jurewiczowa, która od pierwszych dni najprzyjaźniej się do nas odnosiła i stosunki z nią do końca pozostały proste i serdeczne.

Pomimo wojny i związanych z nią trosk, niepokojów i zgryzot, pomimo że ciągle mogło nam grozić takie czy inne niebezpieczeństwo, mimo że naprawdę na każdym kroku *on cotoyait la mort*<sup>82</sup> przeżyłyśmy w tych naszych pokoikach dużo dobrych chwil spokoju i pogody, otoczone pamięcią i opieką całego Kraju. Pod adresem Rodziewiczówny przychodziły z różnych stron paczki, przynoszące nam sercem obmyślane zaspokojenie naszych żywnościowych potrzeb. Ale nikt tak o tym nie pamiętał i tak nam nie dogadzał jak dwie przezacne rodziny: państwa Śląskich z Broniszowa i pani Zofii Kieniewskiej ze Szczekarkowa. Dzięki obfitości tych paczek nie tylko my mogłyśmy żyć we względnym dostatku, ale byłyśmy nawet w możności niejednokrotnie przychodzić z pomocą innym. Cieszyła się tym Rodziewiczówna, przypominając słowa ukochanej matki: „Chcesz mieć, to dawaj”.

Przychodziły też paczki z Czerwonego Krzyża ze Szwecji, z Ankary i Lizbony. Te mogłyśmy spieniężać, a dla naszych tułaczy zasobów było to ogromną pomocą.

Zdarzały się też czasem rzeczy specjalnie wzruszające. Oto nieznajomi zupełnie ludzie

przychodzili pytać, czy Rodziewiczówna nie głodna, czy czego nie potrzebuje. Skromny urzędnik z Mokotowa przyniósł nam kosz jarzyn. Niepozornie ubrana kobieta z Powiśla – upieczoną przez siebie bułkę, odwiedzając nas następnie częściej – a nigdy z pustymi rękoma. Byli to wypróbowani przyjaciele, których przyciągało imię Rodziewiczówny, a wzruszało jej serce do głębi, tak że rozrzewniona powtarzała często, iż tu w Warszawie czuje się pod niezawodną i szlachetną opieką całego Narodu.

Mówiłam jej też zawsze, że nie ma niczego miłszego nad załatwienie dla niej sprawunków na mieście, bo gdy tylko wspomnę jej imię, wszystkie twarze się rozjaśniają, a przeszkody w mig zostają usunięte.

Na rogu Marszałkowskiej i placu Dąbrowskiego mieścił się sklep materiałów piśmiennych firmy „Dzierżanowski”. Zaszłam tam kiedyś kupić dla Rodziewiczówny większą ilość gilz do papierosów, o które już było wtedy trudno, więc właścicielka odmówiła mi, dając tylko część. „Proszę pani – próbowałam jeszcze – to nie dla mnie, to dla Rodziewiczówny, pisarki”... „I pani mówi prawdę? – zapytała z przejęciem. – Czyż ona tu jest?”. „Jest na pewno, mieszkam z nią w jednym pokoju”. Popatrzyła na mnie uważnie, ale widocznie nie wyglądałam na kłamcę, uśmiechnęła się w końcu i żądane gilzy po chwili wręczyła. Wkrótce potem zaszłam tam z Rodziewiczówną. Radość była ogromna, cały personel magazynu witał ją gorąco, prosząc, aby zawsze i po wszystko tylko do nich chodziła. Odtąd i w tym sklepie miałyśmy pewnych przyjaciół, witających nas zawsze serdecznie i podających Rodziewiczównie za wszystkie nabywane przez nią towary śmiesznie niskie ceny.

W tymże czasie musiałyśmy wyrobić sobie niemieckie „kenkarty”. Zniosłam więc do odpowiedniego urzędu podanie Rodziewiczówny i jej stary, cudem ocalały przedwojenny paszport rosyjski, by nie tracić polskiego. Urzędniczka, do której mnie skierowano, obojętnie zaczęła czytać podanie, lecz raptem zwróciła się do mnie: „Maria Rodziewiczówna? – zapytała ze wzruszeniem. – Jak to, ta nasza?”. Na moje zapewnienie, że to rzeczywiście ta nasza, rozpromieniła się, obiecała wszystko załatwić jak najprędzej, prosząc, bym ją zawiadomiła, gdy się trzeba będzie osobiście zgłaszać po odbiór dokumentu. Pragnęła dopilnować, aby Rodziewiczówna, broń Boże, nie stała w ogonku.

Wróciwszy do domu, opowiedziałam mej przyjaciółce całe to zdarzenie. Jakże się ona serdecznie ucieszyła! „Wiesz – powiedziała mi – „słowa: ta nasza to chyba największa dla mnie nagroda”.

Któregoś dnia zjawiła się u nas osoba zupełnie nam nieznana, ubrana w prosty płócienny płaszcz, przedstawiając się w następujący sposób: „Moje nazwisko jest Kozak, ale nie ten zaporoski, tylko spod Poznania”. Opowiedziała następnie, że jest z fachu ogrodniczką, że miała z synem duży ogród koło Poznania, a kiedy ją stamtąd wysiedlono, wzięła w dzierżawę ogród pana Szustra na Mokotowie. Powodzi jej się obecnie nieźle, więc też pragnie się podzielić z innymi potrzebującymi. „Przyniosłam pani trochę pieniędzy do podziału według pani uznania, bo jej ufam” – powiedziała, kładąc przed Rodziewiczówną sporą paczkę asygnat. Przeliczyłyśmy. Było tego 6000 zł, suma w owych czasach jeszcze znaczna. Rodziewiczówna, dziękując jej ze wzruszeniem, wyraziła zdanie, że chcąc ludziom naprawdę pomóc, nie można im chyba dawać jednorazowo mniej niż 500 zł. „Zrobi pani, jak pani uważa, bo wiem, że będzie dobrze i sprawiedliwie” – brzmiała odpowiedź.

Z Kozakową zetknęłyśmy się jeszcze później parokrotnie. Pieniądze przez nią przyniesione rozeszły się łatwo, gdyż wiedziałyśmy o wielu potrzebujących. Pokwitowania odbioru tej zapomogi miałyśmy w porządku, lecz kiedy chciałyśmy je przedstawić jej, patrzeć na papierki nie chciała, odpowiadając na wszystko słowami pełnymi prostoty: „Przecież ja pani ufam...”. Nieraz nam dawała jeszcze znak pamięci, przysyłając paczkę żywnościową

skombinowaną z własnego gospodarstwa.

Rodziewiczówna, która wbrew pozornemu panowaniu nad światem ducha nocy coraz liczniejsze zbierała dowody ludzkiej dobroci, miłosierdzia i poświęcenia, była zawsze pełna optymizmu, pokrzepiając nim wątpiących. „Bo czyż ci wszyscy ludzie pamiętający o nas nie są z Królestwa Bożego?” – mawiała.

Ktoś dał nam adres firmy „Skrodzki” – biura hand-lowego przy ul. Kredytowej – gdzie można było sprzedawać zawartość zagranicznych paczek. Chodziłam tam często, a gdy się dowiedziano, że sprawunki te załatwiam dla Rodziewiczówny, płacono mi najwyższe ceny. To zaś, cośmy u nich kupowały, np. wino, sprzedawano nam po cenie kosztów własnych. Kiedyś przyszła do sklepu przy mnie jakaś pani sprzedająca kawę. Właściciel zgodził się na żadaną cenę, ale obejrzawszy towar dokładniej, zaopiniował, że jest on wart więcej, więc zapłaci za nią drożej. Wróciwszy do domu, opowiedziałam o tym fakcie Rodziewiczównie. Postanowiła, że musi poznać tych ludzi osobiście. Nazajutrz poszłyśmy więc na Kredytową. Interesantów było sporo, więc usiadłyśmy na boku, czekając na naszą kolej. A kiedy właściciel zwrócił się do nas, Rodziewiczówna powiedziała mu po prostu: „Nie potrzebuję, proszę pana, niczego. Przyszłam tylko zobaczyć, jak wygląda w handlu Królestwo Boże”. I od tej chwili związał się z nimi bliski, serdeczny stosunek, oparty na jednakowym zrozumieniu wielkiej idei Królestwa Bożego w codziennym, zwykłym, człowieczym życiu.

[Te różne, drobne fakty świecące Bożą jasnością w ponu-rym mroku prześladowań, mordów i aresztów Rodziewiczów-na zachowywała w sercu i w pamięci i kiedy jej ludzie opowiadali o strasznych wypadkach ciężkiego, codziennego wojennego życia, mówiła, że to wszystko zło minie, a tamto dobro zostanie i przetrwa: „I zobaczycie, przyjdzie, idzie już Królestwo Boże”.

O piętro niżej miałyśmy szkołę pani Tymińskiej, która cieszyła się doskonałą opinią. Panią Tymińską poznałyśmy w czasie Bożego Narodzenia, kiedy to przyszła nas zaprosić na jasełka i podwieczorek w swojej szkole. Po udanym przedstawieniu i mile tam spędzonym wieczorze właścicielka szkoły zwróciła się do Rodziewiczówny z prośbą o wygłoszenie do uczennic pogadanki. Rodziewiczówna zgodziła się i w prostych serdecznych słowach wypowiedziała im swoje narodowo-religijne *credo*.

Mówiła, że są na świecie dwie potęgi, którym trzeba w życiu wszystko dać w ofierze, niczego w zamian nie żądając – Bóg i Ojczyzna. Myśl tę rozwinęła po swojemu prosto i gorąco i widocznie zrozumiały ją dobrze młodociane słuchaczki, bo gdy później delegacja uczennic przyszła jej dziękować i Rodziewiczówna zapytała najmłodszą z nich, czy dobrze zrozumiała zawarte w jej słowach wskazówki, mała bez namysłu odpowiedziała: „Zrozumiałam dobrze. Pani mówiła, że trzeba służyć Bogu i Ojczyźnie bezinteresownie”.]

W tych wojennych latach naszego warszawskiego życia miałyśmy też dużo do czynienia i bardzo miłe stosunki z organizacją Polski podziemnej, cywilną i wojskową. Większość naszych znajomych brała w organizacjach czynny udział, poświęcając im swój wszystkie czas, narażając życie w gotowości codziennej służby. Były nadawcze i odbiorcze, oczywiście tajne, radiostacje, kolportaż sprawozdań radio-wych, zbierano ofiary pieniężne i zapasy żywności na czas nadchodzącej zbrojnej rozprawy z wrogiem itd. Wszyscy czerpali otuchę z poczucia słuszności naszej ojczystej sprawy, wszyscy, pomimo trzymającej się jeszcze potęgi okupanta, wierzyli w jego przegraną, w nadejście godziny miłosierdzia nad Polską. I my żyłyśmy całą duszą tą właśnie atmosferą duchowej mocy i niezłomności Warszawy.

[Kościół był stale przepełniony tłumami tak rozmodlonymi, jakich nigdy przedtem nie zdarzyło się mi widzieć; nikt się nigdy z nikim w Kościele nie witał, nikt tu nikogo nie oglądał, wszyscy widzieli przed sobą tylko ołtarz z utajonym Bogiem, wszyscy w duszy mieli tylko

modlitwę za Kraj.]

Wychodząc z kościoła, widziało się naklejone na słupach nowe listy ofiar, nieraz tak długie, że krew ścinała się w żyłach... Pamiętam jedną z tych list o 270 nazwiskach, zaczynającą się od dziewiętnastoletniego chłopca – młodego Schielego.

Kiedyś przebyliśmy w nocy ciężką chwilę alarmu. Obok naszego pokoju była bursa pana Krauzego, gdzie mieszkało sześciu młodych chłopców. O drugiej w nocy rozległ się gwałtowny dzwonek, dało się słyszeć dobijanie do drzwi wejściowych. Następnie posłyszaliśmy liczne, głośnie kroki, niemiecką rozmowę. Ktoś poruszył naszą kłamkę... i poszedł dalej. Do rana jednak trwał przykry gwar w domu i gwałtowny ruch. Gdy zaś wreszcie wszystko umilkło, dowiedzialiśmy się, że była to rewizja w bursie, gdzie znaleziono dużo tajnych wydawnictw. Chłopcy zostali aresztowani, a wszyscy inni mężczyźni także z mieszkania uprowadzeni. Chłopców tych jużemy więcej nie ujrzeli. Trzech z nich rozstrzelano. Inni mężczyźni po kilku tygodniach wrócili wprawdzie szczęśliwie do domu, niemniej był to nowy dowód, że rzeczywiście w każdej chwili i na każdym kroku – *on cotoyait la mort*.

Z naszym wojskiem podziemnym mieszałyśmy często styczność w ciągu ostatnich dwóch lat, bo i ono interesowało się losem i potrzebami Rodziewiczówny. Przychodził do nas często czynny przedstawiciel wojska, tak zwany pan Józef – bo nazwisk nie mówiono dla obopólnego bezpieczeństwa, a i my wołałyśmy ich nie wiedzieć. Był on też pośrednikiem pomocy wojskowej dla wysiedlonych i potrzebujących, pośrednikiem ofiarności społecznej w utrzymaniu niektórych instytucji, jak kuchnia dla literatów i dziennikarzy, która pomagała całemu zastępowi ludzi pióra, będących w czasie wojny w bardzo ciężkich materialnych warunkach. Co jakiś czas ktoś od pana Józefa przynosił nam zapas najpotrzebniejszych produktów, cukru i tłuszczu, co jakiś czas pan Józef przepadał, tak że trwożyłyśmy się, czy nie wpadł w ręce gestapo, czego parę razy rzeczywiście cudem uniknął. Po przerwie znowu się jednak zjawiał niespodziewanie trochę czasem zmieniony w zewnętrznym wyglądzie, ale zawsze ten sam moralnie – pełen wiary w przyszłość.

[Kiedyś się zgadało, że tajna podchorążówka żyje w ciężkich warunkach i zostało postanowione, że jak tylko nasz szlak wschodni się otworzy, podchorążówka obejmie w posiadanie hruszowski dom i tam się zainstaluje. Pragnieniem Rodziewiczówny było utworzenie w Hruszowej fundacji wojskowej dla rezydującego przed wojną w Kobryniu Pułku Strzelców, którego ona była honorowym żołnierzem. Marzyła o zorganizowaniu w Hruszowej rycerskiej szkoły dla polskiej szlachty zagrodowej. Pragnęła tego bardzo mocno, wierząc w dalszą polską przyszłość naszych Kresów, ufając, że Hruszowa ocaleje i dalej pełnić będzie swoją służbę dla polskiej i Bożej sprawy. Pospiesznie tego robić nie chciała, a urzędowe przeprowadzenie tej sprawy w danej chwili było prawie niemożliwe.

Nieraz wracała do tej sprawy. „Jeżeli końca wojny doczekam” – a przypominam sobie, jak raz mówiąc o tym, rzekła pełna poddania: „Hruszowa to jednak rzecz doczesna, a mnie już czas myśleć o wieczności”.

W ostatnim roku wojny, dowiedziawszy się, że Hruszowa została spalona i opustoszała, ale jeszcze wierzyłyśmy, że pozostanie przy Polsce i że ją z wojskiem naszym od-budujemy, Rodziewiczówna mówiła: „To wszystko nic, byle Polska była!”. Bóg miłosierny, że jej gorące serce nie dożyło tej chwili, którą my z nieskończonym bólem przeżywamy, kiedy ostatki Polaków tę biedną ziemię opuszczają i zostają tylko samotne polskie mogiły.

Parę razy miało się z nami spotkać naczelne dowództwo, ale zawsze w ostatniej chwili coś stawało na przeszkodzie. Trzeba było bardzo uważać, żeby bez absolutnej potrzeby obustronnie się nie narażać. Lokal, w którym mieliśmy się spotkać, został wkrótce potem wysłędzony przez gestapo i właściciele jego, będący wówczas na szczęście poza domem, nie

mogli już tam wrócić.

Wiedzieliśmy, że w organizacji są już wyznaczone i przygotowane kadry przyszłych naszych władz cywilnych. Przychodził nieraz do nas przyszły wojewoda poleski – człowiek robiący doskonale wrażenie spokoju, powagi i rozumu. Nazywaliśmy go Reytanem, bo i tu o nazwiskach się nie mówiło. Chodziło mu o porozumienie z najlepszymi elementami Polesia. Prosił Rodziewiczównę o wskazywanie mu ludzi wartościowych na odpowiednie stanowiska. Wskazówki nasze i uwagi chętnie przyjmował, wchodząc zaraz w kontakt ze wskazanymi mu ludźmi.

Przynosił nieraz Rodziewiczównie pieniądze dla Polaków z Polesia będących w trudnych warunkach materialnych. Rozmawiało się z nim szczerze i otwarcie i cieszyliśmy się, że po Kostce-Biernackim Polesie doczeka się wojewody, który wstydu Polsce nie zrobi, a honor jej podniesie wysoko. Przyprowadził nam parę razy swą córkę, czynną naturalnie w organizacji. Co się z nim stało? Czy ktoś z tych, z którymi snuliśmy marzenia o polskim Polesiu, przetrwał powstańczą burzę i rozbitcie naszych najdroższych pragnień?]

W lipcu 1944 r. coraz częściej pojawiały się pogłoski o bliskim powstaniu, a w nas dusza drżała, czy nie za wcześnie?

Bywały dni ostrego pogotowia w organizacji, potem znów je odwoływano i następowała cisza – przed burzą.

Tego ostatniego lata przychodziło do nas dużo młodzieży męskiej i żeńskiej o znanych i mniej znanych nazwiskach, np. Dowgiałłowie – brat i siostra (on zginął w powstaniu). Wszyscy byli pełni zapału, otuchy, pewności zwycięstwa, wszyscy nieśli swoje młode życie w ofiarnej dani, byle Polska odzyskała niepodległość. W końcu lipca uporczywiej krążyły wieści o bliskim wybuchu orężnej rozprawy. Wśród niemieckich wojsk coraz wyraźniejszy stawał się ruch wycofywania i wywożenia wszystkiego, co się dało. Od strony Żelaznej Bramy i Królewskiej ku Marszałkowskiej ciągnęły szeregi ciężarówek, wszystkie w jedną stronę. Ogarniało nas wzruszenie: „Czy to już?”...

Jednocześnie nadchodziły wieści o postępach wojsk bolszewickich, które po zajęciu Lubelszczyzny nadciągały ku Warszawie i były coraz bliżej. Na wypadek bombardowania Warszawy przez wojska bolszewickie przeniosłyśmy były sporo naszych rzeczy do mieszkania synostwa administratorki domu, zawsze nam bardzo życzliwych państwa Jurewiczów, którzy mieli niewielkie, puste w czasie lata, mieszkanie w dziedzińcu naszego domu na parterze pięcio-piętrowej oficyny. Tam miałyśmy się przenieść w razie niebezpieczeństwa.

Pamiętam, że nieraz, kiedy we dwie z Rodziewiczówną spędzałyśmy spokojne godziny wieczorne przy rozmowie, robocie czy pasjansie i wyrażałyśmy nasze zniechęcenie ciągnącą się bez końca wojną, miałam uczucie, że mogą jeszcze przyjść czasy, gdy te wieczory będą się wydawać wspomnieniem pełnym spokoju i pogody... Ileż razy to sobie później przypomiinałam...

## Rozdział XIV

W ostatnich paru dniach lipca 1944 r. pogotowie było parokrotnie ogłaszane i znów odwoływane. Aż 1 sierpnia, o czwartej po południu, wpadła do nas jedna ze znajomych sióstr ewangeliczek, które miały swój szpital na piątym piętrze w oficynie, z zawiadomieniem i poleceniem od dra K.<sup>83</sup>, że dziś o piątej wybucha powstanie. Doktor pojechał już na swój posterunek na Filtrowej.

Wrażenie było ogromne. Zebrałyśmy z Rodziewiczówną najpotrzebniejsze na noc rzeczy i zeszyłyśmy na dół, pytając siebie, co nas czeka i czy wrócimy do tych gościnnych kątów, w których spędziłyśmy prawie dwa lata – tak stosunkowo dobre i spokojne?

Odprowadziwszy Rodziewiczównę do mieszkania państwa Ju-rewiczów, wróciłam jeszcze na górę, ostrzec naszych współlokatorów o wybuchu powstania i chwycić, co mogłam z naszych rzeczy. Zaledwie wróciłam, rozległy się gęste i głośnie strzały. Słuchaliśmy z przejęciem, myśląc, czy zwiastują one bliskie już zwycięstwo, czy nową klęskę?... Wkrótce przyszła jeszcze pani Jurewiczowa z synem, komendantem domu i paru innymi lokatorkami. Cała nasza gromadka spędziła ten pierwszy wieczór w przejętym skupieniu, czując, że przeżywamy znowu ważną chwilę dziejową.

Grzechot karabinów ręcznych, maszynowych, coraz częstsze wybuchy czołgowych i działowych pocisków trwały cały wieczór – a i noc ciszy nie przyniosła. Postanowiłyśmy wobec tego nie rozbierać się wcale, ale być gotowym na wszystko.

Od pierwszego dnia zdaliśmy sobie sprawę z tego, że ulica Królewska była odcinkiem bardzo gorącym. Ogród Saski mieli w swym ręku Niemcy, którzy od razu zaczęli na Królewską wywierać nacisk bardzo silny. Odcinek nasz stanowił pierwszą linię bojową – tak zwany front. Poza tym przez Niemców obsadzony był gmach telefonów na rogu Zielnej i Próżnej – powszechnie nazywany „Pastą”. Widzieli oni stamtąd jak na dłoni Marszałkowską, plac Dąbrowskiego i karabinami maszynowymi mogli z łatwością sprzątać wszystkich, którzy się w zasięgu strzałów ukazali.

Nazajutrz rozgorzała walka w całym mieście. Biły wszelkiego rodzaju pociski, zaczęły krążyć samoloty, które zniżając się prawie nad dachy domów, siekły z niskiego pułapu karabinami maszynowymi albo zrzucały mordercze bomby.

Duży korytarz i mieszkania parterowe naszej oficyny zajęli lokatorowie z innych pięter, na dole – w piwnicach urządzono schrony. Ile razy nadciągały samoloty, ktoś wpa-dał gwałtownie, wołając: „Nalot! Wszyscy do schronu!”. My z Rodziewiczówną postanowiłyśmy od razu, że do schronu schodzić nie będziemy. Powietrze piwniczne działało bowiem zabójczo na jej astmę, zwłaszcza w ścisku stłoczonych tam osób. Zostawałyśmy więc w mieszkaniu, przechodząc tylko do wewnętrznego korytarzyka, i tam – siedząc obok siebie – modliłyśmy się, gotowe na wszystko.

Naloty bywały straszne, a wstrząsy tak gwałtowne, że ziemia pod wpływem wybuchów zdawała się uginać. Wyda-wało się czasem niepodobieństwem przeżyć to wszystko cało. Mimo to po paru dniach zaryzykowaliśmy pójść z panem Jurewiczem do mieszkania na górze, by przynieść z zapasów naszych trochę żywności. Mieszkanie całe podziurawione już było wystrzałami karabinowymi, ale stały jeszcze ściany i trzymały się sufity. Wchodząc do pokoju, mającego okna skierowane w stronę Ogrodu Saskiego, musiało się zginać do ziemi, aby się nie narazić na zranienie. Komunikacja między domami odbywała się wobec niemożności wyjścia na ulicę w ten sposób, że wybito połączenia między piwnicami-schronami i przez te otwory odwiedzano się wzajemnie.

Wśród tej nieustającej grozy zaczęły nam płynąć dni i tygodnie. Pamiętam, że drugi tydzień powstania był znacz-nie rańniejszy niż pierwszy. Nasi trzymali się po bohatersku, pełni zapału i męstwa. Przyszły nawet wieści o odbiciu paru ważnych punktów. Zdawało się wówczas, że może jednak idziemy już ku ostatecznemu zwycięstwu... Nastroje wahały się w zależności od natężenia walk i wieści z miasta. Któregoś dnia przyszło do naszego mieszkania kilku wojskowych: komendant naszego odcinka, jego adiunkt – młody Plater, i paru innych. Urządziliśmy dla nich skromne przyjęcie. Nastrój był bardzo serdeczny i pełen wiary w przyszłość. Niestety – dowiedzieliśmy się wkrótce, że komendant-porucznik poległ na swoim posterunku, a Plater padł rażony kulą w chwili, gdy przebiegał przez plac Dąbrowskiego.

Mieliśmy w tych czasach jeden dzień radosny, gdy nasi chłopcy zdobyli wspomniany wyżej gmach „Pasty”<sup>84</sup>, szerzącej morderczy ogień karabinów maszynowych, ustawionych na szczycie dachu. Ciekawy był dziennik jednego z ujętych hitlerowców. Na podstawie tej lektury widziało się, że sytuacja Niemców stawała się z dniem każdym cięższa, brakowało im żywności, odcięty mieli dopływ wody i światła. Niektórzy, opanowani rozstrojem nerwowym, kończyli samobójstwem, wiedząc, że dłużej w tych warunkach nie wytrzymają. Zdoby-cie gmachu powitano ogromną radością. Komendant nasze-go domu jak dzieciak tańczył po pokoju. Zdawało się, że będzie to już chwila przełomowa ku uprag-nionemu zwycięstwu, lecz stało się wprost przeciwnie. Była to bowiem właśnie jedna z ostatnich chwil radości.

Któregoś dnia znowu zaryzykowałam wyprawę na górę. Niestety, pocisk zrobił już wyrwę w pokoju obok, ściana została zwalona, a pokój nasz cały zasypany gruzem i des-kami z sufitu. Z wielkim trudem dostałam się do szafy, której już jednak otworzyć nie mogłam, bo zamki były pogięte. Niewiele więc zdobywszy, wróciłam przybita smutnym wido-kiem tej ruiny.

Ale i w czasie potęgującej się na wieść o zniszczeniach i potwornych ofiarach w ludziach depresji duchowej zdarzały się jeszcze dni dodające otuchy. Zaczęły przychodzić „zrzuty” od aliantów. Kiedyś taki spadochron wylądował przed domem, w którym mieszkaliśmy. Nasi młodzieńcy przyciągnęli go na dziedziniec i w naszym saloniku właśnie odbijali skrzynki z amunicją. Raz spuszczone działko przeciwczołgowe „Fiat”, a potem doniesiono nam z radością o rozbiciu paru czołgów.

Nacisk na Królewską stawał się jednakże coraz ostrzejszy. Bomby niszczyły okoliczne domy. Któregoś dnia zjawili się też u nas mieszkańcy spod nr 23, między innymi państwo Hołyńscy, którzy spod bomb rozbijających ich mieszkanie, w jakim dali przytułek tyłu różnym wygnańcom, uszli wprawdzie z życiem, ale dosłownie z tym tylko, co mieli na sobie.

Dnia 15 sierpnia urządzono uroczyste nabożeństwo w du-żej sali na parterze. Zamiast złotego kielicha – było szkło, zamiast pateny – talerzyk. Sala jednak zapełniła się. Poszliś-my wszyscy do spowiedzi i Komunii Św., wiedząc, że każdy dzień naszego życia może być ostatnim.

W minionym tygodniu coraz częściej zdarzały się noce, gdy nasz komendant radził nie kłaść się w ogóle, bo może właśnie w nocy zajdzie potrzeba opuszczenia domu. Ktoś z nas na zmianę dyżurował, aby w razie ostatecznego alarmu innych w porę pobudzić. Po takich nocach trwały znów dni pełne grozy wśród pękających bomb i wycia pocisków.

Zaczęliśmy się z Rodziewiczówną poważnie zastanawiać, dokąd pójdziemy, gdy Królewską rzeczywiście trzeba będzie opuścić. Bo groziło nam to w każdej chwili. Najbliższym domem znajomym okazała się posiadłość księżnej Czartoryskiej przy Kredytowej 12. Można się tam było przedostać przez piwnice i podwórza. Toteż nazajutrz po nabożeństwie po-szłam w tamtą stronę, by się upewnić, czy w razie konieczno-ści będziemy mogły liczyć na gościnę u księżny. Przyjęła mnie ona ze zwykłą dobrocią i od razu pokazała pokój, gdzie by nas ulokowała.

Nazajutrz zdarzył się wybuch czołgu przed naszym do-mem na Marszałkowskiej. Od

niego zajął się najbliższy magazyn. Ogień zaczął się szerzyć z przerażającą szybkością, a wkrótce stanął w płomieniach sklep dobrze nam znanego pana Rokickiego i duży skład bławatny p. Krauzego. Zaczęto wyrzucać na dziedziniec stopy gotowej bielizny, kołder, materiałów. Łudziliśmy się początkowo, że ogień da się może jeszcze opanować, ale straży pożarnej już w Warszawie nie było. Wkrótce też zaczęła się palić sala, w której dwa dni temu odbywało się nabożeństwo. Zrozumieliśmy, że czas najwyższy dom nasz zagrożony opuścić.

Z ciężkim sercem zegnaliśmy z Rodziewiczówną naszych gospodarzy i mieszkanie, które przez te dwa straszne tygodnie dało nam schronienie. Przeprowadziłam Rodziewiczównę schronami do księżnej Czartoryskiej, skąd jeszcze raz następnie wróciłam, by zabrać na Kredytową resztki naszych rzeczy. Miałyśmy znowu dach nad głową. Ale na jak długo?

Dzień następny minął nam pod tą samą grozą bomb i pocisków. Siedziałyśmy głównie w kuchni, tylko na noc szłyśmy „do siebie”... I oto drugiej nocy, o trzeciej godzinie, obudziła mnie księżna Czartoryska z zawiadomieniem, że wojsko nakazuje osobom starszym i dzieciom dom ten opuścić. Jej samej na razie pozwolono jeszcze zostać. Dla mnie była to bardzo ciężka chwila.

Nie budząc na razie Rodziewiczówny, wzięłam się do przygotowania naszych rzeczy, układając w plecaku tylko najbardziej potrzebne: trochę bielizny, trochę ciepłych rzeczy, rozumiejąc, że ocalone do tej chwili walizki muszę pozostawić. Oddałam je księżnej do jej zamkniętej piwnicy, gdzie również ona i jej bliscy złożyli swe rzeczy.

W końcu obudziłam Rodziewiczównę i o świcie ruszyłyśmy na dalszą tułaczkę, postanawiając udać się do dawnego mieszkania na placu Dąbrowskiego. Na szczęście młoda panienka z otoczenia księżny podjęła się przeprowadzić nas schronami i przenieść za ciężki dla mnie plecak. Tę króciutką przestrzeń z Kredytowej 12 na plac Dąbrowskiego 2 musiałyśmy iść z wielkim nakładem drogi i trudu. Wzdłuż Kredytowej przekradałyśmy się schronami, przeciskając się przez wąskie przejścia, przebite pomiędzy piwnicami, potem, pod osłoną barykady, przemknęłyśmy się przez Kredytową w poprzek i szłyśmy nią dalej, i dopiero przez rozbity zupełnie Klub Myśliwski i jego dalekie dziedzińce mogłyśmy dojść od strony Mazowieckiej na plac Dąbrowskiego.

Zostałyśmy powitane serdecznie, jakby wracające z tam-tego świata. Zainstalowałyśmy się, ale bardzo już prowi-zorycznie. Kilka najlepszych pokoi rozbiły bowiem bomby, tak że o prymitywnej nawet wygodzie trudno było marzyć. Tym razem, przez parę dni tam spędzonych, musiałyśmy dzielić pomieszczenie z bardzo niemiłymi i niegrzecznymi lokatorami.

Po trzech dniach przyszedł nas odwiedzić pan Plackowski ze znajomą ze Śląska panią Traube, która widząc, w jakich warunkach mieszkamy i jak strasznie nad placem Dąbrowskiego szaleją bomby oraz pociski, zaproponowała bardzo serdecznie, żebyśmy się do niej, mieszkającej przy ul. Boduena 3, przenieśli. Lokatorem jej był dr K., ale w tej chwili znajdował się on na posterunku. Miejsce u niej znajdowało się wprawdzie na trzecim piętrze, ale przechodząc przez piekło nalotów od 3 tygodni, byłyśmy gotowe na wszystko. Zresztą panował tam względny, w zestawieniu z tym, cośmy już przeszły, spokój.

Nazajutrz przenieśliśmy się więc do pani Traube, gdzie wydało nam się jak w raju. Szyby w oknach jeszcze były, bomby i pociski słyszało się z pewnego oddalenia. Najgorszy huragan szalał bowiem właśnie nad Królewską i placem Dąbrowskiego. U pani Traube mogłyśmy się nawet porządnie umyć, bo wannę po brzegi wypełniał zapas wody. A właśnie prócz grozy bombardowania brak wody najbardziej dawał się we znaki. Wodociągi zostały przerwane, po wodę chodziło się do studni, których nie było zbyt wiele. Musiało się przekradać do nich często przez kilka ulic, stać w ogonku pod obstrzałem wroga, by wreszcie zdobyć wiadro cennego płynu.



Toteż różniej się nam na duchu zrobiło, gdyśmy się znalazły w porządnym, czystym mieszkaniu. Wiadomości z miasta przychodziły nie najgorsze, nasi się trzymali, bronilo się bohaterskie Stare Miasto. Powiśle przechodziło straszne ataki z góry od strony Uniwersytetu i z dołu od Wisły, skąd z kanonierek szerzył się straszny ogień. Były pogłoski, że Niemcy się wycofują. Nastrój wbrew wszystkiemu utrzymał się pełen wiary. Psuła nam tylko te pierwsze dni względnego spokoju moja niedyspozycja żołądkowa, gdyż dostałam krwawej biegunki, która wśród fatalnych warunków sanitarnych szerzyła się nagminnie. Rodziewiczówna bardzo brała do serca moją chorobę i sama wskutek tego traciła siły. Na szczęście znalazł się lekarz, który poczciwie się mną zajął, tak że po kilku dniach zaczęłam zdrowieć.

Było by nam u pani Traube bardzo dobrze, gdyby nie to, że wieści z miasta nie polepszały się. Nacisk wroga na części Warszawy zajęte przez powstańców nie ustępował. Nasi bronili się z bezprzykładnym męstwem i na ogół trzymali się bez większych zmian, ale kosztem jakich ofiar... Z głęboką troską pytałyśmy się siebie, na jak długo starczy sił i amunicji. Zrzuty po dziesięciu dniach ustały, wyczerpać się mogły przysłane zapasy. Ale duch trwał niezmożony!

Tymczasem po kilku dniach względnego spokoju fala bomb i pocisków zaczęła się i do nas zbliżać. Robiło się coraz groźniej i coraz mniej bezpiecznie na naszym trzecim piętrze. Na szczęście wróciłam już do zdrowia, kiedy naloty objęły i nasz rejon. Służąca co chwila uciekała do schronu, myśmy trwały w mieszkaniu, coraz bardziej zżyte z myślą o śmierci. Bomby wybuchały stale gęściej i bliżej.

Czwartego września koło południa bomba padła w naszych oczach na dach frontowego domu naszej oficyny, robiąc ogromną wyrwę. Przeszłyśmy więc do korytarzyka, modląc się. Po chwili wpadła pani Traube, błagając, byśmy w tej chwili zeszły do piwnicy, bo dalej tu trwać nie można. Chwyciłam nasze pakunki i udałyśmy się do schronu, gdzie spędziłyśmy dzień i noc następną razem z panią Traube i rodziną jej służącej.

Tymczasem nad nami rozpętało się piekło. Huk było słychać słabiej, lecz co chwila czułyśmy gwałtowne wstrząsy i uginanie się ziemi pod wybuchami bomb. Pani Traube poszła dowiedzieć się do swego mieszkania i po chwili wróciła z wieścią, że pocisk, tzw. krowa, wpadł do naszego pokoju i spustoszył wszystko. „Już byście nie żyły!” – powiedziała z przejęciem.

Po godzinie i ja poszłam na górę zobaczyć, czy nie da się jeszcze czegoś uratować. Pokój leżał w gruzach, spod których wyciągnęłam mój jedyny kostium. Meble stały porozbijane, drobiazgowo naszego codziennego życia nie udało mi się już odszukać.

Należało pomyśleć o nowym przytułku. Pod wieczór, przekradając się schronami, poszłam do domu Wedla przy Szpitalnej 8, o którym wiedziałam, że schroniły się tam siostry ewangeliczki ze szpitala przy Królewskiej. Z trudem je odnalazłam i z trudem uzyskałam pozwolenie na prze-niesienie się tam w razie koniecznej potrzeby. Na noc przychodziło do tego biura Wedla około dwudziestu osób, ale cóż było robić?

Wróciłam do naszej piwnicy. Noc miałyśmy bardzo ciężką. Siedziało się na kuferkach i pakunkach, powietrze było duszne od ludzkich wyciewów i kurzu. Ze strachem widziałam, że pomimo spokoju i męstwa Rodziewiczówny siły jej wyczerpywały się coraz bardziej. Jej osiemdziesiąt lat życia i mozolnej pracy wołały o swoje prawa. Tymczasem zamiast spokoju i ciszy przychodziła rosnąca moralna i fizyczna udręka. (Coraz większy brak posiłnego odżywiania się, brak najbardziej elementarnych wygod. Od początku powstania nie było chleba, kartofli, warzyw, owoców, mleka, mięsa; żywiliśmy się kaszą i mąką).

Wszystkie niedostatki zniosłoby się łatwiej, gdybyśmy były widziały, że powstanie idzie ku zwycięstwu. Tymczasem... choć bywały jeszcze przebłymski radości i nadziei, położenie stawało się z dnia na dzień groźniejsze. Stare Miasto w gruzach bronilo się resztkami sił. Tak samo Powiśle, Mokotów. Zaczęły nadchodzić wieści o kolejnym opuszczeniu tych pozycji przez

nasze wojska. Czuliśmy, że pierścień dławiący zaciska się coraz mocniej [a bolszewicy stali bez-czynnie i z zimnym spokojem patrzyli na śmiertelne zmagania się i powolne konanie Warszawy].

Rano dowiedzieliśmy się, że nasza oficyna stoi w ogniu. Zaczął się palić front domu i cały rząd piwnic. Po radzie z panią Traube zdecydowałyśmy się iść na Szpitalną. Pani Traube – młoda i zdrowa – postanowiła przedrzeć się aż na Wilczą, co dla nas było niepodobieństwem. Pożegnałyśmy się z nią bardzo serdecznie, zachowując wdzięczne wspomnienie jej gościnności. Poszłam najpierw sama na Szpitalną prosić o pomoc w przeprowadzeniu Rodziewiczówny i przeniesieniu rzeczy. Komendant domu, dowiedziawszy się, że chodzi o Rodziewiczównę, ofiarował się osobiście nam pomóc. Po upływie pół godziny byliśmy już na miejscu.

Naszym nowym schronieniem było parterowe biuro sprzedaży Wedla, o dwóch ogromnych, na wpół wybitych oknach. Z trudem zdobyłam miękką kanapkę dla Rodziewiczówny, sama kładąc się przy niej na materacu rozłożonym na podłodze. Czekwały nas tam bardzo ciężkie dni, wyczer-pujące nerwowo i fizycznie. Rodziewiczówna tak bardzo zmęczyła się ostatnią dobą, spędzoną w piwnicy, że leżała prawie bez czucia. Tętno miała nikle, więc nieraz wstawałam w nocy patrzeć, czy jeszcze oddycha. Wszyscy, którzy ją wtedy widzieli, mieli przekonanie, że nadchodzi koniec.

Po paru dniach liczne towarzystwo, nocujące w naszym biurze, mogło wrócić do swoich mieszkań. Zostałyśmy same, co stanowiło dla nas wielką ulgę. Dopiero po upływie pewnego czasu dostałyśmy miłą, trzyosobową rodzinę. Znała-złam w sąsiedztwie lekarza, który bardzo pocziwie zaopieko-wał się Rodziewiczówną i co dzień przychodził robić jej zastrzyki. Nazwiska jego nie pamiętam, ale jeżeli kiedy te wspomnienia czytać będzie, niech w nich znajdzie serdeczne słowa wdzięczności. Zastrzyki wzmocniły serce, tętno zaczęło się poprawiać, sił trochę przybyło i – na ten raz była jeszcze uratowana.

Lecz i tu za nami przysłała fala nalotów. Już przed samym naszym przeniesieniem się do kantoru Wedla bomba zasypa-ła tam w schronie dobrze znaną nam przełożoną siostrę ewangeliczkę, która zeszła odwiedzić chorą, ginąc z całą grupą osób, które tam zastała. Naloty zaczynały się od rana i powtarzały regularnie co pół godziny. Było to wprost straszne. Przez duże okna widziałyśmy krążące tuż nad naszymi domami samoloty. Co chwila rozlegał się huk i wstrząs wywołany pobliskim wybuchem.

Jak zawsze, gotowe na śmierć, siedziałyśmy obok siebie, odmawiając modlitwy. Pewnego razu bomba padła tuż obok. Zaczęło się wszystko dookoła nas walić, tak że porwałyśmy się obie ze słowami: „To już koniec!”. Zrobiło się tak ciemno, że nie widziałyśmy nawet okien. Gdy doszłam w końcu do świadomości, że jednak jeszcze żyjemy, wzięłam Rodziewiczównę pod rękę i wyprowadziłam na powietrze. Wzdłuż domu biegli ludzie, wołając: „Kto żyje?”. Odpowiedziałyśmy na wołanie, po czym dowiedzieliśmy się, że bomba upadła tuż za ścianą naszego pokoju i znowu zasypała w schronie całą grupę osób, m.in. siostrę pana Wedla z córką. O ratowaniu ich nie mogło być mowy.

Ta męka nieustannych nalotów trwała około tygodnia, potem przyszło pewne uspokojenie. Sprawił to fakt, że samoloty sowieckie zaczęły patrolować nad Warszawą i uganiać się za samolotami niemieckimi. Nieraz z bliska widziały-śmy powietrzne walki.

Ale co było najgorsze, wojska wrogie nie ustępowały, a przeciwnie, coraz bardziej wypierały naszych. Któregoś dnia ostrzeżono nas, że wszyscy mieszkający się obecnie w domu Wedla prawdopodobnie w nocy będą zmuszeni ten dom opuścić. Tyczyło się to zarówno nas, jak i naszych żołnierzy, gdyż spodziewano się nadejścia Niemców... Usposo-kajano nas, że nam starym nic nie grozi, ale zbyt dobrze wiedziałyśmy, że wiek przed mordem nie chroni, tym bardziej że przy zajmowaniu nowych punktów na czele szli zawsze Ukraińcy, dla których

okrucieństwa nie było nic świętego.

Wtedy Rodziewiczówna powiedziała mi: „Zostaw mnie tu i uchodź, sama łatwiej się uratujesz, a tu zginiesz przeze mnie”. Każdy zrozumie, że jej odpowiedziałam, iż o tym mowy być nie może. Bóg nas złączy! Po to, byśmy razem byli do końca i wolę zginąć razem, niż ją opuścić. Poleciwszy się Bożej opiece i zamknąwszy drzwi na klucz, położyliśmy się spać.

Rano dowiedzialiśmy się, że sytuacja się nieco poprawiła, tak że oddziały nasze nie odstąpiły. Wrócili też ci, którzy wychodzili już wczoraj z tobołami na plecach.

Żyliśmy teraz z dnia na dzień. Ale i tu, w tym schronie, wkrótce ludzie dowiedzieli się, że przyjaciółka moja to Rodziewiczówna, więc przyszli nam z pomocą. To wiadro wody ktoś przyniósł, to trochę prawdziwej kawy czy wina. Przyszło raz dwóch panów z prośbą, czy mogliby Rodziewiczównę sfilmować i w tym naszym pustym, bo pełnym jedynie kurzu od bomb kantorze, nastavili aparat.

Opiekunem naszym stał się tam pan Bohdziewicz, młody człowiek mieszkający w tym domu. Nie raz przynosił nam coś do zjedzenia, dowiadywał się o nas, gdy tylko znalazł wolną chwilę. On to zawiadomił oddział Czerwonego Krzyża na Brackiej 23, że Rodziewiczówna jest na Szpitalnej i polecił nas ich opiece. Ze zdumieniem i radością ujrzałyśmy wchodzącą do nas w połowie września przedstawicielkę Czerwonego Krzyża panią Zaleską.

W naszym kantorze, przy wszystkich innych rozlicznych brakach, zaczynało się nocami robić bardzo zimno. Na wpół wybite okna nie chroniły przed chłodem. Toteż miałyśmy wrażenie, że pod opieką Czerwonego Krzyża byłoby nam jednak lepiej i raźniej. Pani Zaleska oświadczyła nam jednak, że mają oni tylko bardzo ciasne pomieszczenie dla chorych żołnierzy i personelu. W każdym razie o nas pamiętać będzie. Wróciła też wkrótce z wiadomością, że na piętrze nad Czerwonym Krzyżem ma mieszkanie pani Zagórna, znająca trochę Rodziewiczównę, i że ona, mając pokoje już zapełnione, jest w możności w jadalnym z ocalałymi szybami ofiarować pisarce kanapkę.

Naturalnie, że propozycję tę przyjęliśmy z radością. Pani Zaleska przyszła po nas z noszami dla Rodziewiczówny i tak znalazłyśmy się w ostatnim naszym powstańczym schronieniu przy Brackiej 23. Spokój był tu większy. Pociski gwizdały wprawdzie, ale nie czuło się przynajmniej tego systematycznego bombardowania [bo bolszewickie samoloty patrolowały]. Któregoś dnia ujrzałyśmy wielką ilość spadochronów z żywnością od aliantów. Niestety, większość spadła na stronę niemiecką. Rodziewiczówna nie mogła się wszakże pozbyć stałego wyczerpania, co było wynikiem zaostrzające-go się braku odpowiedniego pożywienia. W dodatku i ja ponownie się rozchorowałam. Lecz i tym razem znalazł się lekarz, doktor Dan, który ratował nas, jak mógł. Podczas jednej z jego bytności Rodziewiczówna obiecała przysłać mu po wojnie tom swych nowel *Rupiecie*, gdzie odmalowała śliczny typ lekarza. Jeżeli doktora Dana odnajdę, to obietnicę tę z radością wypełnię, bo zawsze jego dobroć z głęboką wspominam wdzięcznością.

Na Rodziewiczównę silniej może od bomb psychicznie działał brak wody. A przecież właśnie najpotrzebniejszą, minimalną ilość wody zdobywało się z narażeniem życia, pod stałym ostrzałem. Rodziewiczówna tęskniła wprost do obfitości wody, spragniona jej miewała pewnego rodzaju halucynacje, słysząc niejako szmer leżącej się szeroką strugą wody, podczas gdy faktycznie wydzielano nam jej tylko parę szklanek na umycie rąk.

Powoli mijał i kończył się wrzesień. Pierścień wrogi, dławiący Warszawę, zaciskał się coraz mocniej, już tylko dokoła śródmieścia. Padło Stare Miasto, Żoliborz, Powiśle, Mokotów. Powstanie gasło... i oto ostatniego dnia września rozeszła się wiadomość o nieuniknionej kapitulacji.

Wrażenie było wstrząsające. A przecież rozumieliśmy, że położenie jest bez wyjścia i że

należy bezwzględnie wstrzymać dalszy rozlew krwi bohaterskiej i ofiarnej młodzieży. I oto 1 października padło na Warszawę już oficjalne zawiadomienie o podpisaniu kapitulacji. Stolicę zaległa martwa cisza...

Walka nierówna była skończona!

## Rozdział XV

Teraz przyszedł rozkaz władz niemieckich o natychmiastowej ewakuacji miasta, stanowiącego już tylko jedno wielkie cmentarzysko. Zaczęłyśmy się zastanawiać, co mamy ze sobą począć. Radzono nam dostać się do szpitala Wolskiego, skąd po odpoczynku mogłybyśmy ruszyć dalej i uniknąć w ten sposób straszego obozu w Pruszkowie. Należało postarać się o nosze i poszukać ludzi dobrej woli, którzy mogliby przenieść Rodziewiczównę aż do linii niemieckich, gdzie już chodził autobus do szpitala. Pośpiech był ko-nieczny, bo całe nasze mieszkanie już się opróżniało. I tym razem, jak już tyle razy poprzednio, gdy dowiedziano się, że chodzi o danie pomocy Rodziewiczównie, zjawiała się grupa nieznaney nam młodzieży z noszami i z całą serdeczną gotowością przysłała nam, któreśmy już wątpić zaczynały, z natychmiastową pomocą.

Ułożyłyśmy więc wspólnie Rodziewiczównę na noszach, rzeczy nasi nowi opiekunowie wzięli na plecy i ruszyłyśmy przez to nieszczęsne bohaterskie miasto, wśród gór gruzów, poprzez niezliczone doły i leje od pocisków, patrząc ze zgrozą na to nieprawdopodobne zniszczenie.

A był to łagodny październikowy dzień, trochę szary i chmurny. Szliśmy długo, bo kurs był daleki. Niemcy przyjęli nas stosunkowo grzecznie, ale musieliśmy przy tym ich posterunku długo czekać. Rodziewiczówna leżała na swych noszach zapatrzona w niebo, spokojna, pogodna i wdzięczna Bogu i ludziom za uratowanie nas z beznadziejnej toni.

Gdy przyszedł autobus, dwie panie z grupy naszych przygodnych opiekunów odprowadziły nas aż do szpitala, gdzieśmy na razie znalazły pomieszczenie w dużym holu, do chwili wyszukania innego miejsca. Szpital był bardzo pełny, ale obiecano, że dla Rodziewiczówny miejsce przecież się znajdzie. W tymże holu jakaś nieznajoma pani podeszła do nas z zapytaniem, czy nie zjadłybyśmy pomidorów, o których przecież marzyłyśmy od dwóch miesięcy! Przyjęłyśmy je z wdzięcznością i jedząc, miałyśmy wrażenie, że nigdy niczego równie dobrego nie miałyśmy w ustach.

Po godzinie zabrano nas na piętro, gdzie dostałyśmy pokój o dwóch łózkach, z których drugie zajęte było przez młodą nauczycielkę. Dla mnie więc stawiano na noc nosze obok pościeli Rodziewiczówny.

[I tak zaczął się jeden z przedostatnich etapów naszej tułaczey drogi. Zaraz nazajutrz przekonałyśmy się, że jedzenie szpitalne będzie bardzo niewystarczające i monotonne, a nas już ogarnął szalony głód i apetyt po tych dwóch miesiącach wysiłku i niedożywienia. Kupiłam zaraz zapas kartofli, po-midorów i cebuli i wszelkimi sposobami starałam się, abyśmy miały parę razy na dzień swoje obfite, pożywne jedzenie, a nie było to łatwe, bo kuchnia była daleko w suterrenach. Mogłam z niej korzystać tylko wczesnym rankiem, a trak-towano mnie w niej dość niegrzecznie. Była poza tym druga mała kuchenka, na której w drodze łaski mogłam czasem coś zagrzać czy usmażyć... Jadłyśmy obie z żar-łocznością prawdziwych głodomorów.

Po paru dniach zaczęłyśmy rozmyślać o dalszej drodze i postanowiłyśmy, że będziemy się starały dostać do kocha-nych sióstr urszulanek w Milanówku, ale dziesięć dni minęło, nim zdołałyśmy ten nasz zamiar doprowadzić do skutku.]

Pobyt w szpitalu zostawił w naszej pamięci wrażenia bardzo różnorodne. Warunki miejscowe były ciężkie. Osob-liwie boleśnie odczuwałyśmy brak miejsca i znowu wody. Korytarze zionęły chłodem. Tylko siostry Miłosierdzia oka-zały nam wiele dobroci. Dziwnie niemiły był za to personel lekarski, więc po raz pierwszy ze zdziwieniem widziałam sprawę zdrowia Rodziewiczówny traktowaną lekceważąco. Służba była też raczej niemiła.

Nareszcie po dziesięciu dniach dowiedziałyśmy się, że wozy będą nazajutrz i zabiorą nas

oraz innych ewakuowanych do stacji kolejki elektrycznej, która zawiezie wszystkich do Milanówka. Nie przydzielono nas wszakże tak, jak prosiłam, do pierwszego transportu, jakim dojechałybyśmy do Milanówka w ciągu dnia, ale dopiero o trzeciej po południu. A była to naprawdę droga krzyżowa. Rodziewiczówna leżała na noszach bardzo niewygodnie, otoczona i ściśnięta różnymi tobołami i towarzyszami podróży – ja siedziałam u jej nóg. Jechało się nogą za nogą, wstępując dla różnych spraw szpitalnych na dworzec zachodni. Zapadał już głęboki jesienny wieczór, a myśmy jeszcze jechały, patrząc na ponury obraz płonącej Warszawy.

Zaczął padać deszcz, który zupełnie zmoczył poduszkę Rodziewiczówny. Noc była tak ciemna, że któryś z naszych wozów wjechał do rowu. Musiało się świecić zapalkami, aby rozeznąć drogę. Nareszcie po godzinie ósmej dobiliśmy do stacji, gdzie stał już ostatni pociąg kolejki elektrycznej.

Przynajmniej to się szczęśliwie złożyło, że do Milanówka jechało parę osób znajomych ze szpitala. Przy ich więc pomocy szczęśliwie wsiadliśmy do pociągu i o wpół do jedenastej w nocy dobiliśmy do celu.

Tam jednak położenie przedstawiało się beznadziejnie. Padał rześisty deszcz, tak że od razu z wagonu wpadało się do kałuży wody. Noc czarna, mały przystanek stacyjny – i znikąd pomocy. Nie mogliśmy też marzyć o dostaniu się do miasta. Te same znajome panie dowiedziały się, że obok jest noclegowy przytułek RGO. Nie widząc innego ratunku na razie, przeszliśmy wszystkie tam. Warunki tego noclegu okazały się jednak bardzo ciężkie. Wskazano nam bowiem duży pokój, szczelnie zapełniony śpiącymi na podłodze ludźmi z różnych środowisk, poczynawszy od najniższych. Z powodu dusznego i gorącego powietrza z trwogą myślałam o tym, czy Rodziewiczówna przetrzyma noc w tych warunkach?

Postawiono nam krzesła koło drzwi. Usiadliśmy wyczerpane. Powoli płynęły nad wyraz męczące nocne godziny, wlokące się w nieskończoność. Toteż, gdy tylko zaczęło się rozwidniać, wyszłam szukać możliwości jakiejś lokomocji, aby się stąd wyrwać. Z trudem znalazłam rodzaj małej „rikszy”, która za drogie pieniądze zgodziła się nas odwieźć do sióstr – jedną po drugiej. Aby zakonnice uprzedzić, pojechałam pierwsza.

U sióstr powiedziano mi niestety, że miejsca dla nas nie będzie, tak bardzo wszystkie kąty są zapełnione. Ale kiedy biedna Rodziewiczówna przyjechała dosłownie półżywa, nakarmiono nas i na następną noc znalazła się dla niej miękka kanapka, a dla mnie fotel. Rodziewiczówna zaraz o zmroku zasnęła snem kamiennym i wieczorem nie można się jej było dobudzić do posiłku. Spała jak zabita do rana. Rano przewieziono nas do małego domku, w którym miała pokój dawna lokatorka sióstr z Warszawy, panna Staszanówna, która mając już jedną u siebie osobę, także i nas miłosiernie przygarnęła. Było w jej izdebce miejsca na 4 łóżka, stolik i umywalnię, lecz i za to schronienie błogosławiłyśmy ją serdecznie. Dawało nam ono przynajmniej możliwość chwilowego spoczynku i rozejrzenia się, dokąd się dalej mamy skierować.

Napisałam też zaraz do naszych przyjaciół Mazarakich, którym przecież zawdzięczałyśmy wybawienie z obozu pod Łodzią, a którzy po opuszczeniu swego Żeromina przebywali pod Skierniewicami w miejscowości Żelazna. Tymczasem zarząd miejscowego RGO<sup>85</sup>, dowiedziawszy się, że Rodziewiczówna jest w Milanówku, przyszedł jej z pomocą pieniężną i żywnościową, a bardzo miła młoda córka prezesa kilkakrotnie przynosiła nam własnoręcznie przygotowane przez siebie pożywne jedzenie. Dostałyśmy także od nich polecenie do oddziału RGO w Skierniewicach. Po dziesięciu dniach z pomocą i pod opieką sióstr ruszyłyśmy na ostatni etap naszej tułaczkiej drogi – do Skierniewic. Czekwały tam na nas konie z Żelaznej, ale Rodziewiczówna tak już była przemęczona, że znajomi z Żelaznej państwo Strakaczowie zgodzili się nas przenocować w swoim bardzo miłym domku. Obie

z Rodzie-wiczówną nabrałyśmy otuchy. Z rozmowy telefonicznej z Że-lazną dowiedziałyśmy się, że wobec przepełnienia domu przygotowano dla nas osobną izbę w leśniczówce Leonów, odległej o półtora kilometra od dworu.

Rodziewiczówna, którą zaczęły już zupełnie opuszczać siły, marzyła o zainstalowaniu się tymczasowym w Skier-niewiczach, choćby pod opieką RGO. Wobec zapewnień jednak, że w mieście tym, przepełnionym Niemcami, nie można znaleźć miejsca, zrezygnowała i cieszyła się nawet leśniczówką. Może stanęły jej w myśli nasze dawne „czahary”, nasza kochana leśna chata?... Może myślała, że coś z tych dawnych wspomnień wspólnych odżyje?...

Lecz od tej chwili różne drobne zbiegi okoliczności zaczęły się układać inaczej, niż myślałyśmy, i – gdyby się nie wierzyło, że i tymi drobnymi szczegółami życia ręka Boża kieruje ku swym ukrytym celom, byłoby nieznośnie gorzko i ciężko. Miałby może człowiek wyrzuty sumienia, że inaczej nie postąpił, że uległ trudnościom.

Postanowiłyśmy, że jednak nazajutrz pójde z listem polecającym do RGO i nawiąże z nimi stosunki. Miałam wszakże po noclegach na cemencie w czasie powstania tak bolącą nogę, że ledwie się o kiju ruszałam. Kiedy więc zapytałyśmy panią Strakaczową, jak się do tej organizacji idzie, odpowiedziała mi: „Po co ma się pani męczyć piechotą? Zaraz założą konie, aby panie odwieźć do Żelaznej, to panie wstąpią do RGO”. Tymczasem konie tak się spóźniły, że gdy wreszcie po kilku godzinach były do dyspozycji, Rodziewiczówna, zmęczona nerwowo bezpłodnym czekaniem, zdecydowała się jechać prosto do Żelaznej, a list posłać przez okazję.

Gdybym wtedy nie była ustąpiła, może by się rzeczy przeciw inaczej ułożyły. Może oni jednak wynaleźliby dla nas jakiś pokój w Skierniewiczach. Kto wie?... Ale widocznie ręka Boża kierowała inaczej.

Do Żelaznej dojechałyśmy szczęśliwie, tylko Rodziewiczówna, nieludzko wyczerpana wysiłkiem ostatnich czasów, męczyła się ogromnie łatwo i do celu zajechała zupełnie bez sił. Pana Mazarakię niestety nie zastałyśmy, gdyż wyjechał on był do Krakowa. Panie – matka i synowa – przyjęły nas serdecznie.

Oddana do naszej dyspozycji izba okazała się obszerna wprawdzie, ale bardzo prymitywnie urządzona. Rozpakowa-łam nasze nieliczne tobołki, posłałyśmy łóżka o siennikach ze słomy, po czym pani Pasińska rozpałała ogień i zakrzętnęła się koło wieczerzy. Wreszcie doczekaliśmy się przyjazdu Rodziewiczówny.

Ochrzciała ona naszą komnatę mianem „Izby Piastowej”, była pełna otuchy, tylko wyrażała lekkie wahanie: „Wszystko składałoby się jak najlepiej, gdyby to był kwiecień, a nie listopad”.

Nazajutrz obie pozostałyśmy w łóżkach, wypoczywając i nie czując jeszcze, że oto dochodzimy do kresu naszej wspólnej drogi...

Wieczorem przyjechała pani Mazaraki i obejrzawszy liczne braki naszej instalacji, obiecała, że w najbliższych dniach wszystko zostanie załatwione, uzupełnione, braki usunięte. Podwójne okno miało być zrobione, nieszczelne drzwi opatrzone, dostawione najpotrzebniejsze meble.

Po kilku dniach przysłano nam bardzo miłego doktora Goldframa, który przepisał różne środki i obiecał odwiedzać nadal. Po tygodniu zjawił się też pan Mazaraki, którego opiece i staraniom zawdzięczałyśmy wydobycie nas z obozu pod Łodzią. Witał nas serdecznie, wyrażając nadzieję, że w tej „Piastowej Izbie” będziemy się czuły dobrze, że zimę w niej szczęśliwie przetrwamy – pod bliską opieką dworu. Ja jedno wciąż przypominałam, że dla Rodziewiczówny ciepło jest kwestią życia.

[Przez pierwszy tydzień trzymała się dobrze, napisała korzystając z nadarżającej się okazji, list do metropolity księdza Sapiehy, dla którego miała cześć ogromną, prosząc go

o przysłanie jej obrazka Matki Boskiej Częstochowskiej do naszej „Piastowej Izby”. Metropolita prośby jej wysłuchał i obrazek z własnoręcznym podpisem przez tę samą okazję posłał, ale tymczasem Rodziewiczówny nie stało, a mnie spotkała niezasłużona krzywda, bo obrazek ten nigdy do moich rąk nie doszedł. A byłaby to dla mnie tak cenna pamiątka.]

Któregoś dnia Rodziewiczówna z wielkim przejęciem mówiła, jak czuje się dumna, że jedyna Polska w tych strasznych ostatnich latach umiała odrzucić pokusę kompromisu układu [nie zaprzedała honoru jak Czechy, nie ustąpiła żądaniom bolszewickim i ona jedna rządu proniemieckiego nie stworzyła. Ona jedna umiała odpowiedzieć: „Nie, nie, jeszcze raz nie!”].

Na czyjaś uwagę, że niektóre narody dzięki swym kompromisom mają zamożność i kraj niezniszczony, odpowiedziała: „Niechże choć w jednym narodzie zostanie zachowana po dawnemu pojęta idea rycerstwa i honoru, niech choć jeden naród wyżej ceni honor od dobrobytu”.

W drugim tygodniu pobytu w Żelaznej coraz częściej przychodziły na Rodziewiczównę chwile depresji. Gdybym była wówczas sama zdrowa i łatwiej mogła się poruszać, gdybym mogła utrzymać osobisty kontakt z dworem, zdobyłabym pewnie wiele potrzebnych jej rzeczy i ułatwień, a oni częściej by nas odwiedzali, ale ostry ból nogi i uparty rozstrój żołądka trzymały mnie na uwięzi i choć życie bym dała dla zdrowia mojego druha, tak mało mogłam jej pomóc.

Po tygodniu pani Ptasińska wróciła do dworu, a my dostałyśmy starszą kucharkę, która nam dobrze gotowała i zachowywała się spokojnie. Któregoś dnia wspólnie szatkowałyśmy kapustę na zimę.

I oto 1 XI 1944 przyszedł wyjątkowo zimny dzień – z wichrem dmącym w nasze pojedyncze okno. W izbie powstał taki chłód, że parę widać było przy oddechu. Okleiałam okno, otuliłam Rodziewiczównę, czym i jak tylko mogłam, ale o ile ja przetrzymałam to bez przeziębienia, o tyle dla wrażliwych płuc Rodziewiczówny obniżająca się temperatura stała się zabójcza. Do dworu wysłałam kartkę „SOS”: „Ratujcie nas od chłodu!”.

Następnego dnia Rodziewiczówna wstała jeszcze wprawdzie – ale zbiedzona, bez humoru i siedząc skulona w swoim foteliku, powiedziała mi ze smutkiem: „W Warszawie czułam się pod opieką całego Narodu, a teraz jestem taka opuszczona...”. Obiad jadła już z wysiłkiem, bez apetytu. Po jedzeniu namówiłam ją, by się położyła. Czułam podświadomie, że idzie coś złego i po raz pierwszy wobec potęgi nadchodzącej choroby widziałam się bezsilna. Wszystkie moje środki ratownicze, jak bańki, zastrzyki itd., spaliły się w Warszawie. Okazało się, że doktor Goldfram, po którego natychmiast posłałam, wyjechał, a zastępca jego brał się do leczenia inaczej i jakoś mniej wzbudzał zaufania. U Rodziewiczówny wywiązała się tymczasem bardzo silna gorączka i już czwartego rano musiałam jej powiedzieć, że należałoby może wezwać księdza, na co się naturalnie od razu zgodziła.

Na noc z ochronki przychodziła do mej pomocy pielęgniarka, którą z uznaniem wspominam. Zjawiała się także jeśli tylko mogła, bardzo miła kierowniczką ochronki, panna Majerówna. Przez te ostatnie dni przyjeżdżało szereg osób odwiedzić chorą, czy raczej ją żegnać, gdyż doktor czwartego listopada stwierdził u Rodziewiczówny zapalenie płuc i stan beznadziejny. Ona sama także zdawała sobie sprawę z faktu, że jest ciężko chora, mówiła, że śmierci się nie boi, ale: „Szkoda – dodawała z żalem – tak chciałam doczekać...”.

Na mnie przyszło wtedy zupełne odrętwienie. Wiedziałam tylko, że mój druh kochany odchodzi i że w dalszą drogę życia będę musiała iść sama, bez podtrzymania jej serdecznej przyjaźni, bez opromienienia tej drogi przez jej jasną duszę.

Piątego wieczorem przyszedł ksiądz z Panem Bogiem. Rodziewiczówna rozmawiała z nim spokojnie, wyspowiadała się i przyjęła wiatyk. Pod wieczór zjawiono się znowu parę osób z dworu. Dawną przyjaciółkę pannę Weychert chora zapytała: „Czy ty myślisz, że ja się jeszcze



z tego wygrzebię?”. „Ależ naturalnie! – odpowiedziała zagadnięta z przekonaniem. – Przy twoich siłach!”.

Gdy się zupełnie ściemniło, zostałyśmy same z pielęgniarką, która sumiennie próbowała jeszcze zastrzyków. Przypominałyśmy sobie z Rodziewiczówną wspólnie przebyte biedy, jej choroby, ile to razy w groźnych zapadnięciach moje starania odnosiły pomyślny skutek i jak mi kiedyś powiedziała: „Póki ty jesteś przy mnie – ja nigdy nie umrę”. Stwierdziłyśmy, że było nam ze sobą po prostu... zbyt dobrze. I oto kres przychodził naszej wspólnej drogi...

Czułam wyraźnie, że noc ta może być już ostatnią. Nie próbowałam się więc nawet kłaść, siedząc cały czas przy niej gotowa – tak jak ona – na wszystko. A gdym ją zapytała, czy nie chciałaby, abym przy niej mówiła jakieś specjalne modlitwy, odpowiedziała z całą świadomością: „Chyba *Anioł Pański*”. Ale na to było jeszcze za wcześnie.

Trzymałam w ręku krzyżyk, z którym tyle razy w czasie bomb powstania patrzyłyśmy spokojnie śmierci w oczy. Trzymałam go tak, by i Rodziewiczówna widzieć ten znak wiary mogła. Od czasu do czasu odmawiałam też którąś z modlitw, pamiętnych z czasów Powstania.

W pewnym momencie zapytałam ją, czy bardzo cierpi. Odpowiedziała, że bardzo. Poleciała mi swój testament, a w pewnej chwili skinęła, bym się pochyliła. Ucałowała mnie wtedy tak długo i serdecznie, iż zrozumiałam wyraźnie, że to już ostatnie pożegnanie. Leżała potem spokojnie, bez słowa skargi czy strachu. Zdawała sobie sprawę, że już odchodzi. A ja wiedziałam jedno, że zostanę sama i duszę tak miałam odrętwiałą, iż do końca już siedziałam na pozór spokojnie, bez jednej łzy...

Myśl o Polsce i w tych ostatnich chwilach nie opuszczała widocznie Rodziewiczówny, bo nawet na parę godzin przed śmiercią powiedziała mi jeszcze: „Pamiętaj jedno: nie, nie i jeszcze raz nie!”.

I przyszły ostatnie chwile... Ile czasu to trwać mogło... godzinę czy więcej – nie umiem zdać sobie sprawy. Widziałam tylko, że kochane, głęboko patrzące oczy zwróciły się ku górze, zapatrzone gdzieś daleko, w jaśniejsze już dla nich zaświaty... I tak leżała cichutko, zasłuchana i zapatrzona, myślami nieobecna na ziemi...

Zacząłam się modlić własnymi słowami, prosząc o pomoc i siłę w tej ostatniej chwili, usłyszałam dwa chrapliwe trochę westchnienia i wiedząc, że to już koniec, o godzinie drugiej w nocy zamknęłam już na zawsze jasne, drogie oczy...

Wtedy naprawdę należało mówić *Anioł Pański*...

Rano dałam znać do dworu. Wieczorem przyjechała po mnie starsza pani Mazaraki i po macierzyńsku zabrała mnie do siebie, gdzie przeleżałam do dnia eksportacji, 9 XI 1944, bo ledwie się na nogach trzymałam.

Pogrzeb odbył się 11 listopada i jak na wojenne czasy bardzo był piękny i uroczysty. Państwo Mazarakowie dołożyli wszelkich starań, aby ostatnia przysługa choć w części wypadła odpowiednio do zasług zmarłej pisarki. Katafalk tonął w powodzi wieńców i kwiatów. Przyszły liczne delegacje związków, szkół i młodzieży. Zjazd był liczny. Zarząd RGO przybył w komplecie. Za trumną niesioną z kościoła aż na cmentarz na ramionach szła wzruszona i skupiona rzesza: Rodziewiczówna była dla niej nie tylko ulubioną autorką, ale i tą, która przez całe swoje życie umiała krzepić, podtrzymywać i zachęcać do pracy i poświęcenia dla wielkiej, świętej idei.

Złożyliśmy ją obok grobu rodziny Mazarakich. [Pragnieniem jej, wyrażonym w testamencie było leżeć obok mogiły dziadów przy parafialnym kościele w Horodcu. Czy Bóg nam pozwoli pragnienie to wypełnić? Czy Kresy nasze do Polski powrócą? On jeden to wie.

Tyle polskiej pracy, łez i krwi wsiąkło w tamtą ziemię, takich potężnych orędowników i patronów posiada ona przed Bogiem, że chcę skończyć te wspomnienia aktem wiary

w przyszłość, wiary, że ziemia zroszona krwią patrona Polesia św. Andrzeja Boboli do Polski powróci i polska na zawsze zostanie, a według słów Rodziewiczówny przyjdzie i zapanuje w nas i na ziemi Królestwo Boże.]

J. Skirmunttówna  
13 marca 1946, Lipnica

<sup>1</sup> Maria Rodziewiczówna urodziła się 3 lutego 1864 r. Tę datę przyjmujemy wbrew powszechnie podawanej – 2 lutego 1863. Przekonywające argumenty w tej sprawie przedstawiła A. Martuszevska. Przemawia za nią także stwierdzenie J. Skirmuntówny (ur. w 1875 r.), iż była młodsza od Rodziewiczówny o jedenaście lat. Z kolei na nagrobku M. Rodziewiczówny na cmentarzu powązkowskim widnieje data urodzin – 30 stycznia 1864 r.

<sup>2</sup> *Anima Vilis* została opublikowana w Petersburgu w 1893 r.

<sup>3</sup> *Byli i będą – Powieść z niedalekiej przeszłości*. Drukowana w „Tygo-dniku Lustrowanym” w 1907 (nr 1/51) w formie książkowej ukazała się rok później.

<sup>4</sup> Po Ojcu mam postawę  
i poważne podejście do życia,  
Po Mateczce wesołe usposobienie  
I namiętność bajdurzenia.

<sup>5</sup> Po Tatusiu mam wesołe usposobienie  
I namiętność bajdurzenia.

<sup>6</sup> Autorka myli się. Pierwszym opublikowanym utworem Rodziewiczówny była nowelka – *Gama uczuć* drukowana w 1882 w „Dzienniku Anonsowym”. *Jazon Bobrowski* drukowany był dwa lata później w „Świcie”.

<sup>7</sup> *Straszny dziadunio* uzyskał nagrodę w konkursie ogłoszonym przez „Świt” w 1886 r. i następnie był drukowany na łamach tego pisma w odcinkach. Jako osobna książka został opublikowany w 1887 r.

<sup>8</sup> *Dewajtis* – uzyskał nagrodę w 1888 r. i był drukowany tego samego roku w odcinkach. Rok później ukazał się w formie książki.

<sup>9</sup> Józef Chełmoński (1849-1914) – malarz. W latach 1871-1887 studiował i pracował w Paryżu oraz w Monachium. Wrażliwy na piękno krajobrazu rodzimego pozostawił wiele obrazów o tematyce wiejskiej. Odbył kilka podróży na Polesie i Ukrainę. Tu chodzi zapewne o podróż z 1908 r.

<sup>10</sup> Oczerety (z ukr.) – byliny kłączowe rosnące nad brzegami rzek, na bagnach. Stanowią odmianę szuwarów.

<sup>11</sup> Poprady (z białorus.) – wspólne przedzenie.

<sup>12</sup> Chodzi tu o ukaz tolerancyjny z 1905 r., który oznaczał kres prześladowania unitów trwającego od czasów Powstania Styczniowo-wego. Po zniesieniu w 1865 r. klasztorów bazylikańskich i wprowadzeniu elementów prawosławnych do liturgii unickiej w 1875 r. nastąpiło całkowite podporządkowanie unitów kościołowi prawosławnemu.

<sup>13</sup> Edward von der Ropp, syn Zyberk-Platerówny, był księdzem w archidiecezji mohyleńskiej, następnie proboszczem w Lipawie, biskupem wileńskim i arcybiskupem mohyleńskim do czasu rewolucji rosyjskiej z 1917 r.

<sup>14</sup> Banderia (łac.) – konny oddział eskorty honorowej organizowanej na pewne uroczystości m.in. na powitanie znakomitych gości.

<sup>15</sup> Brindisi – miasto portowe w pld.-wsch. Włoszech w regionie Apulia.

<sup>16</sup> *Lato leśnych ludzi* po raz pierwszy ukazało się drukiem w 1920 r.

<sup>17</sup> Autorka ma na myśli pałacyk w parku wersalskim zbudowany w latach 1762-68 przez Ludwika XVI dla jego żony Marii Antoniny.

<sup>18</sup> Menton — miasteczko turystyczne na Lazurowym Wybrzeżu, w pobliżu granicy francusko-włoskiej, znane ze swego łagodnego klimatu.

<sup>19</sup> Lucerna (niem. Luzern) – uzdrowisko nad jeziorem Czterech Kantonów w Szwajcarii.

<sup>20</sup> Czahary (z ukr.) – zarośla, gęste krzewy rosnące na podmokłych gruntach.

<sup>21</sup> Od nazwiska Karla Zeissa (1816-1888) – mechanika i optyka z Jeny, który swymi

wyrobami optycznymi zyskał światowy rozgłos w połowie XIX w.

<sup>22</sup> amatorstwo – tu: zamiłowanie

<sup>23</sup> cieciorka – samica cietrzewia

<sup>24</sup> Niemcy wkroczyli do Warszawy 5 sierpnia 1915 r.

<sup>25</sup> O tych przeżyciach opowiada Rodziewiczówna we *Florianie z Wielkiej Hłuszy*.

<sup>26</sup> Fra Pacifico (z wł.) – Brat Pokoju.

<sup>27</sup> Hans Hartwig von Bessler (1850-1921) – generał niemiecki, generalny gubernator warszawski w latach 1915-1918.

<sup>28</sup> zbrakowany – tu: w znaczeniu odrzucony

<sup>29</sup> Tadeusz Jordan-Rozwadowski (1866-1928) – generał austriacki i polski. W okresie od 28 X do 15 XI 1918 naczelny wódz i pierwszy szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego z ramienia Rady Regencyjnej. Od listopada 1918 r. organizator obrony Lwowa, a następnie dowódca armii „Wschód”. Członek Rady Obrony Państwa w 1920 i współtwórca planu zwycięskiej ofensywy przeciwko bolszewikom. W maju 1926 dowodził wojskami rządowymi przeciw J. Piłsudskiemu.

<sup>30</sup> Ignacy Jan Paderewski (1860-1941) – pianista, kompozytor, poli-tyk. 1917-1919 członek i delegat Komitetu Narodowego Polskiego na Stany Zjednoczone, 16 I-4 XII 1919 premier i minister spraw zagranicznych, delegat Polski na konferencję pokojową w Paryżu, 1936-1939 twórca Frontu Morges, 1940 przewodniczący emigracyjnej Rady Narodowej w Angers. Jego przyjazd do Poznania (26 XII 1918) stał się sygnałem do Powstania Wielkopolskiego. W Warszawie stanął 3 I 1919.

<sup>31</sup> Wacław Iwaszkiewicz (1871-1922) – generał. Dowództwo nad armią „Wschód” objął po odwołaniu z tego stanowiska gen. T. Rozwadowskiego rozkazem z 21 III 1919.

<sup>32</sup> Autorka ma na myśli negocjacje prowadzone między KNP a rządem Paderewskiego i Piłsudskim w sprawie stopniowej likwidacji Komitetu w Paryżu. W lutym rozmowy były już tak zaawansowane, że nie mogło chodzić o „polecenia”.

<sup>33</sup> *Florian z Wielkiej Hłuszy* – publikowany na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” w 1922 r. w wydaniu książkowym ukazał się dopiero w 1929. Powieść ta doczekała się adaptacji filmowej w 1938 r.

<sup>34</sup> Józef Haller (pełne nazwisko Haller von Hallenburg, 1873-1960) – generał i polityk. W latach 1914-1917 dowodził Legionem Wschodnim, a następnie II Korpusem Polskim w Rosji. Do Francji dostał się w lipcu 1918, a 4 października został naczelnym wodzem tworzonej tam Armii Polskiej (zwanej z powodu koloru mundurów – Armia Błękitna), z którą powrócił do kraju 21 IV 1919.

<sup>35</sup> Antraks (med.) – ostra choroba zakaźna atakująca zwierzęta i przenoszona na ludzi, inaczej węglík, czarna krosta.

<sup>36</sup> Róża (med.) – choroba zakaźna wywołana przez paciorkowce ropne, objawiająca się zapaleniem skóry.

<sup>37</sup> M.in.: *Krwawy napad na M. Rodziewiczównę* – „Gazeta Poranna 2 Grosze” 1919 nr 25; *Napad bandytów na Rodziewiczównę* – „Goniec Krakowski” 1919 nr 139.

<sup>38</sup> adres – krótki, konwencjonalny list

<sup>39</sup> Pius Weloński (1849-1931) – rzeźbiarz. W latach 1904-1915 był prof. i dyr. Szkoły Rysunkowej w Warszawie. Z jego dzieł poza wspomnianymi przez Skirmunttównę *Stacjami Męki Pańskiej* na uwagę zasługują *Gladiator* i *Scalvus saltans*.

<sup>40</sup> *Etappen* (niem.) — etapy, postoje.

<sup>41</sup> *Front Gebief* (niem.) – strefa frontowa.

<sup>42</sup> Władysław Sikorski (1881-1943) – generał i polityk. W czasie wojny 1920 r. dowodził

Grupą Poleską, a następnie Piątą i Trzecią Armią. Zwycięstwo pod Zegrzem miało miejsce 14 sierpnia 1920 r.

<sup>43</sup> Ks. Ignacy Skorupka zginął 14 sierpnia 1920 r. w bitwie pod Ossowem.

<sup>44</sup> *Wahlverwandtschaft* (niem.) – powinowactwo duchowe.

<sup>45</sup> Inkrotowiny (właśc. inkrutowiny) – litew. *ikurtiives* – na Litwie uroczyste obchodzenie wprowadzenia się do nowego mieszkania.

<sup>46</sup> influenza (wł.) – grypa

<sup>47</sup> Obraz ten od 1875 w związku z przekształceniem kościoła kodeńskiego na cerkiew znajdował się w katedrze częstochowskiej.

<sup>48</sup> Z. Kossak-Szczucka, *Beatum Scellus*, Kraków 1924. Wcześniejsze losy tego obrazu w pracy: J. Pruszkowski *Kodeń Sapiehów: jego kościoły i starożytny obraz Matki Boskiej Gwadelupeńskiej* (1897).

<sup>49</sup> Adam Stefan Sapieha (1867-1951) – od 1921 biskup krakowski, 1925 metropolita, 1946 kardynał.

<sup>50</sup> Chodzi tu o zbiór nowel: *Niedobitowski z granicznego bastionu* wydany w Poznaniu w 1926 r., w którego skład weszły następujące utwory: *Tydzień u Niedobitowskich*, *Niedobitowscy placą*, *Sprawa jednorurki*, *Przekroczenia obowiązujących ustaw*, *Obywatel Kuźma Supruniuk*, *Czterech Małych Mystkowskich*, *Jutrznia*.

<sup>51</sup> Kazimierz Młodzianowski (1880-1928) – malarz, działacz ruchu legionowego. Po kryzysie przysięgowym więziony w Beniaminowie. Brał udział w walkach o Lwów, po czym przeszedł do pracy w MSW. W latach 1924-1926 był wojewodą poleskim, a po przewrocie majowym ministrem spraw wewnętrznych w kolejnych gabinetach K Bartla. 1926-1928 pełnił funkcję wojewody pomorskiego.

<sup>52</sup> Order Odrodzenia Polski („Polonia Restituta”) ustanowiony w 1921 r. nadawany był za wybitne zasługi w dziedzinie nauki, kultury, działalności społecznej i służby państwowej. Miał pięć klas: krzyż wielki, krzyż komandorski z gwiazdą, krzyż komandorski, krzyż oficerski.

<sup>53</sup> Chodzi tu o Stanisława i Marię Korzeniowskich.

<sup>54</sup> Franciszek Kleeberg (1888-1941) – generał Wojska Polskiego. W 1908 został oficerem w armii austriackiej, w latach 1915-1917 był oficerem sztabowym II i III Brygady Legionów. Od 1918 w Wojsku Polskim – dowódca dywizji piechoty (14, 19), a następnie Okręgów Korpusu (VII Poznańskiego, III Grodzieńskiego, IX Brzeskiego). W wojnie obronnej 1939 dowodził zorganizowaną przez siebie grupą „Polesie”, która stoczyła m.in. bitwę pod Kockiem. Zmarł w niewoli niemieckiej.

<sup>55</sup> Dumka – liryczna, smętna ukraińska pieśń ludowa oparta na motywach balladowych.

<sup>56</sup> *Gniazdo Białozora* – pierwsze wydanie – Poznań 1920. W wydaniu książkowym pojawiło się w 1934 r.

<sup>57</sup> *Róże panny Róży* – ukazały się najpierw w „Tygodniku Ilustrowanym” w 1929 r. nr 50 p.t.: *Różany cud panny Róży*.

<sup>58</sup> *Rada Koronna 1925* – Poznań 1926; *Dwie Rady, Rada Narodowa 1905 i Rada Koronna 1925* – Poznań 1931.

<sup>59</sup> Jędrzej Giertych (ur. 1903 r.) – działacz endecki, publicysta. W latach 1927-1932 referent w MSZ. Stał na czele młodych w Stronnictwie Narodowym i był ich głównym ideologiem. Autor głośnej książki, wydanej w 1937 r. – *O wyjście z kryzysu*.

<sup>60</sup> J. Skirmuntówna ma zapewne na myśli skrajnie prawicową organizację – Obóz Wielkiej Polski założoną z inicjatywy R. Dmowskiego i działającą w latach 1926-1933.

<sup>61</sup> Julia Ledóchowska (Halka-Ledóchowska), imię zakonne – Urszula (1865-1939); założycielka i przełożona Zgromadzenia Sióstr Urszulanek. W czasie I wojny św. wyjechała do

Szwecji, gdzie m.in. założyła Sodalicję Mariańską.

<sup>62</sup> Zygmunt Łoziński (1879-1932) – biskup piński. W 1905 został usunięty z parafii w Mińsku za przyjmowanie unitów do Kościoła katolickiego. 1905-1909 prof. Pisma św. w Akademii Duchownej w Petersburgu, 1917-1925 biskup miński, 1925-1932 biskup nowo utworzonej diecezji pińskiej (składającej się w głównej mierze z obszaru dawnej diecezji mińskiej).

<sup>63</sup> apostata (z grec.) – odstępca od wiary

<sup>64</sup> Romuald Traugutt (1826-864) – generał. Po wybuchu Powstania Styczniowego dowodził oddziałem partyzanckim na Polesiu, dyktator od 17 X 1863; stał na gruncie bezkompromisowej walki z zaborcą.

<sup>65</sup> Emil Przedźymirski-Krukowicz (1886-1957) – generał brygady. W kampanii wrześniowej dowodził armią „Modlin”, a po re-organizacji tzw. armią gen. Przedźymirskiego; skapitulował 26 IX 1939 pod Terespołem.

<sup>66</sup> Wacław Biernacki-Kostek (1884-1957) – pułkownik, działacz sanacyjny. W 1930 komendant twierdzy brzeskiej, organizator obozu w Berezie Kartuskiej.

<sup>67</sup> Andrzej Bobola (1591-1617) – jezuita, mieszkał i pracował w Bobrujsku, gdzie swą działalnością zyskał sobie miano „Apostoła pińskiego”. Zginął śmiercią męczeńską z rąk Kozaków 17 V 1657. Został beatyfikowany w 1755 r. przez papieża Benedykta XIV. Na Polesiu jego święto obchodzono 23 maja.

<sup>68</sup> Imiona wzięte oczywiście z *Lata leśnych ludzi*.

<sup>69</sup> Józef Simmler (1823-1868) – malarz portrecista. Studiował w Dreźnie i w Monachium. Przez kilka lat przebywał w Paryżu. Jego portrety odznaczały się wnikliwą charakterystyką osoby portretowanej i romantycznym nastrojem.

<sup>70</sup> Piotr Stachiewicz (1858-1938) – malarz głównie scen religijnych. Obok wspomnianego *Bożego roku* znany jest jego cykl mono-chromatyczny *Legenda o Matce Boskiej* z 1892 r. Ilustrował pierwsze wydanie *Quo vadis* H. Sienkiewicza.

<sup>71</sup> Ciwun (z białorus.) – dosłownie karbowy. W dawnej Polsce i Litwie urzędnik ziemski, rządca dóbr królewskich lub książęcych.

<sup>72</sup> Oflag (niem. *Offlag*) – skrót od *Offizierslager*. W czasie II wojny św. obóz niemiecki dla jeńców wojennych – oficerów.

<sup>73</sup> recydywa (z franc.) – tu w znaczeniu: nawrót choroby

<sup>74</sup> Chodzi tu zapewne o legendę spisaną m.in. przez Kasprowicza, według której owi zakłęci rycerze mieli wstać z wiekowego snu dopiero wówczas, gdy wszyscy ludzie staną się „dobrzy i mądrzy i będą mieć wielką wiarę”. Sen ten był zbieżny z wiarą Rodziewiczów-ny w nadejście Królestwa Bożego.

<sup>75</sup> Agape (z grec.) – obrzędowa uczta o charakterze religijnym u pierwszych chrześcijan.

<sup>76</sup> J. Skirmuntt myśli zapewne o H. Dontenowej, której dziełko *Hasła Marii Rodziewiczówny* ukazało się drukiem w 1937 r.

<sup>77</sup> Słowa te wyryte zostały następnie na pomniku nagrobnym Rodziewiczówny na cmentarzu powązkowskim.

<sup>78</sup> GPU – Gosudarstwennoje Politczeskoje Uprawlenije – so-wiecka policja polityczna powołana na miejsce Czeki (Czerezwyczajnaja Komisja) w lutym 1922 r. i kierowana przez Dzierżyńskiego, a następnie Mienżyńskiego. W 1934 została włączona do NKWD (Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł) i kierowana była kolejno przez Jagodę, Jeżowa i Berię. J. Skirmuntt myli się więc tylko co do nazwy.

<sup>79</sup> Sprawę wyjazdu omawiają także Korzeniowscy w wywiadzie dla „Słowa Powszechnego”. J. Puzyna, powołując się na informacje uzyskane od samej Rodziewiczówny,

twierdzi, że wyjechała ona pod nazwiskiem Schulz lub Schuch.

<sup>80</sup> *Kennen Sie diesen Mann?* (niem.) – Czy zna Pani tego człowieka?; *Natürlich.* – Naturalnie.

<sup>81</sup> Tekst wykreślony przez cenzurę przy publikacji tych trzech rozdziałów w 1948 zaznaczamy klamerkami.

<sup>82</sup> *On côtoyait la mort* (franc.) – ocierano się o śmierć.

<sup>83</sup> Chodzi tu zapewne o dra Jana Kubisza, który w czasie wojny opiekował się społecznie Marią Rodziewiczówną i jej przyjaciółką.

<sup>84</sup> Gmach „Pasty” został zajęty przez powstańców 22 sierpnia.

<sup>85</sup> RGO (Rada Główna Opiekuńcza) – polska instytucja opieki społecznej działająca w latach 1940-1945 na terenie Generalnej Guberni.